

KAMIL GIŻYCKI

# PRZEZ KNIEJE I STEPY

PRZYGODY CHŁOPCÓW POLSKICH NA SYBERJI I W  
MONGOLJI

Z ILUSTRACJAMI  
KAMIŁA MACKIEWICZA

NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA  
POZNAŃ-WARSZAWA-WILNO-LUBLIN

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU NA PAPIERZE Z WŁASNEJ  
FABRYKI PAPIERU „MALTA”. ILUSTRACJE WYKONANO TECHNIKĄ  
ROTOGRAWUROWĄ W ZAKŁADACH WŁASNYCH

## ROZDZIAŁ I.

### UCIECZKA

Ciemna, ponura noc okryła wioskę, przytuloną do skał urwistych. Między nimi z hukiem i wściekłością pieniały się wartkie i zdradliwe nurty Abakanu, który wpadając do Jeniseja, niósł wraz z nim swe wody hen, na północ do oceanu Lodowatego.

Jakkolwiek nie było jeszcze późno, wioska wydawała się zupełnie martwą. W kilku zaledwo domkach błyszcząły żółtem słabem świeatełkiem okrągłe wycięcia w szczelnie zamkniętych okiennicach, Czasem tylko z ciemności ozwało się żalosne wycie psa, lecz nagle milkło urwane, jakby je zdławił ciężar nocy lub wchłonał szum pieniających się wód Abakanu.

W domku, położonym tuż nad rzeką, okna świeciły się jaśniej, a na podwórzu panował ruch wielki: przy radosnem poszczekiwaniu psów wyprowadzano konie, aby je osiodłać, rozmawiano przyciszonym głosem i pobrzękiwano bronią. Po chwili otwarły się drzwi domu, kilka tajemniczych cieni wskoczyło na siodła, skrzypnęła lekko brama, i postacie znikły w ciemnościach. Zrazu słyhać było tętent i uderzenia podków o grunt skalisty, lub o leżące na drodze kamienie, potem ucichło wszystko.

W obszernym jasno oświetlonym pokoju tego domu siedziało dwóch chłopców. Jeden z nich o twarzy jasnej, o dużych niebieskich oczach i

ciemnej czuprynie, mający najwyżej lat trzynaście, majstrował zawzięcie koło flobertu; drugi — starszy, barczysty, opalony, o twarzy prawie męskiej, na której pod wyniosłym czołem świeciło dwoje czarnych przenikliwych oczu, czyścił strzelbę myśliwską, pieśczośliwie gładząc lufy miękką szmatką.

— Wiesz, Stachu — szepnął nagle młodszy, zwróciwszy jasne spojrzenie na brata — wujek mówił, że za kilka dni pojedziemy do tatusia, do Krasnojarska.

— Tak, Janku — odparł starszy — tem bardziej, że wujko już, tutaj nie wróci. Słyszałem, jak umawiał się ze starym Jakóblem, aby nas odwiózł do Minusińska, skąd kupiec Andrejew ma nas zawieźć do ojca.

Janek patrzył chwilę na brata, jakby sumując myśli, aż wreszcie zapytał:

— Stasiu! a dlaczego wujek z tymi panami, co przybyli wieczorem, pojechał teraz do tajgi? Przecież tak ciemno, mogą zabłądzić, albo trafić na wilki i niedźwiedzie?

— E! co tam dla naszego wujka niedźwiedzie — odparł Stach z uśmiechem — niejednego już przecież zabił. Wyjechać musiał, bo to obowiązek Polaka pomagać swoim. Ci panowie w przebraniu chłopów, którzy odjechali teraz, to byli oficerowie polscy; bolszewicy ich szukają i chcą rozstrzelać. Żeby tylko szczęśliwie dotarli nad rzeczkę Man do kopalń złota, tam są Tatarzy z Tasztypu — oni już potrafią ich przeprowadzić do Urjanchaju i Mongolji... Stamtąd niedaleko do Chin... tam już spokój, bolszewików niema, i oficerowie powrócą do Polski bezpiecznie. Ale teraz, Janku, daj mi przyrzeczenie, że nikomu nie powiesz, gdzie wuj wyjechał ani też kto u nas bywał — pamiętaj, że od tego zależy życie wujka, a może i naszego ojca!

Janek podbiegł do brata i, całując go mocno w policzek, wyszeptał:

— Ja, Stasiu, nikomu, nikomu nic nie powiem, chociażby mię ci obrzydli bolszewicy zabić mieli. Przecież wuj był taki dobry dla mnie i obiecywał, że jak będę miał tak jak ty piętnaście lat, to da mi ten karabinek, z którego strzela do kozłów, i weźmie ze sobą na polowanie w góry. Ach, Stasiu — mówił dalej, patrząc na ściany, obwieszane rogami sarniuków, koziorożców i baranów skalnych — czy ja kiedy zobaczę te piękne zwierzęta? czy będę na nie polował?

— Będiesz, będziesz — pocieszał starszy, gładząc ciemną czuprynę brata — teraz zaś rozbieraj się... idziemy spać!

Janek wybiegł prędko do drugiego pokoju, Stach zaś powiesił strzelby na rogach i już miał gasić lampę, gdy nagle rozległo się zajadłe szczekanie psów. tupot ciężkich nóg ludzkich, przekleństwa i bicie jakimś ciężkim przedmiotem w zamknięte drzwi domu.

— Hej, tam, otwieraj! — wrzasnął z podwórza jakiś głos chrapliwy.

Stach przekręcił klucz w zamku i w tejże chwili przez otwarte drzwi wpadło kilkunastu ludzi uzbrojonych w karabiny i rewolwery. Jeden z przybyłych chwycił chłopca kościstą ręką za kołnierz, kilku innych rzuciło się na przeszukiwanie pozostałych pokoi.

Za stołem siadł tymczasem młody mężczyzna, ubrany w czarną kurtkę skórzaną, na którejś z lewej strony widniała pięcioramienna czerwona gwiazda.

— No cóż, znaleźliście inżyniera? — krzyknął na poszukiwaczy.

— Jest tylko jakiś malec, towarzyszu komisarzu — odpowiedziano z dalszych pokoi. — Dawać go tutaj i — huknął komisarz.

Przyprowadzono Janka.

Komisarz, popatrzawszy chwilę wzrokiem badawczym na chłopca,

rzucił pytanie:

— Ty kto?

— Janek Zaniewski.

— Co tu robisz?

— Mieszkam u wuja mego inżyniera Raczyńskiego.

— Sam?

— Nie, z bratem Stasiem.

— Gdzie on? — pytał dalej komisarz.

— Jestem — odparł Staś, uwalniając się z rąk żołdaka i podchodząc do stołu. Komisarz obejrzał przelotnie chłopca i, zwróciwszy się do Janka, zapytał?

— Gdzie inżynier?

— Nie wiem... — wyszeptał niepewnym głosem chłopak.

— Nie wiesz... — wycedził komisarz przez zęby. — Jefrem! — mrugnął znacząco na ogromnego chłopca, stojącego obok — przypomnijno temu Polaczкови...

Ręka Jefrema, uzbrojona w ciężki nahaj, podniosła się w górę, i bat ze świstem uderzył plecy chłopięcia. Janek krzyknął, lecz gdy oprawca po raz drugi podniósł bat, Staś skoczył jak; żbik i z całej siły palnął go w ucho. Chłop zatoczył się, rozkrzyżował ramiona i z głuchym jękiem zwałił się na ziemię. Żołdactwo rzuciło się na Stasia, klnąc okropnie, ale komisarz powstrzymał ich ruchem ręki, zbliżywszy się do chłopca, wyrzekł syczącym, przyciszonym głosem:

— To ty tak kąsasz, gadzino? Tak cię uczyli, ty mały Łaszku? Poczekajno... wybiję ja z ciebie te fochy! A zwracając się do żołnierzy, rozkazał; — Związać obu i pod straż... a pilnować jak oka w głowie!

Żołnierze chwycili chłopców, wykręcili im wtył ręce, związali rzemieniami, następnie wyprowadzili na dziedziniec, nie szczędząc kułaków i bicia.

Na podwórzu paliły się ogniska. W ich blasku widać było zbrojnych ludzi, którzy wynosili z domu różne sprzęty, łamiąc je i paląc, cenniejsze zaś rzeczy ładując na wozy. Prze otwarte wrota wprowadzano znanych chłopcom mieszkańców wsi, wylękłych i poszturkiwanych przez pijanych żołdaków. W całej wiosce panował teraz gwar i rwetes, wzmożony jeszcze szczekaniem lub żalosnem wyciem psów.

Żołnierze, którzy prowadzili chłopców, podeszli do grupy ludzi, siedzących przy ognisku i raczących się wódką, a najstarszy z nich rangą zawołał:

— Ej, towarzysze! Weźcieno tych małych burżujów między siebie. A pilnować ich dobrze, bo to zakładnicy!

Kilku żołnierzy zerwało się ochoczo, wzięli chłopców za zwisające od skrępowanych rzemienie i przywiązali ich niemi do słupa, przy którym stało kilka spętanych koni, następnie powrócili spiesźnie do przerwanej biesiady.

Nagle na werandzie domu ukazał się komisarz, powiódł wzrokiem po dziedzińcu i krzyknął;

— Towarzysze! Dać koniom obroku, zostaniemy tu do rana! Straże rozstawić, a tych małych — mówił, wskazując na przywiązanych do słupa więźniów — zamknąć w jakiej stajni lub spichlerzu... a pilnować dobrze! — poczem odwrócił się i, kopnięciem nogi otworzywszy drzwi, zniknął we wnętrzu domu.

Żołnierze skoczyli spełnić rozkazy. Pozdejmowano z koni siodła, rozdano im siana, chłopców zaś odwiązał jakiś drab obrośnięty po oczy,

podprowadził do stajen i wepchnął do małego' chlewika, zamykając za nimi ciężkie drzwi na klucz.

Nieprzejrzana ciemność ogarnęła więźniów. Leżeli obok siebie na sianie, wsłuchując się w gwar, słabo przebijający się przez grube deski. Po długiej chwili milczenia zapytał starszy z braci;

— Cóż, Janku? bardzo cię boli? — Boli, Stasiu, ale to nic, bałem się, że ten komisarz każe cię rozstrzelać za to, żeś stanął w mojej obronie.

Zaległa znów cisza, przerywana odgłosami pieśni, dochodzących z podwórza. Nagle Janek poruszył się gwałtownie, nachylił do ucha brata i wyszeptał; — Stasiu? Uciekajmy!

— Jakże uciekniemy, kiedy mamy związane ręce?

— Ja mam w kieszeni scyzoryk, staraj się go wyciągnąć — szeptał Janek.

Stach zrobił na ziemi półobrotu ciałem i skępowanemi rękoma począł szukać kieszeni brata, znalazł ją, po długiej chwili mozolnych wysiłków wsadził w nią palce i uchwycił niewielki szwedzki nożyk. — Mam w ręku — szepnęła cicho, Teraz Janek obrócił się plecami do brata, znalazł jego ręce, wyjął z dłoni nożyk, a gdy nacisnął sprężynę, wąska klinga wysunęła się z rękojeści. Chwilę leżał chłopiec spokojnie, potem palcami jednej ręki szukać począł rzemieni, krępujących ręce brata, a natrafiwszy na nie, jął po nich lekko wodzić klingą noża, trzymanego w drugiej. Kilka razy ostrze dotknęło ciała chłopca, ale po chwili poczuł Stach, iż rzemienie spadły mu z rąk. Teraz przecięcie więzów na rękach Janka było dziełem jednej chwili.

Chłopcy wyprostowali zbolące ramiona, poczem cichutko jęli obmacywać ściany swego więzienia.

— Stachu! — ozwał się nagle radosny szept Janka — przecież tutaj ja

trzymałem króliki; pod belką jest dziura, którą one wygrzebały, ja ją tydzień temu założyłem deską... chodź prędzej... pomóż mi ją wyciągnąć...

Stach podpełzł do brata, cicho odsunął siano od ściany i bez trudu wyciągnął deskę. Z otworu uderzył na chłopców prąd świeżego powietrza, Szczupły Janek bez wielkich trudności przecisnął się przez otwór. Stach długo jednak musiał rozgrzebywać ziemię, zanim o tyle powiększył podkop, by przezeń ujsć z więzienia.

Stanęli pod ścianą stajni, wsłuchując się w stuk serc własnych, poczem Stach bez szelestu podpełzł ku węglom budynku, wsunął się między sagi drzewa, rzędem stojące tuż obok stajni, i wychylił z poza nich głowę, bacznie spoglądając na dziedziniec.

Przy dogasających ogniskach spali pokotem na ziemi bolszewicy żołnierze, chrapiąc rozgłośnie. Na stopniach werandy domu siedziała jakaś ciemna postać z karabinem w rękę, kiwając sennie głową. Okna domu były ciemne, tylko z pokoju chłopców przeglądało anemiczne światełko. Pod stajnią i spichlerzem stały rzędem konie; jedne chrupały siano, inne zmęczone widocznie daleką drogą, leżały na ziemi. Przy wrotach stało dwóch żołnierzy, zabawiając się rozmową.

Teraz spojrział Stach na niebo, pokryte milionami gwiazd iskrzących się niby brylanty.

— Hm... Kokoszka już nad domem — szepnął do siebie — pewno po północy... jeszcze ze dwie godziny i zacznie świtać, trzeba się spieszyć...

Powoli pełzając powrócił do brata i objaśnił; — Teraz przejdziemy cicho do żywopłotu i ścieżką, prowadzącą do starego szybu żelaznego, ruszymy do strzelca Jakima, ten zaprowadzi nas do kopalni złota nad Manem, gdzie znajdziemy wuja.



Chłopcy, znając dokładnie teren, szli cicho, skradali się do żywoplotu, odległego o kilkanaście kroków, znaleźli w nim przejście i, pełzając dalej w mroku świerków, zmierzali do niewielkiej łączki, przez którą wiła się ścieżka, prowadząca do kładki, rzuconej przez Abakan. Już mieli porzucić płot i wejść na polankę, gdy nagle w niewielkiej odległości rozległy się ciężkie kroki. Zbiegowie zamarli w oczekiwaniu, Z łączki ozwał się gromki głos:

— Stój! Kto idzie?

Kroki natychmiast ucichły, a równocześnie rozległ się gruby basowy głos:

— To ja!... Makarow!

— Hasło? — zapytał głos z łączki.

— Lenin! — odpowiedział Makarow.

— Odzew?

— zapytano znowu.

— Moskwa! — mruknął niecierpliwie już bas, a potem rozległy się znów ciężkie kroki.

Po chwili chłopcy posłyszeli gruby głos Makarowa:

— Timofiej! pora konie poić! A gdzie Baranow?

— W stajni pilnuje tych małych Polaczków — odpowiedział głos, pytający przedtem o hasło.

— No, to weź którego z tych, co śpią na dworze, a ja tymczasem zobaczę, jak się mają te małe burżuje — mówił dalej Makarow i wraz z Timofiejem ruszyli ku domowi.

Jak tylko ucichły kroki żołnierzy, Stach chwycił Janka za rękę i prędko pobiegł z nim ku łączce, na której koło kopicy siana pasło się

kilka osiodłanych koni. Szybkim ruchem rąk podciągnął poprzęgi siodła dwóch koni, pomógł wsiąść na jednego Jankowi, chwycił oparty o kopicę karabin i skoczył na siodło drugiego.

— A teraz, Janku, ile sił w stronę pasieki Andrzeja — szepnął do brata, uderzając jego konia nahajem, znalezionym przy swoim siodle, Konie ruszyły z miejsca galopem. Przelecieli jak wichher szeroką ulicą wioski, gdy nagle przy ostatnim domu posłyszeli groźny okrzyk:

— Stój! Kto jedzie?

Konie, wstrzymane szarpnięciem wędzideł, zaryły kopytami w miejscu.

— Patrol — odparł Stach.

— Hasło? — spytał głos w ciemności.

— Lenin!

— Odzew? — zapytano znowu.

— Moskwa!

— Możesz jechać! — mruknął wartownik. Konie uderzone nahajem pomknęły dalej. Stach, wiedząc, że bolszewicy prędko spostrzegą ich ucieczkę i zaczną szukać, naglił konie nahajką, przysłuchując się, czy z tyłu nie posłyszysz tętentu pogoni. Tak przebiegli kilka kilometrów. Droga początkowo szeroka i gładka zwężała się, pnać się ku górom i lasom, które zarysowały się w rzędącym powoli mroku.

— Ach, Boże, żeby tylko przed świtem dobiec lasów — modlił się chłopak i bódł konia piętami. Konie gnały w szalonych susach, wyciągnięte jak struny, prawie brzuchami dotykając ziemi; wiatr świstał w uszach zbiegów, silny prąd powietrza tamował im oddech. Rozjaśniało się na dobre. Nagle niezwykle jakiś świst rozległ się nad uchem Stacha, a potem ozwał się głuchy trzask wystrzału. Chłopiec obejrzał się i w

ustępującej powoli pomroce zobaczył kilkunastu ludzi, którzy pędzili za nimi, co koń wyskoczy.

Kilka jeszcze kuł bzyknęło koło uszu chłopców, lecz oto wpadli na wąską ścieżkę, wijącą się wśród zarośli gęstego, ciemnego boru.

Przebiegli jeszcze kilkadziesiąt kroków, gdy nagle koń Janka potknął się na wystającym korzeniu i upadł na kolana. Chłopiec nie przygotowany na to zatoczył łuk w powietrzu i padł na ziemię. Zerwał się jednak prędko, lecz Stach w tej chwili zeskoczył z siodła i pognął konie dalej, sam zaś chwycił brata za rękę i rzucił się w gęstwinę.

Biegli, potykając się i przewracając na powiązanych w gęstą sieć pędach czynowych, aż wreszcie wpadli w gęsty, młody las, tworzący podszycie boru.

W tej samej chwili na ścieżce rozległ się tętent kilkunastu koni, niknąc powoli w głębi leśnej.

## ROZDZIAŁ II.

### U PASIECZNIKA.

Słońce chyliło się ku zachodowi, oświetlając ostatnimi purpurowymi promieniami szeroką polanę otoczoną ze wszystkich stron gęstym zielonym murem boru. Mieniło się tysiącem blasków tęczowych na kwiatkach, pokrywających polanę, oraz złociło ścianki uli, stojących rzędami w pasiece przytulonej do zacisznej ściany boru sosnowego. Tuż koło pasieki połyskiwały w gaiku brzozowym żółte modrzewiowe zręby niewielkiego domku, patrzącego szeroko otwartymi oczyma okien gdzieś w dal.

Z kwiecistego kobierca polany wracały z brzękiem ociężałe pszczoły, zdążając przed zachodem do swych rojów, brzemiennie słodkim nektarem lub różnobarwnym pyłkiem kwiatowym, uczepionym na tylnych nóżkach. Silny zapach miodu bił w nozdrza i mieszał się z lekką smugą dymu, wydobywającą się z naczynia dziwnych kształtów, którym stary siwobrody pasiecznik podkurzał ule, przeglądając ramki zalane gęstym złocistym płynem.. Pszczoły, znając widocznie swego pana, łąziły mu po rękach i twarzy, nie czyniąc krzywdy. Starzec zaś uśmiechał się do tych pracowitych owadów i ostrożnie zmiatał je piórkiem do uli.

Nagle w końcu pasieki trzasło coś jakby złamana żerdź, a następnie dało się słyszeć głośnie brzęczenie pszczół. Pasiecznik podniósł się

chwilę nadśluchiwał, potem złożył szybko przeglądane dopiero co ramki, zamknął ul, a chwyciwszy leżący obok toporek, szybkim krokiem ruszył w stronę niespokojnie kłębiącego się roju. Tuż przy grupie drzew, rosnących nieco na uboczu, zobaczył olbrzymie, brunatną sierścią pokryte cielsko niedźwiedzia, który zakrywszy jedną łapą nos, drugą rozrywał oczko powalonego na ziemię ula. Pszczoły zaciekle były w nieprzyjaciela, wplątywały się w jego gęste futro, a gdy wreszcie pokryły go prawie zupełnie grubą rudawą warstwą, niedźwiedź, zasłaniając ciągle łapą pysk, ruszył do pobliskiego potoku. Tutaj zanurzył się kilkakrotnie, otarł o krzaki i znów spokojnie zawrócił do pasieki wolny od owadów, które zmyły z jego sierści bystre nurty rzeczki. Manewr ten powtórzyło zwierzę kilkakrotnie, a gdy już wreszcie kilka tylko pszczoł jęklawie trzepotało błonkami skrzydeł, niedźwiedź obiema łapami rozdarł deski ula i jął wyjadać miód, głóśnem mlaskaniem i sapaniem wyrażając swe zadowolenie.

Pasiecznik, obserwujący dotychczas bez ruchu niecne praktyki intruza, prześlizgnął się prawie bez szelestu koło drzew, a zbliżywszy się na kilka zaledwo kroków do zwierzęcia, zajętego ucztą, podniósł w górę toporek i z całych sił uderzył nim w kark kudłaty. Niedźwiedź ryknął przeraźliwie i w jednej chwili wspiął się na tylne łapy, rozwierając przednie szeroko jak do uścisku. Z paszczy potwora błysnęły dwa rzędy białych kłów, oczki małe ukryte w gęstej sierści nabiegły krwią, z karku zaś buchnął strumień purpurowej posoki. Stary pasiecznik odskoczył wtył, chcąc zadać zwierzęciu drugi cios, lecz zaczepiwszy nieostroźnie nogą o podstawkę ula, runął jak długi na ziemię. Niedźwiedź postąpił jeszcze dwa kroki i już miał chwycić wyciągniętymi łapami leżącego na ziemi człowieka, gdy wtem jak grom rozległ się huk wystrzału, odbijając się tysiącznem echem po borze, i niedźwiedź bez jęku prawie zwałił się

nawznak.

Z za kępy malin, rosnących tuż koło ogrodzenia, wysunął się Stach, trzymając gotowy do strzału karabin, za nim ukazała się blada twarz Janka. Chłopcy, widząc niedźwiedzia leżącego bez ruchu, podeszli do pasiecznika i pomogli mu powstać. Starzec, padając na ziemię, uderzył głową o ostry daszek ula tak silnie, że stracił przytomność. Teraz mętnym wzrokiem wodził po twarzach chłopców, a zobaczywszy leżący o parę kroków dalej trup zwierzęcia, przypomniał sobie, co zaszło, i z serdecznym uśmiechem wyciągnął dłoń do Stasia:

— Toś ty, Stachu, ocalił mi życie? — zapytał wzruszony.

— Chwała Bogu, żeśmy na czas przyszli — odparł, czerwieniąc się z pochwały chłopak — większą jednak zasługę ma tutaj Janek, on bowiem pierwszy zobaczył grożące wam, Andrzeju, niebezpieczeństwo.

Pasiecznik zbliżył się do zabitego niedźwiedzia, zanurzył ręce w gęste futro, szukając śladu kuli, a zwracając się do chłopców, zawołał wesoło:

— No, Stasiu! Kula przeszła przez serce. Pierwszy twój niedźwiedź strzelony po mistrzowsku, to też słusznie należy ci się ta skóra na pamiątkę. Weźmiesz ją do domu. A to się inżynier ucieszy! A czemuż to pan Raczyński tak długo nie odwiedza starego?

Chłopcy, podnieceni zabiciem niedźwiedzia i przeszłym już niebezpieczeństwem starego, zapomnieli zupełnie o ucieczce z Abakańska, dopiero słowa Andrzeja przypomniały im o tem. Posmutnieli obaj, a Stach, nachyliwszy się do ucha pasiecznika, wyszeptał;

— Andrzeju, chodźmy do chaty... opowiem wam, co się stało... musimy coś uradzić... nie możemy już wracać do wsi...

Starzec popatrzył chwilę ze zdziwieniem na chłopców, potem szybko podreptał do chaty, i gdy chłopcy weszli do wnętrza, pozakładał grube okiennice, spuścił z uwięzi dwa ogromne kundysy, i przestąpiwszy próg chaty, silnie zaryglował drzwi. Po chwili usłyszeli chłopcy suchy trzask krzesiwa, snop iskier sypnął się z pod stali na hubkę, i wkrótce na kominku buchnął wesoło jasny płomień ogniska, oświetlając niewielką izbę, skromnie umeblowaną sprzętami z grubych tarcic.

Na kołkach, wbitych w drewniane ściany, wisiały ramki pszczelne oraz przybory pasiecznicze; w rogu izby stało szerokie drewniane łóżko, zasłane kołdrą zeszytą ze skór sarnich.

Andrzej wyjął z grubo ciosanej zamczystej skrzyni białe kołaczki, świeże masło i jagody, postawił to przed chłopcami, a potem z drugiej połowy domu, będącej składem i spiżarnią, przyniósł dzban mleka.

Zgłodniali uciekinierzy nie dali się długo prosić.

Po skończonym posiłku Stach opowiedział pasiecznikowi o wyjeździe wujka do tajgi, napadzie bolszewików na wieś, a następnie o ucieczce. Andrzej z zajęciem słuchał opowiadania, rozpytywał o najdrobniejsze szczegóły, a wreszcie przemówił

— Dobrzeście zrobili, uciekając do mnie, bo do kopalni złota daleko i łatwo zbłądzić. Do Abakańska już wracać nie możecie, ale jutro wyślę z wami mego wnuka nad Kemczik do Urjanchaju, tam mieszka bogaty kolonista Szyrnin, który panu Raczyńskiemu pomagał w badaniu pokładów azbestowych i starych pokładów nad Jenisejem. Tam u niego przebędziecie czas jakiś, a ja tymczasem pošlę do inżyniera zaufanego człowieka i wskażę wasze miejsce pobytu. A teraz, chłopcy, spać! Zrobiliście kawał drogi, więc spoczynek wam się należy. Pójdziecie jednak do stodołki na siano, bo kto wie, co się jeszcze może trafić.

W tejże chwili rozległo się wesołe porykiwanie bydła, potrząsającego *bototami* (dzwonkami na szyi), potem szybki tupot nóg bosych i do drzwi chaty jął bić ktoś drobnymi piąstkami.

— Dziaduś, otwórzcie! — wołał młody głos chłopięcy.

Gdy Andrzej szybko odryglował zasuwę, przez otwarte drzwi wpadł młody dziesięcioletni może chłopak w rozkiełzanej na piersiach koszuli, z płową, rozwianą od szybkiego biegu czupryną.

— Dziaduś! Jeźdźcy jacyś walą od Kozaczej *tropiny*<sup>1</sup>), wkrótce tu będą.

Pasiecznik co tchu wyprowadził chłopców na dwór i ukrył ich na strychu niewielkiej stajenki, sam zaś wróciwszy prędko do chaty, zebrał ze stołu nakrycie, pochował je, mówiąc do patrzącego ze zdziwieniem wnuka:

— Władek! Ani słowa o tem, że panicze tu byli! Pamiętaj!

Za ogrodzeniem rozległ się trzask łamanych gałęzi, a równocześnie przeraźliwe ujadanie kundysów. Stary wolno wyszedł na podwórze i zawołał:

— Karo! Zagraj! Do nogi!

A gdy psy przybiegły, łaszac się do niego, lecz ciągle szczerząc zęby w stronę opłotków, krzyknął gromko:

— A kto tam włóczy się po nocy? Odpowiadaj prędeej, bo psy puszcze!

— Uwiążno, stary, swoje pieski — rozległ się szyderczy głos za płotem. — W gościnę do ciebie jedziem, na miód...

Dalsze słowa stłumił trzask łamanych żerdzi ogrodzenia, i kilkunastu zbrojnych ludzi, prowadząc w rękach konie, wpadło z różnych stron na



podwórze.

Kilka żylastych rąk chwyciło starca. Zaprowadzono go do chaty. Psy rzuciły się na pastników, lecz odpędzone nahajami, kulejąc ze skomleniem skryły się w zarośla.

Do wnętrza izby wtoczyło się kilkunastu ludzi, którzy zaświeciwszy łuczywa, rozbiegli się po domu i pasiece, myszkując po wszystkich kątach. W izbie pozostało kilku tylko brodatych chłopów, zajmując miejsca na ławach i zydlach. Każdy z nich trzymał w ręku karabin, u pasa zwisały im szable i rewolwery, za pasami sterczały granaty ręczne. Przy świetle płonącego na kominku ogniska widać było ich zuchwałe, drapieżne twarze, czerwone koszule i pięcioramienne czerwone gwiazdy na dużych czapach baranich. Za stołem usiadł wysoki kościsty chłop o dzikiem wejrzeniu i, zwracając się do Andrzeja, zapytał:

— Czyja to pasieka? twoja?

— Inżyniera Raczyńskiego, dyrektora fabryki żelaza w Abakańsku — odparł stary spokojnie.

— A gdzie inżynier? — zapytał chłop.

— Nie wiem, dawno tu już nie był.

— A nie przejeżdżał tu kto koło pasieki?

— Owszem, byli dwaj siostrzeńcy inżyniera, ale poszli do tajgi na *solonce*<sup>2</sup>).

— Dam ja im polowanie — mruknął chłop, lecz nagle spojrzął podejrzliwie na Andrzeja i zagadnął chytrze:

— Ej! kłamiesz, stary, gdziebyś ty puścił na noc swoich pupilków do tajgi! Pewnoś tu ich ukrył gdzie w chałupie.

Andrzej wytrzymał spokojnie badawcze spojrzenie chłopca i mruknął

tylko pod nosem:

— Szukajcie!

Na dworze ozwał się w tej chwili żalosny ryk bydła, a potem gruchnęło kilka wystrzałów.

Chłopi porwali bron i wypadli z chaty... Na podwórzu płonęło ogromne ognisko, podsycane deskami z próżnych uli, a przy jego świetle kilku ludzi uganiało za cieleętami, prażąc je ogniem karabinowym. Inni, śmiejąc się głośno, podnosili zabite cieleęta, obdzierali ze skóry, płatali szablami na części i kawałki te wieszali na żerdzi umocowanej na trójnogach nad ogniskiem w ten sposób, aby żar obejmował je ze wszystkich stron. Z chaty poczęto wynosić chleb i cały zapas żywności, który zapobiegliwy gospodarz gromadził w spiżarni. Wkrótce rozszedł się zapach przypalającego się mięsa, i banda zasiadła do biesiady, rwąc mięso na sztuki, widocznie trapiąca silnym głodem.

Ów kościsty chłop, który w chacie indagował Andrzeja, był widocznie starszym w drużynie, bo jemu zdawano relację z poszukiwań czynionych w pasiece. Z raportów tych wywnioskował pasiecznik, że dotychczas nic nie znaleziono, i już dziękował Bogu, gdy nagle ozwał się głos dowódcy;

— Towarzysze! dajcie koniom siana, bo zdrożone, a potem objuczyc je czem się da, i jazda do wsi. Ty stary — rzekł, zwracając się do Andrzeja — także pójdiesz z nami, a pasiekę i dom spalimy, aby się tu uciekinierzy nie gnieździli.

Głośny śmiech biesiadników był odpowiedzią na słowa chłopca, Andrzej jednak zadygotał na myśl, że żołnierze, zrzucając siano ze stajenki, znajdują tam ukrytych chłopców. Przysunął się więc do dowódcy i jął

mówić półgłosem:

— Przybyliście do pasieki, której ja jestem stróżem, ale nie wypada, abyście zmęczeni daleką drogą mieli zaraz odjeżdżać. Przysłowie mówi: gość w dom, Bóg w dom, przeto pozwólcie, abym was należycie ugościł... Dajcie mi ze dwóch trzech ludzi, bom ja już stary, sił mam niewiele...

Dowódca skinął na kilku mołojców, którzy wzięwszy łuczywa, poszli za starym do domu. Tutaj w spiżarni pasiecznik odrzucił z kąta kilka desek, przygotowanych na ule, i odgarnął łopatą ziemię, pod którą ukazały się silnie na wrzeczadkach osadzone drzwi, zamknięte na dużą kłódkę. Stary klucz zazgrzytał w zamku, mołojcy chwycili za odrzwia, szarpnęli je w górę, i oczom ich ukazał się głęboki loszek suchy i przewiewny. Gdy zeszli po kilku schodkach w dół, zobaczyli rzędem stojące pękate beczki. Stary wskazał na jedną z nich, którą chwycili żołnierze, z trudem podnieśli w górę i wysadzili przez otwór do spiżarni, gdzie kilku innych ciekawie zaglądało do loszku. Beczka, chwycona przez kilkanaście tęgich ramion, znalazła się wkrótce na podwórzu przy ognisku. Odbito z niej wierzchnie denko, i wraz rozniósł się przyjemny zapach miodu. Pasiecznik chwycił duży kubek, zanurzył go w gęstą ciecz brunatną i z pokłonem podał dowódcy. Twarz chłopca wyrażała wielką pożądlivość, ale chcąc się pokazać prawdziwym wodzem, rzekł głośno do Andrzeja:

— Pij pierwszy! Może ty nam jakiego jadu chcesz zadać?

Pasiecznik bez słowa wychylił kubek, a nabrawszy po raz drugi, podał go naczelnikowi drużyny. Chłop pokosztował raz i drugi, mlasnął językiem, a potem pił z kubka wolno, jakby delektując się smakiem trunku.

— Taki sam znaleźliśmy w butelkach w domu inżyniera — mruknął — ale tamto zabrał komisarz dla siebie... mówił, że do Minusińska zawiezie, alem widział, jak potem z Makarowym wypijali po butelczynie... Pijcie, chłopcy! Cośmy dostali, to nasze, a jak zabraknie, to jeszcze poszukamy — huknął na swoich ludzi.

Bursztynowy płyn popłynął szeroką strugą w zachłanne gardziele, wzniesając odrazu wesołość. Poczęły się sypać grube żarty i anegdoty, a Andrzej biegał koło biesadników, dolewał im miodu, zachęcając do picia. Aby jednak ta nadzwyczajna gościnność nie wydała się zbirom podejrzaną, stary często czerpał swym kubkiem z beczki i udawał, że pije, nieznacznie wylewając zawartość naczynia na ziemię. Gdy zobaczył wreszcie, że większa część bandy jest już dobrze pijana, wyniósł z loszku mały antałek i, stawiając go przed dowódcą, krzyknął głośno:

— Chłopcy! Ten miód ma już dwadzieścia lat, a przywiózł go pan Raczyński z zachodu. Kazał mi go strzec jak oka w głowie, bo to ma być trunek przedni. Na wasze zdrowie! Niech żyje komuna!

Żołnierze podchwycili okrzyk starego, i wnet kubki zadźwięczały o boki antałka. Ten i ów wypił do dna, ale trunek tak silnie bił im do głowy, że wkrótce poczęli sennie się kiwać i niepewnie płatać na nogach. Raz wraz walił się któryś ciężko na ziemię, rozgłośnem chrapaniem głuszając coraz bełkotliwszą rozmowę towarzyszy. Andrzej, chcąc zupełnie uspić czujność dowódcy, kazał wnukowi, siedzącemu beczynnie dotychczas w kącie izby, wleźć na strych stajenki i zrzucić koniom siana, poleciwszy równocześnie szeptem zawiadomić chłopców, że chwila wybawienia już bliska.

Władek kopnął się żywo na strych, i po chwili poczęły zlatywać wdół

duże wiązki wonnego siana, i te starzec rozkładał między konie, badając przytem, które z nich najlepsze. Za ostatnią wiązką siana zbiegł szybko po drabinie Władek, a pomagając dziadkowi karmić konie, wyszeptał:

— Dziaduniu, nieszczęście! Starszy panicz raniony... żołnierze szukali między sianem, wpychając w nie szable... jedna z nich przeorała paniczowi nogę... trzeba mu pomóc.

Stary obejrzał się w stronę ogniska. Wszyscy żołnierze leżeli już pokotem, prawie bez czucia. Ten i ów odrzucił od siebie karabin, inny zdjął pas i leżał rozkrzyżowany jak kłoda. Niejeden mrucał coś przez sen, lub rzucał się niespokojnie... Andrzej pobiegł do chaty, zdjął z półki jakieś zioła, a potem powoli wgramolił się na strych. Długo go widać nie było, aż wreszcie ukazał się, ale nie sam; za nim jak widma zsunęli się po drabince obaj chłopcy i skryli się za ścianą.

Pasiecznik wyprowadził teraz za ogrodzenie najlepsze, poprzednio upatrzone konie; potem wróciwszy do dogasającego ogniska, zabrał kilka karabinów, naboje i rewolwery i odniósł je chłopcom; następnie przy pomocy Władka pościągał z pozostałych koni siodła, zwierzęta zaś zaprowadził do pasieki i tu uwiązał do ogrodzenia, wreszcie zebrał całą pozostałą broń i złożył wraz z siodłami w stajence.

— Siadajcie, chłopcy, na konie i jazda w las za Władkiem - szepnął do Zaniewskich. — Ja was po chwili dogonię.

Pomógł wleźć na koń Stachowi, który zaciskał zęby, aby nie syknąć z bólu, i wkrótce wszyscy trzej zniknęli jak duchy w mroku leśnym.

A Andrzej, obchodząc kąty swej siedziby, wtykał pod strzechy żarzące się węgle, rozdmuchiwał je, czekając, aż zajmą się deski, potem rzucił zapaloną głównię w siano stodółki, wskoczył na siodło i pognął wślad za chłopcami.

Wkrótce potem wśród głębokiej nocy niebo zalało się krwawą łuną  
pożaru i świeciło długo — aż do dnia.

## ROZDZIAŁ III.

### PIERWSZY POSTÓJ.

Konie szły wolno, wspinając się w górę wąziutką kamienistą ścieżką, wijącą się na pochyłości góry tuż nad głęboką przepaścią, w której na dnie huczał i pieniał się wartki potok górski.

Andrzej szedł na przedzie, prowadząc swego konia za uzdę, i torował drogę, ścinając toporkiem jakiś krzak, rosnący zbyt blisko ścieżki, lub strącając odłam skalny, który zerwany przez wichury gdzieś z wierzchołka, stoczył się wdół i zatrzymał na tropinie wpoprzek przejścia. Słońce było już wysoko i zalewało tajgę kaskadami ciepłych promieni, złocąc bezkresny sfalowany górami ocean borów, pędziło z drzew odurzającą woń żywiczną, lub srebrzyło się na pniu rosnącej gdzieś samotnie na urwisku białej brzozy.

Chłopcy, zmęczeni ucieczką i bezsennymi nocami, kiwali się w siodłach, przemocą prawie otwierając oczy, aby przez ruch niebaczny nie stracić koni w przepaść, a Stach co chwila dotykał silnie obwiązanej nogi i za każdym silniejszym wstrząśnięciem zaciskał zęby, by nie okazać towarzyszom trapiącego go bólu.

Jadąc wolno, krok za krokiem, dotarli wędrowcy do przełęczy. Teraz ścieżka gwałtownie poczęła schodzić ku obszernej dolinie leśnej, werżniętej między dwie ściany skalistych masywów. Konie ostrożnie opierały się na przednich nogach, cały ciężar ciała przesuwając ku tyłowi

przez skurcze nóg zadnich, co chwila szukając oparcia na twardych występach, sterczących gdzie niegdzie wśród rozsypiska. Po mozolnej, niebezpiecznej przeprawie wędrowcy zatrzymali się w niewielkiej kotlinie pokrytej gęstą, puszystą trawą, z której na widok ludzi pierzchło w popłochu stadko saren. Przez kotlinkę sączył się niewielki strumyczek, cicho szmerząc po kamieniach, a dalej spadał wąziutką srebrzystą tasiemką wodospadu wdół, odbijał się jak piłka na skalnych progach i ginął w parowie, tocząc wody z nurtami spienionej rzeczki, tryskającej w głębi z czarnych czeluści ogromnej grotty.

Andrzej rozsiadł konia, a za jego przykładem poszli chłopcy, tylko Stach, mocno kulejąc, powłókł się do potoku, gdzie począł obmywać wyraźnie ogniącą się ranę, którą następnie pasiecznik obłożył zmiętymi liśćmi jakiejś rośliny i przewiązał mocno bandażem. Władek i Janek ruszyli z toporkami po suche gałęzie, i niedługo potem buchnęły wgórze wesołe płomienie ogniska.

— Jesteśmy tutaj zupełnie bezpieczni — mówił Andrzej do Stacha, ustawiając nad ogniskiem trójnog z gałęzi i wieszając na nim kociołek z wodą. — Dom i stodółka w pasiece spłonęły, a z nimi broń bolszewików... konie umyślnie przywiązałem przy pasiece, bo pszczoły, nie znoszące zapachu koni, na pewno poczęły je kłuć żądłami, zwierzęta rozbiegły się po kniei, a nasi wrogowie zbyt byli pijani, aby je chwycić... sami musieli zmykać od pożaru... no i piechotą, bez broni powrócą do Abakańska, a jeżeli wyślą pogoń, to po nas już ślad zastygnie..

— Gorsza bieda, że nie mamy zapasów żywności, a ja w ucieczce będę zawadzał z tą raną — szepnął smutnie Stach.

— Ee! — skrzywił się pogardliwie stary — zwierzyny w tajdze wbród. Jutro zaraz pójdziemy z Jankiem na łowy, a twoja noga zagoi się



za tydzień. Przez ten czas Władek skoczy na nowe kopalnie do Tatarów dowiedzieć się, gdzie się znajduje inżynier. Tatarzy tam wygnali swoje stada z obawy przed bolszewikami i dobrze pilnują przejść... no, a w razie czego złego przejedziemy na Kemczik dłuższą drogą... przez

Czerwony Taskył, tylko trzeba się będzie śpieszyć, by nas zima nie chwyciła w Sajanach... bo wtedy źle!

W kociołku poczęła kipieć woda, więc stary zasypał ją sucharami z chleba, które przed odjazdem z pasieki przytroczył do siodła, potem dodał kawałek masła i, gdy zupa zgęstniała, zawołał chłopców do jedzenia. Nieszczęśliwe ono było, ale wygłodniały uciekinierzy wyczyścili wkrótce kociołek do dna. Pasiecznik uśmiechał się, sam mało jedząc.

— Oto macie — mówił — prawdziwe pożywienie myśliwego w naszych tajgach: trochę sucharów w wodzie zagotowanych, czasem kawał suszonego mięsa, lub herbata z liści malin zaprawiona miodem leśnym. O takim jadle poluje się całą zimę, bo w tajdze trzeba mieć brzuch lekki... Niedaleko za sobolem przebiegniesz po dobrym i sytym posiłku i nieprędko dostaniesz na strzał jelenia, gdyż jako gruby prędko się spocisz...

Wtem na przełęczy ukazały się dwie czarne sylwetki, patrzyły chwilę na obozowisko, a potem w ogromnych susach jęły zbiegać wdół. Janek, mający niezwykle bystry wzrok, zerwał się szybko z ziemi i, przyłożywszy dłonie do ust niby tubę, krzyknął z całej mocy: — Karo! Zagraj!

Psy wpadły z impetem między biesiadników, skomląc radośnie, liżąc ich po rękach i machając ogonami.

— No, teraz jesteśmy w komplecie — śmiał się stary Andrzej —

pieski będą pilnowały w nocy obozowiska, odpadnie nam przeto ciężki obowiązek nocnego stróżowania. A teraz chłopcy na spoczynek! — Janek pójdzie ze mną o północy na zasiadkę, ja tymczasem przygotuję broń i obejrzę ślady, prowadzące do wodopoju.

Chłopcy rozesłali szybko derki z pod siodeł na ziemi i pokładli się na nich, siodeł używając zamiast poduszek. Zasnęli szybko, a stary tymczasem zeszedł wdół ku rzeczce, bacznie wypatrując miejsca na dłuższy postój, oraz śledząc kierunek wąskich drożyn wybitych w gęstej trawie przez zwierzynę.

Już dobrze po północy zbudziło Janka silne szarpanie za ramię. Zerwał się szybko, przetaił klejące się snem powieki, a zobaczywszy lekko tlejące ognisko i towarzyszy owiniętych w derki, zrozumiał, gdzie się znajduje. Chwycił skwapliwie podany mu przez starego karabin, garść naboju wsunął do kieszeni i po chwili szedł za pasiecznikiem, ostrożnie grunt macając nogami. Krętymi ścieżkami zeszli wdół i tu Janek pozostał wśród ogromnych odłamów skalnych, Andrzej zaś poszedł dalej.

Noc wrześnieowa była już na schyłku, więc dotkliwe zimno jęło kasać członki chłopaka, siedzącego bez ruchu na swem stanowisku. Kilkakrotnie chciał już wstać, przebiec parę razy, ale wczas przypomniał sobie, że tylko od cierpliwości i spokoju zależy dodatni wynik polowania.

Poczęło świtać.

Ciemna płachta nocy jęła się przecierać tu i ówdzie. Zamajaczyły szare sylwetki kamieni, Powoli z mroku poczęły występować smukłe pnie drzew i zbite kępki krzaków. Przez dolinę przeciągnął leciuchny wietrzyk, i chłopcu wydało się, że to pod jego tchnieniem cofał się mrok

szary, odkrywając coraz to nowe obrazy. Jeszcze tu i tam ciemne załomy skał zdawały się być pokryte kirem, ale już niebo zrobiło się mleczne, a gdzieś hen za szczytami gór pokazała się jakby daleka luna.

Janek wytężył wzrok, badając pilnie każdą szczelinę, każdy krzak. Nagle w powietrzu rozległ się silny łomot skrzydeł, i duży czarny ptak, zatoczywszy łuk ogromny, usiadł na gałęzi sosny, rosnącej w oddaleniu kilkudziesięciu kroków od zasiadki. Chłopiec wolno uniośł broń, oparł ją na kamieniu, lecz wczas pohamował żyłkę myśliwską.

— Strzelę do głuszca — myślał — niewielka zdobycz, echo rozniesie huk wystrzału i nic więcej nie *przyjdzie*. Poczekam.

Tymczasem na wschodzie luna *zataczała*, coraz silniejszy krąg: przechodziła z lekko różowej w purpurową, poczęła już złocić szczyty gór i nagle załała silnym blaskiem dolinę, Z za szczytu wychyliła się powoli ogromna złocista tarcza słońca. Martwa dotąd dolina poczęła drgać życiem. Rozpaliły się blaskami brylantów kropelki rosy, zajaśniały seledynem załomy skał, zaświeciły blaskiem żywego srebra nurty rzeczki. Leciuchny obłoczek mgły spłynął zwolna ze szczytów ku dołowi i przypadł do rozpadlin jak biały przeźroczysty szal, A promienie słoneczne zachłannie piły rosę, osuszając troskliwie różnobarwne kielichy kwiatów, wychylających się z gęstej zieleni traw.

Janek, patrząc w zachwycie na narodziny dnia w dzikiej tajdze, zamarł nagle w bezruchu; od rozległej hali wolno wychyliło się stado jeleni, zdążając do wodopoju. Prowadził gromadkę duży samiec z rozłożystemi rogami na głowie, dalej postępowały smukłe łanie, a koło nich gromadka dorosłych koźląt. Szły lekko, zgrabnie podnosząc cieniutkie muskularne nóżki. Czasem zatrzymywały się na chwilę, bacznie wejrzeniem czarnych oczu lustrując okolicę; to znów

pierzchały nagle, w szalonych susach; przeskakując powalone pnie. Chłopak, skulony za dużymi odłamami skał, dygotał na całym ciebie, przyciskając rękami gwałtownie trzepocące; serce. Kilka razy chciał strzelić wślad za uciekającą gromadką, lecz rozprężone emocją członki odmawiały posłuszeństwa, a broń dygotała: w nich, jak liść szuwaru trącany wiatrem.

Tymczasem jelenie używszy wszystkich forteli, mających wywabić ewentualnego wroga;; z zasadzki (zwyczajów zwierząt nie znał jeszcze Janek dokładnie), zbliżyły się zupełnie spokojnie do rzeczki. Wody jej rozlewały się nieco szerzej o kilka kroków od sosny, na której siedział jeszcze głuszc, migocąc metalicznym upierzeniem w promieniach słońca. Młody myśliwy począł się uspokajać i cichutko wysunąwszy lufę karabinu z za kamieni, zmierzył do samca, W tej chwili jednak rozległ się ostry łomot skrzydeł; to głuszc zerwał się z sosny, a równocześnie coś ciemnego mignęło w powietrzu, Jelenie rozbiegły się w popłochu, tylko na murawie leżał tęgi koziołek, gwałtownie bijąc raciczkami ziemię i głośnym rozpaczliwym beczeniem wzywając pomocy. Na nim leżał jakiś drapieżnik, zatapiając raz po razu błyszczące kły w szyi zwierzęcia.

Wszystko to stało się tak szybko, że Janek nie miał nawet czasu wystrzelić. Teraz więc porwała go złość, że ktoś popsuł mu łowy. Chwyciwszy przeto na muszkę karabinu bure cielsko napastnika, posłał mu kulę. Głośny huk wystrzału rozległ się w powietrzu, a echo poniosło go wdał, powtarzając setki razy na złomach skalnych i turniach. Po chwili gdzieś z dali odpowiedział huk broni palnej, podchwyciły go urwiska i bory, a potem nastąpiła cisza.

Janek ostrożnie wychylił głowę z zasadzki, lecz zdobycz nie ruszała

się z miejsca. Pobiegł przeto szybko do sosny i teraz dopiero spostrzegł, że kula jego powaliła największego rozbójnika kniei: rysia<sup>1</sup>). Leżał bez ruchu na płowem ciele kozła z wbitemi w jego kark białymi kłami. Duża ołowiana kula trafiła go tuż pod łopatkę, przecinając pasmo rozbójniczego, życia na miejscu. Rdzawa sierść, pokryta drobnymi centkami, była niezmiernie puszysta i miękka, co o tej porze wróżyło-wczesną i twardą zimę.

Po upływie pół godziny zjawił się Władek, radośnie oszczekiwany przez Zagrają. Chłopiec, obejrzawszy uważnie zdobycz, jął ściągać skórę z rysia. Szło mu to nadzwyczaj gładko i prędko, tak iż po chwili puszyste futerko wisiało już na gałęzi rozpięte pręcikami. Gorsza jednak sprawa była z kozłkiem, zbyt bowiem ciężkie było na siły chłopców. Na szczęście wkrótce zjawił się Andrzej, niosąc na plecach sporego sarniuka, i po ściągnięciu skór z obu zabitych kozłów, począł wykrawać z ich mięsa długie pasy, które następnie chłopcy zawiesili na wyciętej poprzednio żerdzi i zanieśli do obozowiska. Kilkakrotnie wracali po nowy ładunek, a Stach przyniesione mięso wieszał nad ogniskiem i wędził w dymie gałązek sosnowych.

Następnego dnia z rana Andrzej długo naradzał się ze Stachem, poczem przywołał do siebie Władka.

— Pójdiesz — mówił do wnuka — Jelenią, tropiną do Abakanu, a potem Kozaczą Ścieżką do nowej kopalni nad Manem. Powinieneś tam zastać kogoś z naszych ludzi z bydłem, a wtedy powiesz, aby dowiedzieli się, co słychać w starej kopalni i gdzie znajduje się pan dyrektor. Weźmiesz ze sobą konia bez siodła, aby nie wzbudzić podejrzenia, gdybyś kogo spotkał obcego, a wracać będziesz do tatarskich figur, my tam na ciebie już czekać będziemy. Gdybyś spotkał się z panem

Raczyńskim, opowiedz wszystko, co wiesz.

Chłopak ucałował ręce dziadka, napchał do torby mięsa; zarzucił wraz z derką na grzbiet konia i po chwili zjeżdżał już z góry ku potokowi, aby potem przez hale ruszyć ku zachodowi. Psy chciały biec za malcem, ale stary na to nie pozwolił.

— Władek zna dobrze drogę — mówił do Zaniewskich — a psy, gdy będą gonily za zwierzyną, szczekaniem mogą sprowadzić na chłopca jaką biedę. Kto wie, czy koło kopalń nie kręcą się już bolszewicy...

— Ale Władek łatwo może zabłądzić — przerwał Janek.

— Ho! ho! Władek „zabłądzić” !... przecież on od urodzenia w tajdze siedzi i każdą zimę z ojcem poluje, a od trzech lat za sobolami biega. Będzie to - kiedyś tęgi myśliwy, bo berbec już teraz rozróżnia dobrze tropy zwierząt i zna ich obyczaje nie gorzej ode mnie starego.

— Aby mu się tylko co złego nie przytrafiło, boście mu nawet broni nie dali — robił Stach wyrzuty Andrzejowi.

Stary kiwał jednak głową niecierpliwie, wreszcie odparł:

— Nie. zaczepi go żaden zwierz, bo one się boją człowieka. Wilków tu niema, bo to góry, a śniegi przecie nie spadły, niedźwiedzie nie : szukają jeszcze barłogów, więc nie są zaczepne. Szkodzić więc może tylko człowiek, A wiesz przecie dobrze, że ani myśliwy ani Tatar dziecka w tajdze nie zaczepi, bo to wedle wierzenia leśnych ludzi przynosi nieszczęście, owszem każdy pomoże, czem tylko będzie mógł, Broni nie kazałem brać, bo to rzecz łakoma, i gdyby chwyciły go patrole bolszewickie, to chłopak przepadł. Zaraz pytania: a skąd masz broń, a kto ci ją dał? a potem kula w łeb! Korzystajmy lepiej z niemocy Stacha i róbmy zapasy suszonego mięsa, bo kto wie, co nam jeszcze wypadnie!

Tegoż dnia przeniesiono obozowisko niżej w dolinę i tam pod osłoną

potężnych sosen zbudowano obszerny szałas. Po całych dniach płonęło przed nim ognisko, nad którem Stach wędził mięso, Andrzej i Janek spędzali dnie w tajdze, znosząc do szałasu szyszki cedrowe, z których, wieczorami wyłuskiwano smaczne orzeszki, a nieraz przynosili zabite jarząbki, cietrzewie lub głuszce. Rana Stacha goiła się szybko pod troskliwą opieką starego pasiecznika, tak iż chłopak mógł już nieraz przesiadywać nad rzeczką i polować zmajstrowanym przez siebie trójzębem na *chajrusy*2), których i mnóstwo żyje w rzeczkach górskich i potokach tajg.

— Ciekawa to ryba — opowiadał raz Andrzej, zjadając smaczne białe jak śnieg mięso chajrusów ugotowanych na wieszak, — Jak tylko spłyną śniegi z gór, odrazu ryby te przyplływają z większych rzek i wędrują potokami aż do ich źródeł. Płyną one wtedy w górę, przeskakując progi jak łososie. Widzieć je można w potokach, położonych na wysokości 1800 metrów nad poziomem morza, Ale niech tylko zacznie się mróz, wnet spływają całymi masami w dół Abakanu, Oji i innych rzek, a potem do Jeniseja. Zwyczajnie ich znają dobrze myśliwi i zwierzęta; to też w tym czasie gdy drobna kra idzie z wodą, zastawiają ludzie przez całą szerokość rzeczek i potoków zapory z kratami zaopatrzone korytem, do którego wpadają ryby, nie mogące się wraz z wodą przecisnąć przez kratę. Często też można w tym czasie zobaczyć niedźwiedzia, jak stojąc nad potokiem, uderzeniem łapy wyrzuca z wody ryby, a nabierawszy w ten sposób pewną ilość, delektuje się ich smacznym mięsem.

Minęło ośm dni od wyjazdu Władka, Zapasy, żywności leżały już doskonale wysuszone w<sup>1</sup> workach ze skór zabitych kozłów, wyprawionych znakomicie przez Andrzeja, Konie, używane zrzadka do zwożenia drzewa, wypały się wspaniale na soczystej trawie, a rana

Stacha zablizniła się już prawie zupełnie. Wobec tego Andrzej postanowił ruszać dalej. Przygotowano wszystko do odejścia, objuczono konie żywnością i skórami kilku upolowanych wyder, i dziesiątego dnia o świcie ruszyła karawana w głąb tajgi wśród radosnego poszczekiwania psów.



## ROZDZIAŁ IV.

### W MSZARZE LEŚNYM.

Szli początkowo dość szeroką doliną wprost na południe, a potem zwrócili się na ledwo widoczną z pod traw ścieżynę, wiodącą na zachód. Wygodna w pierwszych dniach droga stawała się coraz mozolniejszą, szczególnie odkąd ścieżka z łąk trawiastych przeszła w gęste knieje. Tutaj wśród nieopisanej gmatwaniny pnączy jeżynowych zatracił się ślad drożyny zupełnie. Szli więc prowadzeni myśliwskim instynktem Andrzeja naprzelaj przez gęste, młodniki, po-<sup>ć</sup> walone i spróchniałe pnie lub ciemne, wysokie ;bory. Ręce im mdlały od ciągłego używania toporków, któremi torowali sobie drogę wśród gęstwiny; plecy zginały się pod powalonymi pniakami, które leżąc wpoprzek drogi tamowały koniom przejście, a palce krwawiły się nieraz na ostrych złomach skalistych, które trzeba było odrzucać, by nie ścięły koniom kopyt niechronionych podkowami. Nadmiar złego weszli w trzęsawiska rozległe i mszary, gdzie prawdziwą plagą były maleńkie jak mąk muszki, cisnące się natrętnie do ust, nosów, oczu i tnące bez wytchnienia.

Co chwila z pod nóg wędrowców wyrwały się z mszaru rdzawe pardwy lub lśniące cietrzewie, czasem gdzieś z pod krzaku wypłoszyły psy głuszca, który zrywał się z głośnym łomotem skrzydeł i ginął w niezbadanych labiryntach zagajników brzozowych. To znów lis rudy, myszkujący wśród szczytkowatych kępek traw, zatrzymywał się,

podnosił w górę ostrą mordkę, a zwęszywszy podróżnych, zmykał machając kitą, tem bardziej, że już Zagraj i Karo były na jego tropie i, nierzadko ucapiwszy go za kark, przynosiły do nóg swym panom, radośnie kiwając ogonami i poszczekując jakby z prośbą o pochwałę. Jakkolwiek często pokazywały się stada saren, a czasem i manul<sup>1)</sup> krwiożerczy przemknął w pogoni za zającem, strzelać nie było można, bo nieznośne muszki wpadały w oczy akurat wtedy, gdy broń podnosiła się do oka. Dopiero wieczorami, gdy wędrowcy zapaliwszy ogniska, kładli na żarzące się węgielki stosy mchu, z którego wydobywał się gęsty dym gryzący, muszki znikaly zupełnie. Wtedy można było pokrzepić wieczorą nadwątlone siły i porozmawiać spokojnie bez obawy, że przy otwarciu ust nieproszeni goście wnet oblepią język Tub wraz z oddechem wcisną się do gardła.

W nocy budziły ich ciągłe porykiwania i beczenia, dochodzące z zagajników, kilkakrotnie rozległ się gromki, przeciągły ryk łosi. Janek, zbierając wieczorem suche gałązki na ognisko, znalazł w mszarze ogromną łopatę zrzuconego przez łosia rogu. Noce były księżycowe, jasne, postanowiono więc skorzystać z okazji i zapolować na króla błot.

— Wartoby zdobyć parę skór łosich — mówił Andrzej — bo nie macie dobrego odzienia, a zima się zbliża, Na mrozy zaś niema lepszej rzeczy nad ubranie z takiej skóry. Nie marznie ono nigdy, nie porwie się prędko. A jakże wyglądają wasze odzienia po kilku dniach przedzierania się przez gąszcza? Strzępy z nich wiszą,

W niewielkiej odległości od mszarów rozciągały się olbrzymie przestrzenie trzęsawisk, poznaczone tu i owdzie lśnięciami taflami niewielkich jezior, gdzie rano i wieczorem rozlegały się krzyki kaczek, gęgania gęsi, ponure huczenia czapli-bąków, lub śpiewne

*kiii-wit* czajek. Choć jesień miała się ku końcowi i wysokie kiście oczeretów i trzciny *zżółkły* już zupełnie, znaczna jednak część błot pokryta była kobiercem pięknej, świeżej zieleni, chwiejącej się lekko pod podmuchami wiatrów.

Janek, chcąc opatrzyć na przyszłe stanowisko wysoką kępę z kilku sosnami, wystającą niby wyspa wśród morza traw, wszedł na ową zdradliwą łąkę, ale już po kilku krokach na chwiejnej powierzchni chciał się wycofać. Niestety uczynił to zbyt późno, bo powiązane pod spodem korzenie traw rozstały się nagle pod jego ciężarem, i chłopiec zapadł się głęboko, aż po kolana, w miękki trzęsący się muł. Szarpnął się z całej mocy, chcąc wyrwać nogi i nagle z przerażeniem spostrzegł, że zapada się coraz głębiej, odczuwając równocześnie, że coś jakby oplątywało mu nogi i powoli, lecz równomiernie ciągnęło w głąb. Daremne były wszelkie wysiłki i szamotania. Grząska topiel wciągała swą ofiarę, jak wir rzeczny wsysa liść lub gałązkę drobną rzuconą w nurty. Przed oczyma chłopca lśnił lekko kołyszący się dywan traw zielonych, a przez mózg w szalonym tempie przelatywały obrazy krótkiego życia, wreszcie oczyma duszy ujrzał się martwym i spówi-ł tym w żmijowe sploty wodorosli gdzieś na dnie trzęsawiska. Wtedy strach najeżył mu włosy, a rozpacz wyrzuciła z kurczowo zaciśniętego dotychczas gardła straszny okrzyk: — Ratunku! Ratunku!

Zaszeleściły posępnie oczerety, jakby chciały zagłuszyć ten krzyk rozpacz, lecz o radości!... zdała odezwało się zajadłe szczekanie psów, zbliżało się coraz bardziej, i niedługo potem Karo i Zagraj z wywieszonymi ze zmęczenia ozorami ukazali się na kraju trzęsawiska.

Zrozumiały zapewne wierne psiska, że Jankowi grozi niebezpieczeństwo, bo gdy Karo usiadłszy, począł żalonym wyciem

wzywać pomocy, Zagraj w szalonych skokach pobiegł zpowrotem do obozowiska.

A chłopiec zapadał się coraz bardziej,,. Już teraz gęsty muł, skrępowawszy swej ofierze nogi, chłonał ją w siebie szybciej, dławiąc piersi. Chłopecie rozkrzyżował szeroko ramiona, chwytając niemi kurczowo kępy traw, ale nadzieja zakiełkowała w zmęczonem sercu... bo wyraźnie słyszał szybki bieg ludzki i trzask łamanych i gałęzi na mszarze...

Nadbiegli zadyszani, poprzedzani urywanem szczekaniem psa.

Stach, widząc tonącego brata, chciał pobiec mu z pomocą, ale wstrzymał go gniewny krzyk .Andrzeja:

— Stój! Chcesz zgubić jego i siebie? Ruszaj tam do kępy i natnij co prędzej, brzeziny! Chłopak skoczył, ile miał sił w nogach, i po . chwili wrócił z wiązką długich tyczek. Andrzej powiązał je zerwaną z siebie koszulą w ten sposób, że tworzyły jakby szeroką drabinkę, i rzucił zgrabnie tonącemu tuż pod rękę.

— Podciągnij te pręty pod ramiona — krzyknął — i wesprzyj się na nich!

Chłopiec z trudem wykonał rozkaz,,. pręty wygięły się trochę, ale szeroka postawa drabinki utrzymała ciężar jego ciała. Trzęsawisko spoczęło bulgotać jakby w złości, że oczekiwany łup wydziera się z jego objęć, Stach zziąjany, mokry od potu znosił coraz to nowe stosy gałęzi, a Andrzej robił z nich wiązki i rzucał Jankowi, Ten zgarniał je pod pachy i w ten sposób utrzymywał się ciągle jeszcze na powierzchni błota.

— Teraz już nie zatonie — szepnął uradowany Andrzej, — Ruszaj, Stachu, do obozu, weź konia i sznury od siodeł, ja tymczasem zetnę tych kilka brzózek, co rosną w oddali.

Po długiej chwili, która Jankowi wydała się wiecznością, powrócił-Andrzej, zginając się pod ciężarem wysmukłej brzoźki, a niebawem przybył i Stach, prowadząc ze sobą konia. Po długich wysiłkach podsunęli pień tak blisko Janka, że mógł go chwycić rękoma. Potem przynieśli drugie drzewo, ułożyli równolegle do pierwszego i wtedy Andrzej, zwinnie przeszedłszy po nich jak po kładce, dotarł do chłopca. Opierając się silnie nogami na jednym pniu, drugi nie bez trudności przerzucił za plecy Janka, ciągnąc następnie oba sznurem tak, że szczelnie! przylegały do ciała chłopca, A potem grubym drążkiem Andrzej począł rozluźniać sploty porostów i mieszać muł, wtykając drążek raz po raz w topielisko, Stach na wystających na mszar końcach pni zrobił zaciosy, przywiązał do nich gruby kawał drewna i do tego zaimprovizowanego orczyka zaprzął konia.

— Gotów — krzyknął na Andrzeja.

— Wolno, naprzód! — zakomenderował stary.

Koń, popędzony nahajem, pociągnął pnie, a z niemi Janka, obejmującego je rękoma, Za-kołysało się. silnie topielisko, z pod ciała chłopca bluznęły wytryski brudnej wody, zacharkotały muliste tonie, i Stach z radością zobaczył, że ciało Janka wysunęło się do bioder z topieli. Jeszcze kilka wolnych szarpnięć i na powierzchni połamanych i pogiętych traw pokazała się cała postać chłopca, ociekającego mułem.

Wyciągnęli go bezsilnego na suchy mszar. Radość rozpieła im serca, więc nie robili najmniejszej wymówki biednemu chłopcu: zbyt srogo ukarał go już los...

W obozowisku Janek wnet przyszedł do sił, ale wieczorem nie poszedł na polowanie: trzęsawiska napełniały go trwogą i odrazą.

Andrzej ze Stachem wyszli przed zachodem I słońca, kierując się na

kępy porośnięte samotnemi sosnami. Doszedłszy do trzęsawiska, przymocowali na nogi łąpcie splecione poprzednio przez Andrzeja z cienkich brzozowych gałązek, nakształt łąpci śniegowych używanych przez myśliwych w północnej części Syberii. Szeroka podstawa łąpci utrzymywała doskonale ciężar człowieka i chociaż trzęsawisko falowało i bulgotało, bez wypadku dobrnęli na suche kępy. Na jednej z nich ulokował się Stach pomiędzy konarami ogromnej sosny, drugą, oddaloną o kilkaset kroków, zajął Andrzej.

Rychło począł zapadać mrok.

Stach słyszał co chwila ostry, przenikliwy świst skrzydeł przelatujących stadami kaczek, rozpoznawał w mroku to smukłe, ciężkie ciała krzyżówek, to maleńkie z niesłychaną szybkością przelatujące ostre klucze cyranek i cyraneczek, Niekiedy stado takie zapadało gdzieś między oczerety, i wtedy rozlegały się gorączkowe kwakania, ochryple lub piskliwe, zdali od powiadały im inne, zupełnie jak kłócące się na targowisku przekupki, gdy jedna drugą chce przekrzyczeć, a pomagają im w tem sąsiadki.

Z bezkresnych mroków wysunęła się powoli ogromna srebrzysta tarcza księżycyca w pełni Łagodne światło zalało trzęsawiska, tworząc tu i owdzie fantastyczne cienie, zaświeciły srebrem tafle jeziorok. Kilka razy posłyszał Stach zmieszane gęgania, potem skrzypiący klangor zórawi, gdzieś z gęstwiny trzciny ozwało się ponure stękanie bąka, a potem zapanowała cisza zupełna, w której słyhać było dokładnie delikatny brzęk cieniuchnych skrzydełek komarów; i muszek. Kilka z nich zabrzączało młodemu myśliwemu tuż koło ucha, i w tejże chwili poczuł na policzku piekący ból. Ruszył lekko ręką, aby odpędzić napastliwe owady, ale te zwabione już zapachem kilku kropel krwi wyssanych z

policzka, przypuściły na chłopca szturm tnąc bez miłosierdzia, gdzie tylko ciało nie ochronione było ubraniem. Stach zacisnął zęby.

— Chociażby was tu jeszcze raz tyle przyleciało — myślał — nie spędzicie mnie ze stanowiska. Wytrzymam — powtarzał uparcie.

I nagle całym ciałem podał się naprzód. Zapomniał o bólu, nie słyszał już brzęku komarów, Inie czuł piekących ukąszeń, bo oto niedaleko rozległ się przeciągły ryk, a potem chrzęst łamanych trzcin i głośne człapanie po wodzie. Tu i tam zerwały się z głośnym kwakaniem kaczki, ale Stach tego nie słyszał, wpatrzony w duży I kształt ledwo majaczący na trzęsawisku.

— Łoś — przemknęło mu w myśli. — Idzie Ina mnie.

Chłupanie i bulgotanie wody rozległo się bliżej. Zwierzę wolno przeszło sobie tylko wiadomymi ścieżkami, potem raz i drugi zachłupała woda pod szerokimi racicami, i Stach w oddaleniu kilkunastu kroków od kępy zobaczył ogromną sylwetkę łosia. Zwierz podniósł w górę łeb, i basowy smętny ryk poniósł się po trzęsawisku i mszarze, gdzieś z dali odezwało się coś jakby echo.

Nie było chwili do stracenia. Muszka karabinu, oświetlona doskonale blaskiem księżyca, przesunęła się po czarnej masie i zatrzymała na łopatce. Gromki huk wystrzału targnęła powie trzem, krwawa błyskawica ognia zaświeciła na mgnienie oka, coś podskoczyło w górę, a potem zważyło się ciężko.

Nieopisany gwar powstał na topielisku. Ze wszystkich stron zrywały się z krzykiem i go-rączkowym kwakaniem kaczki, zachrapały bąki, gwizdały przenikliwie kuliki i czajki; stada i pojedyncze sztuki szybowały w powietrzu z głośnym świstem skrzydeł, niby pociski wyrzucane niewidzialną bronią. Po dobrej chwili gwar ustał i znów

słyszeć było tylko brzęki skrzydeł komarów i czuło się piekące ukłucia.

Stacha trapiła niezmierną ciekawość i chęć przyjrzenia się zdobyczy, lecz niedarmo kilka lat spędzał wakacje w Abakarisku, gdzie nieraz już polował z wytrawnymi myśliwymi; wiedział dobrze, że stanowiska nie wolno opuszczać przed zakończeniem łowów, gdyż najmniejszy niekiedy ruch mógłby spłoszyć znajdującą się gdzieś niedaleko zwierzynę.

Jakoż nie przeszła godzina, gdy z kępy, zajmowanej przez Andrzeja, huknął wystrzał, a potem drugi, Stach zobaczył mknące przez topielisko cienie i w gwarze spłoszonego ptactwa rozróżnił dokładnie ciężkie człapanie racic. Podniesionym do oka karabinem wodził za ciemnymi sylwetkami, i gdy jedna z nich zarysowała się dość wyraźnie na tle jasnej księżycowej smugi, odbitej w tafli okrągłego jeziora, pociągnął za cyngiel. Sylwetka zwierzęcia przypadła na chwilę do ziemi, ale potem szybko pomknęła ku mszarom.

— Chybiłem widocznie — myślał strapiiony chłopak. — Ha! trafia się to najlepszym strzelcom — pocieszył się wkrótce — kto wie, jak się tam Andrzejowi udało, a nuż pudło?

W tejże chwili usłyszał przenikliwy krzyk jastrzębia, był to znak myśliwski pasiecznika, hasło zakończenia łowów.

Zsunął się szybko z drzewa, a nałożywszy na nogi łapcie, ruszył do zabitego łosia. Był to stary, potężny samiec, ukoronowany wspa-niałemi łopatami rogów, największemi, jakie Stach dotychczas widział.

Gdy krzyk jastrzębia powtórzył się tuż koło kępy, chłopak zawołał wesoło:

— Tutaj, Andrzeju, chodźcie! Zobaczcieno mojego łosia.

Po kilku minutach skrzesał stary ognia, zapalił łuczywo i przy jego



świetle podziwiał zabitego zwierza.

— No, no, Stachu — śmiał się — ty, chłopcze, masz szczęście; jedną kulą powalić na miejscu takiego łosia! A gdzie druga sztuka? — zapytał po chwili. — Pudło — odparł chłopak szczerze. — Nigdy nie mów „pudło”, jeżeli nie widziałeś śladu. Nigdy też, strzelając kulą, nie zanedbaj iść za tropem zwierzyny, to stare prawo myśliwskie, Niezawsze kula zabija na miejscu; często kilkaset kroków od miejsca strzału leży zwierzyna bez życia. Teraz chodźmy do obozu zagrać się trochę, bo zimno robi się na dobre, a do rana jeszcze daleko.

Stach, podniecony polowaniem, nie odczuwał zupełnie przejmującego jesienno chłodu, dopiero idąc do obozu, ze zdziwieniem zauważył iskrzący się na mszarach szron.

Zastali Janka przy płonącym ognisku, ale psów nie było.

— Po czwartym strzale — mówił chłopiec — wybiegło na mszar coś wielkiego i legło w niewielkim oddaleniu od obozu, ale gdy psy rzuciły się naprzód, zwierzę zerwał się i pobiegł dalej... Chciałem strzelać! — niestety znikł w zagajnikach.

Rano dopiero poczęto ściągać z topieliska zabita zwierzynę. Okazało się przytem, że i strzał Andrzeja nie poszedł na marne, bo na kępie leżał spory młody łos, Psy szczekaniem zaprowadziły myśliwych do ciężko ranionej przez Stacha sztuki, leżącej kilka kilometrów dalej.

Po ściągnięciu skór wymoczył je Andrzej wraz z korą zdartą z wiklin, a następnie wysuszył w przewiewnym miejscu. Chłopcy chcieli zachować wspaniałe rogi, musieli jednak wyrzec się tego, gdyż ciężar ich i rozmiary zbyt powiększały juki i byłyby prawdziwą zawadą w dalszej podróży. Ukryto je wszakże w gęstych zaroślach, gdyż jak mówił Andrzej:

— Wszystko może zmienić się wkrótce na dobre, bolszewicy nie wiecznie przecież będą panować, a wtedy można będzie jeszcze nieraz w tych miejscach polować i trofea sprowadzić do Abakańska.

## ROZDZIAŁ V.

### PRZYGODA W PIECZARZE

Błota i mszary skończyły się wkrótce, za nimi zaś rozciągały się znów ogromne bory cedrowe, pokrywane ciemną zielenią wysokie łańcuchy gór. Podróżnicy szli teraz ścieżkami, wybitymi przez stada jeleni, ku halom rozległym, które znaczyły się na szczytach gór rdzawymi łysinami. Grunt zmieniał się co chwila. Raz przebywali gęszcza tak zwarte, że juki, przymocowane do siodeł koni, zaczepiały się między smukłemi pniakami podszycia leśnego, i wtedy musieli w pocie czoła wyrębywać szerszą drogę. To znów wchodzili w mokradła, gdzie konie grzęzły po kolana w błocie, a po przebyciu bagnisk kaleczyli nogi na rozsypiskach kamienistych lub szukać musieli przejścia wśród złomów skalnych, spiętrzonych jak gruzy zwałonych miast i zamczysk. Czasem tylko trochę wypoczynku znajdowali na niewielkich polankach, zarośniętych malinami i porzeczkami kwaśnemi.

Borykając się z ciągłemi przeszkodami, dobrnęli wreszcie do sporej górskiej łąki, otoczonej ze wszech stron wspaniałym borem. Przez środek łąki sączył się niewielki strumyczek, spadający wąskimi kaskadami z ogromnych płyt kamiennych, ułożonych równo niby wał obronny jakiegoś dawno w gruzy rozsyanego miasta. Tutaj pod osłoną ściany skalistej rozłożono obozowisko, tutaj miano zatrzymać się na kilka dni, aby odpocząć i podpaść konie do dalszej drogi. W niewielkiej

odległości od rozsypisk, pod którymi Andrzej wyznaczył miejsce na odpoczynek, widać było na polanie, zwężającej się ku górze, mnóstwo sporych kopców, otaczających obszerny pagórek, zupełnie podobny do kurhanu. Okrągłe podstawy kopców otoczone były piaskiem! kamieniami, niby płotem, a na szczycie pagórka tkwił ogromny czworogranny głaz, równy i gładki, jakby wysiekany ręką ludzką. Co było jednak najdziwniejsze, kamień ten był zupełnie innego gatunku niżli rozsypiska, znajdujące się wkoło, miał bowiem pewien czerwony odcień, gdy skały rozrzucone po polanie znaczyły się białawo-szarymi plamami, na których tu i ówdzie mech tworzył zielone lizaje.

Stach odprowadził konie na część polana wolnej od złomów kamienistych i tam puści je, spętawszy im uprzednio nogi. Janek tym czasem zbierał między skałami chróst na ognisko. Nagle podniósł coś z ziemi, oglądnął ze zdziwieniem, a następnie zawołał do pasiecznika rozwiązującego juki:

— Andrzeju! Patrzcie, co tu znalazłem, toć to żelazne ostrze od strzały!

Stary roześmiał się tylko wesoło i krzyknął w odpowiedzi:

— Rozkop jeden z tych kurhanów, co tam widzisz powyżej rozwalisk, a na pewno znajdziesz coś cenniejszego, bo grotów powinno być tutaj więcej.

Gdy już nad ogniskiem zawisł Kociołek, i chłopcy wyciągnęli się na miękkim mchu, Andrzej uważnie oglądnął znalezione przez Janka ostrze i wyjaśnił:

— Oto siedzimy teraz w głuchej tajdze, daleko od siedzib ludzkich, a przecież co chwila spotykamy ślady dawnego życia. Patrzcie na te kopce.

Przecież takie same musieliście widzieć na stepach tasztypskich, lub koło drogi wiodącej z Minusińską do Jermakowskiej. Tam koło Tasztypu większą część tych mogił zrabowali *chachłaki*, osadnicy z Ukrainy, a tylko małą ilość rozkopali uczeni z Petrogradu i Moskwy. W mogiłach tych znajdowano szkielety, broń, a także złote cienkie blaszki z wrytymi na nich różnymi figurami i znakami. Powiadają, że tędy szły z południa narody, mieszkające w Urjanchaju i zachodniej Mongolji, w ucieczce przed groźnym Czingischanem, najgenjalniejszym wodzem, jakiego dotychczas widziała Ziemia. Ten wielki pagórek, otoczony kopcami, to i na pewno kurhan jakiegoś księcia, a te zwaliska tutaj były pewno kwitnącem miastem. i W tajdze sajańskiej jest kilka takich miejsc, I gdzie zupełnie dokładnie widać jeszcze ślady murów dawnych, grodzisk, a myśliwi znajdowali ; tam nietylko broń starożytną, ale posążki ciosane z kamienia i różne naczynia. Żaden jednak myśliwy nie ośmieli się ryć w tych miejscach, bo istnieje przesąd, że za to spotka go śmierć gwałtowna.

— Skądże jednak wziął się ten kamień na szczycie kurhanu, kiedyśmy jeszcze takiego nie widzieli po drodze? — zapytał ciekawie Janek.

— Podania mówią, że oznaczanie grobów kamiennermi płytami już w., bardzo dawnych wiekach praktykowane było w Azji — odparł Andrzej. — Najciekawsze jednak jest to, że kamienie na groby wodzów i książąt sprowadzane - były z dalekich stron. Ot, ten kamień tutaj jest czerwonym granitem, łupanym prawdopodobnie w górach Ułan-Tajga<sup>1)</sup> nad brzegami jeziora I Kosogoł, bo tam tylko ten rodzaj granitu się znajduje.

— Ileż to trudu kosztowało tak ciężką płytę przewieźć z odległości przeszło pięciuset kilometrów — szepnął Stach w zadumie.

— Ba, to jeszcze nic, ale jak wejdziemy na i Czerwony Taskył, to na jednej górze pokażę wam rzecz ciekawszą. Tam na samym szczycie znajduje się płyta kwarcowa, ważąca kilkaset tonn, biała jak śnieg, równiutko ociosana, z wgłębieniem w środku podobnym do miednicy. Klechdy mówią, że to ołtarz ofiarny dawnych ludów, które tu mieszkały, a mniemanie to potwierdza okoliczność, że na kilkadziesiąt mil wokoło nigdzie kwarcu na powierzchni ziemi nie znajdziecie.

— W domu wuja naszego w Abakańsku były też ciekawe rzeczy wykopane z ziemi — szepnął Janek.

Twarz Andrzeja zabłysła radością i zadowoleniem:

— Przecież to ja z panem Raczyńskim wszystkie te rzeczy zbierałem. Ho, ho — włóczyliśmy się razem po tajgach, po Urjanchaju Mongolji i stepach Kirgiskich. Ale pan Raczyński najcenniejsze rzeczy odsyłał do muzeum w Minusińsku, bo jak mówił; gdy uczeni zbadają to i opiszą w książkach, to cały świat będzie wiedział, jak to przedtem żyli ludziska, Ileż to kurhanów rozkopaliśmy razem, ile bogactw znaleźli w tajgach! Bywało pojedziemy na polowanie, a pan dyrektor zamiast patrzeć śladów zwierzyny, nuż kopać to tu, to tam; Znajdowaliśmy potoki złotodajne, rudy ołowiane i miedziane, grafit, żelazo i pokłady węgla. Bogate są te tajgi i góry, ale mało kto jeszcze wie o tych bogactwach i zresztą, jak sami widzicie, trudno się tu dostać. Teraz jeszcze zwierzyny tutaj mnóstwo, więc tylko myśliwi zachodzą i to przeważnie w zimie, gdy błota zamarzną, śniegi wysoko pokryją jary i zwalone pnie, bo wtedy muszek niema, na śniegu ślad dokładny zwierzyna pozostawia, a najtrudniejszą w lecie drogę łatwo w zimie przebywa się na nartach.

Po posiłku poczęli chłopcy myszkować między zwałiskami, sądząc, że znajdą coś ciekawego, Andrzej zaś zabrał się do budowy szałasów na

noc, Psy biegały za chłopcami, węsząc po dziurach wiewiórki i kuny. Słońce stało jeszcze wysoko, ciepłymi potokami promieni grzejąc łąkę, oraz krzaki malin i porzeczek, jakby chciało wynagrodzić za nocne przymrozki, które tak bezlitośnie zwarzyły i na czerwono pomalowały im liście. Bory szumiały monotownie, a z poszumem tym mieszał się daleki huk wodospadów rzeczek górskich.

Pod ścianą skalną chłopcy znaleźli ogromną pieczarę, suchą i zaciszną. Psy śmiało weszły do środka, a więc nie było obawy, by tam gnieździł się ryś lub niedźwiedź, ale ponieważ światło dzienne, wdzierające się przez niezbyt wielki otwór, słabo tylko oświetlało niewielką część pieczary, Stach ruszył do Andrzeja po krzesiwo i hubkę, by przy płonącym łuczywie zbadać dokładnie wnętrze. Pasiecznik, dowiedziawszy się o odkryciu, zabrał także swój karabin i worek z nabojami, wybrał kilka smolnych gałęzi i ruszył ku grocie. Po chwili byli już we wnętrzu, oświetlając je jasno płonącymi główniami. Grota była ogromna i dzieliła się na kilka izb obszernych,, złączonych ze sobą wcale wygodnymi przejściami, W jednej z dalszych izb znaleźli stos poźółkłych kości, nad którymi Andrzej pochylił się zaciekawiony. Między kośćmi widać było kilka łopat łosich i niebywalej wielkości rogów jelenich. Pasiecznik badał je bardzo uważnie, a potem jął dokładnie palcami przesypywać ziemię, znajdującą się na kamienistej posadzce pieczary. Odnalazłszy w ziemi kamyki, wnet oglądał je uważnie przy świetle łuczywa, niejeden odrzucił niechętnie, inne wycierał dokładnie o bluzę i składał na kupkę. Potem przyświecając sobie głównią, począł szukać czegoś po ścianach. Tuż koło otworu, prowadzącego do wąskiego korytarza, zatrzymał się nagle i z radością w głosie zawołał do chłopców:

— Otóż i mamy mieszkanie człowieka skalnego! Widzicie te nieudolne rysunki na ścianach wysieczone krzemieniem, albo ten stos kości! Takich olbrzymich łopat już teraz nasze łosie nie mają, a te kamyki to są krzemienne dłóta i strzały! Dopiero drugą taką pieczarę widzę w tej tajdze, Pierwszą znaleźliśmy z waszym wujem około rzeki Oji! Jaka szkoda...

Dalsze słowa pasiecznika przerwał ogłuszający huk. Zdawało się, że gdzieś w głębi pieczary runęły całe zwały kamieni. Chłopcy spojrzeli po sobie z trwogą, I nagle przez pieczarę przeciągnął tak silny podmuch wiatru, że łuczywa pogasty i nieprzejrzana ciemność ogarnęła podziemia. Równocześnie ozwały się jakieś przygłuszone uderzenia, daleki trzask i łomot tak straszny, jakby góry waliły się ze swych podstaw w doliny, Andrzej szybko skrzesał ognia, rozdmuchał hubkę, zapalił łuczywo i, osłaniając je ręką przed silnym ciągiem powietrza, ruszył ku wyjściu, Zaledwo jednak stanęli w pierwszej grocie, gdy znów pieczarą całą wstrząsnął ogłuszający grom, a równocześnie słabe światółko dzienne, wdzierające się przez niewielki otwór wejściowy, zniknęło. Silny prąd powietrza, który gasił poprzednio pochodnie, ustał prawie zupełnie, zato wyraźniej dochodziły odgłosy wstrząsów, trzasku i gwałtownych uderzeń. Trwało to jednak niezbyt długo. Jeszcze tu i tam zwały się coś z trzaskiem, jakby stuletni olbrzym leśny powalony wiatrem, czasem jeszcze jakiś kamień uderzył w płytę kamienną, zamykającą wejście do groty, aż wreszcie i te odgłosy ustąpiły przeciągłemu szumowi ulewy.

Andrzej z głęboką brózdą troski na czole, badał wyjście z groty. Olbrzymi głaz skalny, rzucony jakąś niezwykłą siłą, zamykał wejście, tak szczelnie, że rękę tylko można było wysunąć nazewnątrz. Raz i drugi podparł stary plecami ów głaz, chcąc go wyważyć, ale kamień ani



drgnął. Wyteżyli wszystkie siły we trzech, głaz jednak tkwił w miejscu, urągając wszelkim wysiłkom.

— A tośmy się dostali w pułapkę — mruknął wreszcie pasiecznik, ocierając pot z czoła — przyjdzie nam tu chyba umrzeć z głodu, jeśli nie znajdziemy jakiegoś wyjścia.

Chłopcy stali bezradnie, trzymając w rękach płonące pochodnie.

— Zgaście łuczywa, bo jak się wypalą, to zostaniemy w ciemności i nie będzie czem poświecić w razie koniecznej potrzeby — ozwał się Andrzej spokojnie. — Zmęczeni jesteśmy drogą, trzeba odpocząć trochę, później szukać będziemy sposobu wyrwania się z tego więzienia.

Jakkolwiek Andrzej mówił tonem tak spokojnym, jakby znajdował się u siebie w pasiece) to jednak Stach zauważył w oczach starego źle ukrywany niepokój. Położenie było rzeczywiście ciężkie. Jeżeli podziemia nie miały drugiego wyjścia, to czekała ich tutaj śmierć głodowa, tem straszniejsza, że nie mieli wody, Coprawda żyć czas jakiś możnaby jeszcze, bo całe masy nietoperzy kręciły się teraz w świetle łuczywa trzymanego przez Andrzeja, ale nie mogło być mowy o gotowaniu takiej niezwykłej potrawy, bo w grocie nie było ani kawałeczka drzewa.

Nie chcąc smucić i przerażać brata, Stach wesoło począł pogwizdywać i szukać najwygodniejszego miejsca do spania. Towarzysze jego milcząc pokładli się w niewielkiej nyży, pełnej wyschniętego mchu, który był widocznie leżem jakiegoś dzikiego zwierza. Psy pokładły się im przy nogach: Andrzej zgasił łuczywo, położył je wraz z krzesiwem i hubką koło głowy i wkrótce głośnie chrapanie jego rozległo się w grocie.

Po długiej chwili rozmyślań nad znalezieniem ratunku zdrzemnął się i

Stach. Nagle z pólśnu zbudziło go zajadła szczekanie psów, dochodzące z jednej z dalszych izb podziemia. Nie budząc śpiących twardo przyjaciół, wstał szybko, zapalił hubkę, zabrał karabin i ruszył ku psom. Będąc już w dalszych podziemiach, zapalił od hubki łuczywo i w jasnym świetle smolaka zobaczył ogromnego puhacza. Ptak, siedząc na wysokim gzymsie skalnym, patrzył dużemi, okrągłemi ślepiami na psy, podskakujące do niego. Chłopiec zatrzymał się w bezruchu, miał bowiem przed sobą ptaka niezmiernie trudnego do upolowania, ptaka, o którym w tajgach krążą niezwykle baśnie i gadki, Puhacz ten, gnieźdzący się tylko w najdzikszych ostępach i kamienistych turniach, wydobywa z siebie głos podobny zrazu do wycia wilków, przechodzący potem w chichot tak straszny, że najpoważniejszym ludziom, nie obeznanym jeszcze z tajemnicami tajgi, włosy stają na głowie. Myśliwi w górach Sajańskich nazywają puhacza tego „djablim synem” i polują nań chętnie, bo pióra jego wysoko cenią się u urjanchajskich szamanów, używających ich do praktyk religijnych,

Stach podniósł wyżej łuczywo, chcąc przyjrzeć się dokładnie puhaczowi, ale ptak w tejże chwili rozłożył olbrzymie skrzydła i bezszelestnie poleciał w głąb mroczną. Psy rzuciły się w pogoń za ptakiem, za nimi zaś pobiegł chłopak, Przeszukał wnętrze następnej pieczary, potem wąskie korytarzyki i załomy, ptaka jednak nigdzie nie było. Już miał wracać do Andrzeja i Janka, gdy gdzieś w górze rozległ się stłumiony chichot puhacza. Chłopak oświecił dokładnie pieczarę i teraz dopiero spostrzegł, że w jednej ścianie na wysokości prawie trzech metrów znajdował się obszerny czarny otwór. Bez chwili namysłu zaczął wspinać się po nierównościach ściany i po wielu wysiłkach znalazł się w otworze. Silny ciąg powietrza zachłannie ssał płomień łuczywa w głąboką czeluć. Stach śmiało zagłębił się w niski korytarzyk

i nagle krzyknął z radości: korytarz załamywał się prawie pod kątem prostym i przechodził w niezmiernie wysoki komin, w którego wylocie widniała jakaś jaśniejsza plama z kilkoma błyszczącymi punkcikami, To było wybawienie! Ta plama — to sklepienie niebios z migocącymi jak brylanty gwiazdami.

Wyjście przez komin nie było jednak łatwe. Po gładkich zupełnie ścianach szczeliny ześlizgiwały się ręce i nogi jak po dobrze wypolerowanej marmurowej płycie.; Kilka razy zdołał Stach wdrapać się na dość znaczną wysokość, ale zmęczone mięśnie mdlały od wysiłku, i chłopiec zsuwał się wdół, kalecząc boleśnie ręce i nogi, drąc w strzępy resztki ubrania. Po wielu daremnych trudach padł wreszcie zupełnie wyczerpany z sił na dno korytarza.

Tymczasem w wylocie zniknęły już świetlne punkciki gwiazd, plama poczęła się coraz bardziej rozjaśniać, aż nareszcie snop światła dziennego wdarł się w głębinę, oblewając jasnością gładkie ściany czeluści. Ze światłem tem zniknęła ostatnia nadzieja; komin był zbyt wysoki, by bez pomocy sznura można było wyjść z niego.

Ze stanu zupełnego odrętwienia wyrwały Stacha krzyki, rozlegające się w dole. To Andrzej i Janek szukali go po grocie, zaniepokojeni jego zniknięciem. Wylazł więc prędko z korytarza, zeskoczył wdół prawie w ramiona starego i opowiedział o nieudanej wyprawie w komin. Gdy tak radzili, jakby wyłamać kamień, zagradzający wejście, nadbiegły skądś psy i jęły hałaśliwie witać się ze Stachem, liżąc po rękach i twarzy. W tej chwili chłopak wyrwał gwałtownie łuczywo z rąk pasiecznika i chwyciwszy jednego psa za kark, począł go bacznie oglądać przy świetle. Gęste kudły podbrzusza zwierzęcia, oraz jego nogi były zupełnie mokre, jakby pies dopiero co powrócił z wody.

— Karo! szukaj wody — krzyknął puszczając psa.

Mądre zwierzę radośnie pokręciło ogonem i z głośnem szczekaniem ruszyło w niziutki korytarzyk, przez który z wielką tylko trudnością zdołali się przecisnąć. Po kilkunastu minutach uciążliwego pełzania posłyszeli cichy plusk wody po kamykach, a niedługo potem leżeli w szerokim wydrążeniu, przez którego dno płynął niewielki strumyczek. Wszyscy trzej zanurzyli spieczone pragnieniem usta w zbawczym płynie, rozkoszując się jego smakiem.

Psy, chlapiąc po wodzie nogami, puściły się w głąb tunelu. Więźniowie pośpieszyli za nimi; Korytarz wyłobiony przez strumień, był tak obszerny, że zgiąwszy się trochę, mogli swobodnie posuwać się naprzód. Nieco dalej szczelina rozszerzała się znacznie. Przy blasku łuczyw zobaczyli szerokie koryto, które niegdyś musiało być łożyskiem potężnej rzeki podziemnej. Teraz jednak korytem tem płynął niezbyt głęboki, wartki potok, który wyłobiwszy sobie w dnie dawnego łożyska osobne koryto, płynął niem wdół, pozostawiając z obu stron szeroki występy, które umożliwiały zupełnie swobodne ruchy. Po godzinie drogi ujrzeli w głębi słabe światło, powiększające się coraz bardziej, aż wreszcie znaleźli się nad urwistym parowem, do którego potok spadał pięknym łukiem niewielkiego wodospadu. Spuścić się po kamienistych wystęпах wdół było dziełem jednej chwili. Szalona radość rozpiełała im serca, bo byli wolni, mieli przed sobą znów tajgę olbrzymią, nad którą rysował się błękit nieba.

Po długiej dopiero chwili, spędzonej za przykładem Andrzeja w dziękczynnej modlitwie za cudowne ocalenie, rozglądnęli się po parowie. Był on w wielu miejscach zawalony wprost potrzaskanemu pniami, leżącemi w największym nieładzie wśród zielonych jeszcze

gałęzi. Wygramoliwszy się po tych pniach na stok góry, stanęli w zdumieniu... olbrzymi, stary bór leżał pokotem na ziemi zmierzwiony, przewracany jak łan zboża, zbity gęstym gradem. Tu i owdzie sterczały pooblamywane pnie prastarych sosen, świecące białymi ranami, smutnie patrząc na straszliwy obraz zniszczenia, jak matki w niemej rozpaczyszukające na pobojowisku ciał dzieci. Gdzie niegdzie pnie i gałęzie tworzyły wysokie wały lub leżały równo złożone na ziemi jedno koło drugich, jakby je pracowity drwal przygotował do spuszczenia w rzekę i spławienia hen ku morzu.

— Orkan tędy przeszedł — rzekł Andrzej do młodych towarzyszy — jeden z tych straszliwych jesiennych orkanów, które zmiatają tutaj lasy na przestrzeniach kilkuset kilometrów!

— A gdzie nasze konie? — zapytał Janek z trwogą.

Pasiecznik machnął tylko ręką, jakby chcąc zaznaczyć, że szkoda słów na odpowiedź, i ruszył szybko w górę, o ile na to pozwalały przewracane pnie.

Wyjście z grotty znajdowało się na drugiej stronie góry, pod którą rozłożyli obozowisko, musieli przeto stracić dużo czasu, nim się dostali na polanę. Jakkolwiek podczas drogi i przez powalony orkanem las mieli czas przyzwyczać się już do obrazu straszliwego zniszczenia, to jednak na polanie zatrzymali się przejęci grozą. Tam gdzie niedawno rosła puszysta trawa, gdzie purpurą czerwieniły się przymrozkami zwarzone liście porzeczek i malin, teraz sterczały straszliwie pokaleczone pnie drzewne, porzrucane, połamane jak drobne zapałki, zmieszane w jakąś bezwładną masę ze stosami głazów kamiennych i odłamków skał.

Obozowisko, rozłożone poprzedniego dnia i pod osłoną ściany kamiennej, zniknęło zupełnie. Tu i owdzie tylko na potrzaskanych

gałęziach zwieszał się jakiś strzępek szmaty z podartych juków, a z pod gruzów skalnych wyglądały resztki połamanych siodeł, Wdali, na polanie widać było kilkanaście dużych jastrzębi, które nasyciwszy się mięsem koni zabitych przez orkan, siedziały spokojnie na odłamkach drzewnych, ocierając dzioby o korę.

— Opatrzność czuwała nad nami — przerwał milczenie Andrzej — gdybyście nie znaleźli groty, leżelibyśmy przywaleni tam pod tym wałem kamieni i drzew! Dobrze chociaż, że broń mamy ze sobą, bo z nią w tajdze zawsze sobie damy radę!

Po odwaleniu części gruzów, zasypujących obozowisko, znaleźli toporek i pognieciony kociołek; największą radość wzbudziło w nich odszukanie worka z nabojami, który ocalał tylko dlatego, że wiatr rzucił go w dosyć obszerną szczelinę i nakrył płaską płytą.

— Chłopcy, uszy do góry! — śmiał się pasiecznik. — Mamy broń i naboje, mamy w czym strawę uwarzyć, drzewa narąbać, a matka-tajga nie da nam z głodu zginąć. Koni niema, juków niema, zato prędzej pójdziemy, bo można iść teraz najkrótszemi drogami. No, broń na ramię! Karo, Zagraj, do nogi! Naprzód, Do tatarskich figur!

## ROZDZIAŁ VI.

### TATARSKIE FIGURY.

Obszar borów, zniszczony orkanem, ciągnął się niezmiernie długim pasem gdzieś daleko na południo-wschód; szerokość jednak zniszczonej przestrzeni była niezbyt wielka, wynosiła bowiem nie więcej nad cztery kilometry. Ale na przebycie tego wąskiego pasa trzeba było sporo czasu i trudów. Podróżnicy brnęli po kolana w zmierzwionych gałęziach potrzaskanych ko-narów, które ostremi odłamami rwały im ubrania i często raniły dotkliwie ciała, przeskakiwali przez wywrócone kolosy cedrów i jodeł, a nieraz wdrapywać się musieli na zwały kolosów leśnych, z których orkan porobił zatory i barykady po kilkanaście metrów wysokie. Do najprzykrzejszych rzeczy w tej ciężkiej przeprawie należały doły powstałe z wywrotów, istne pułapki, w których bardzo łatwo lec można było z połamanemi nogami. Doły takie, wytworzone przez wyrwane z korzeniami cedry, tak grube, że pięciu tęgich chłopów z trudnością objęłoby pień, zasłane były jakby umyślnie mnóstwem połamanych gałęzi i drobnemi szpilkowemi kiściami: wystarczyło jednak niebacznie stąpić w takie miejsce, a gałęzie rozsuwały się pod ciężarem ciała, i nieuważny podróżnik wpadał w głęboki wykrot, narażając się na bolesne stłuczenie, dotkliwe podrapanie skóry, a nierzadko wywichnięcie nogi.

O podróży z końmi juczniemi przez takie przestrzenie nie może być

mowy, to też myśliwi tych tajg, znalazłszy się wczesną jesienią przed wybitą orkanem drogą, odsyłają konie gdzieś na nizinne pastwiska, a juki z zapasami przenoszą sami na plecach do swych myśliwskich *izbuszek*, czyli szałasów, zbudowanych ze zrębów.

Jeżeli chłopcy nie połamali nóg i tylko w straszliwie postrzępionych ubraniach znaleźli się wycieńczeni zupełnie w wysokopiennym borze nie ruszonym przez orkan, zawdzięczać to mogli jedynie Andrzejowi, który już nieraz w swem długim życiu przebywał podobne przestrzenie i znał dokładnie wszelkie niebezpieczeństwa, czyhające w takich zwałiskach na człowieka.

Teraz droga była już łatwa. Olbrzymi, ciemny bór cedrowy nie miał zupełnie podszycia. Ziemia pokryta była warstwą zeschniętego igliwia, na którym nogi ślizgały się jak po lodzie. Wszędy na ziemi leżało mnóstwo dużych szyszek cedrowych, a gdzie niegdzie widać było kupki zżutych orzeszków. To były ślady niedźwiedzi, które bardzo chętnie raczą się tym znakomitym owocem. Zgłodniali chłopcy nie gardzili również tym posilnym pokarmem, tem bardziej, że jak na złość nie spotykali żadnej zwierzyny. Prawda, że słyhać było niekiedy głośny łomot skrzydeł guszców lub cietrzewi, ale ptaki te już teraz jesienią siadały wysoko na drzewach i trudno je było rozpoznać w gęstych splotach igieł. Niekiedy odzywały się głośne gwizdy jarząbków, Andrzej jednak nie pozwolił chłopcom do nich strzelać, aby na marne nie tracić naboju.

Na jednym z pochyłych stoków niewysokiego łańcucha górskiego, który teraz przebywali, psy wpadły na świeży ślad grubej widocznie; zwierzyny, bo nastroszywszy sierść, ruszyły naprzód cicho, bez ujadania, oglądając się raz po raz za Andrzejem, jakby szukając w jego wzroku zachęty.



— Widocznie zwęszyły niedźwiedzia — i szeptał pasiecznik, zdejmując z ramienia karabin — pamiętajcie, chłopcy, nie strzelać naraz; ale każdy pojedynczo. Raniony miś zechce może atakować, mierzcież więc należycie, nie pod łopatkę, bo w zimowym futrze jest on grubszy, ale w łeb, najlepiej w paszczę lub pod ucho.

Po kilkudziesięciu krokach psy stanęły w miejscu jak wryte, a widząc nadażających ztyłu myśliwych, przypadły do ziemi i pełzać poczęły prawie bez szelestu, jak lisy skradające się do stada w śniegu zarytych kuropatew. Tuż koło ogromnej bryły skalnej, sterczącej jak wyspa w rudem morzu igieł, psy zatrzymały się i pytając jakby spojrzwały na Andrzeja. Ten wyciągnął dłoń i powiódł nią nad ziemią, i w tejże chwili doskonale wytresowane psiska wyciągnęły się pod skałą jak nieżywe. Stary myśliwy podpełzł do brzegu kamienia, spojrzął z za niego w głąb boru i ruchem ręki przywołał towarzyszy, pokazując im ciekawe widowisko. W odległości niespełna trzydziestu kroków u stóp olbrzymiego cedru zobaczyli niezbyt wielkiego niedźwiadka zajętego rozkopywaniem ziemi, nie zwracającego najmniejszej uwagi na siedzące na zeschniętym sęku drzewa jakieś niewielkie zwierzątko o długim, puszystym ogonie, podobne do wiewiórki, tylko w pręgi, które wydało z gardła piskliwe prychania jakby niemi chciało odpędzić natręta,

Niedźwiedź rozkraczył szeroko tylne łapy, a przednimi rozrzucał na wszystkie strony ziemię, co chwila w dziurę wtykając nos, niby coś węsząc. Po dobrej chwili takiej pracy miś począł ostrożnie łapą wygrzebywać z dziury orzeszki cedrowe, a potem całymi garściami pchać je do pyska.

Małe zwierzątko, piszczące dotychczas na suchej gałęzi cedru, zaprzestało gniewnych lamentów i, wdrapawszy się szybko na ogromny

szczytowy konar drzewa, rzuciło się z niego wdół jak kula. Przez okamgnienie zdawało się że biedne zwierzątko spadnie na ziemię i rozbije się na miazgę, stało się jednak inaczej! Zwierzątko, będąc już w powietrzu, rozszerzyło gwałtownie wszystkie cztery łapy, przyczem naciągnęły się fałdy skóry między nogami niby spadochron, długi i puszysty ogon wyprężył sil jakby ster, powodując skośną linię upadku, tak iż zwierzak spadł na odległą o kilkanaście metrów gałąź innego cedru, której chwycił się ostremi pazurkami.

Niedźwiedź patrzył spokojnie na te akrobatyczne sztuki, kiwał głową na znak uznania, mrugając filuternie oczkami raz w stronę biednego zwierzątka, to znów orzeszków, których coraz więcej wygrzebywał z dziury, mruczając przytem radośnie, jakby mówił:

— Tak, tak, mój mały. Skacz, skacz po gałązkach, i tak to nic nie pomoże. Pan Bóg stworzył *burunduka*<sup>1</sup> nato, by zbierał orzeszki cedrowe i chował je dla niedźwiedzia, boć przecież nie wypada, by król tajg wspinał się po gałęziach jak jakiś pauper i trząśł szyszki.

Chłopcy, obserwując komiczne miny niedźwiedzia, z trudem tylko wstrzymywali się od śmiechu, zapominając zupełnie o możliwości polowania, Ale nagle stało się coś takiego, co zepsuło im koniec ciekawego widowiska. Między drzewami przeleciał niewielki szary ptak, który zobaczywszy z wysokości skulonych pod skałą ludzi zatoczył nad nimi krąg, a usiadłszy następnie na konarze drzewa, wydał głos przenikliwy wyglądający zupełnie na ostrzegawczy gwał. Nie przebrzmiał jeszcze ten krzyk, a już burunduk w dwóch susach znikł w gęstych szczytowych gałązkach cedru, a niedźwiedź przerwał biesiadę i, oglądając się trwożnie dokoła, wyciągnął w górę ostry pysk, wciągając w czarne wilgotne chrapy powietrze. Krzyk a rozległ się po raz wtóry

jeszcze przenikliwiej, i teraz miś nie dociekając przyczyny ostrzegawczego głosu, kiwnął kilka razy głową w prawo i lewo, poczem szybko zaczął uchodzić z miejsca grabieży.

Nie uszedł jednak daleko, bo Karo i Zagraj na znak dany przez Andrzeja wybiegły z kryjówki i, po kilkunastu susach dopadłszy zbiega, chwyciły go ostremi zębami za zwisające kudły nóg tylnych. Napad był tak nagły i niespodziewany, że miś w pierwszej chwili stanął jak wryty, nie mogąc z siebie wydobyć głosu. Ale już po chwili trzepnięciem nóg oswobodziwszy się od napastników, stanął na dyby i ruszył do ataku z głośnym rykiem podobnym do dalekich grzmotów. Przez moment zdawało się, że psiska zginą pod łapami rozwścieczonego niedźwiedzia, ale mądre zwierzęta szybko powstały po upadku i rzuciły się na misia w ten sposób, że podczas gdy Karo, kręcąc się przed niedźwiedziem, udawał chęć atakowania zprzodu, Zagraj chwycił króla tajg z tyłu za uda, powstrzymując bolesnym kąsaniem od zbyt energicznych ruchów. Gdy niedźwiedź zwracał się do Zagraja, Karo ze swej strony wnet przychodził w sukurs, i biedny miś kręcił się między psami bezradny, nie mogąc żadnego z nich dosięgnąć ostremi pazurami łap, ani błyskającymi w otwartej paszczy wielkimi kłami.

Niedźwiedź widząc, że nie da rady zwinnym psiskom, zaczął tak manewrować, aby dostać się na szczyt wzgórza. Poszło mu to łatwiej i prędzej, gdy zobaczył wychylających się z za ściany kamiennej myśliwych. Mądry zwierz przeczuł widocznie grożące mu niebezpieczeństwo od tych dziwnych istot, tak łatwo biegnących na dwóch nogach, bo nie zważając na dotkliwe ukąszenia psów, nie na żarty dobierających się do jego ud, w kilkunastu susach dopadł szczytu pagórka. Stąd jak kula potoczył się wdół w przeciwną stronę, pociągając za sobą psy, które nie spodziewając się takiego fortelu, nie zdołały

wyrwać zębów z gęstych kudłów misia.

Gdy chłopcy dobiegli na wzgórze, zobaczyli już daleko w dole niedźwiedzia, koziołkującego po bezleśnym stoku, Karo i Zagraj zdołały się oswobodzić, widoczne jednak było, że podróż z niedźwiedziem nie wyszła im na dobre, szły bowiem utykając na nogi i skomląc żałośnie.

— Ach, jaka szkoda, żeśmy tak długo czekali, zamiast strzelać! — zawołał z wymówką Janek do nadchodzącego Andrzeja.

Stary uśmiechnął się:

— Pokazałem wam przecież, jak niedźwiedź wybiera zimowe zapasy burunduka. Czy to za mało? Psy puściłem, aby sobie przypomniały, jak to się trzeba brać do misia. Ale strzelać pozwoliłbym wam tylko wtedy, gdyby niedźwiedź nas atakował. Cóż to, Janku? Dla paru funtów mięsa potrzebnego nam na posiłek chciałbyś zabijać takie duże zwierzę? Prawdziwy myśliwy strzela tylko tyle, ile mu potrzeba. Nie mamy koni, a więc na zapas nic brać nie można, a tak mięso jak i skórę musielibyśmy tutaj zostawić. Niechże sobie ten miś hula po tajdze, bo jeszcze młody i nikomu krzywdy nie robi.

Gdy zeszli wdół, z niedźwiedzia nie pozostało już śladu, zniknął kędyś w wysokiej wysuszonej trawie, porastającej brzegi strumienia, który się sączył w dolinie. Psy nie biegly jak zwykle na przedzie, ale ze spuszczonei łbami, jakby zawstydzone niepowodzeniem, wlokły się noga za nogą w znacznej odległości od wędrowców.

- Wśród wesołego pogwaru schodzili z biegiem rzeczki w rysujące się przed nimi obszerne doliny. Andrzej opowiadał różne przygody z polowań na niedźwiedzie, zaznajamiał chłopców z tajemnicami tajg i zwyczajami zwierząt.

— Widzicie — mówił — jak ten szary ptaszek, co to spłoszył

niedźwiedzia, towarzyszy nam uparcie. To jest jeden z największych wrogów myśliwego, bo często psuje najlepiej obmyślaną obławę lub płoszy zwierzynę akurat w chwili, gdy się podchodzi na strzał. Myśliwi w tych tajgach nazywają go przedrzeźniaczem, bo potrafi doskonale naśladować różne głosy, ale to jest zwykła sójka syberyjska. Bywa czasem, że skradasz się do jelenia lub marała<sup>2</sup>}, a tu ni stąd ni zowąd wrzask nad tobą na gałęzi, i nim zdołasz wystrzelić, już jelenia niema. Ale ten ptak jest tak zmyślny, że nie tylko ostrzega o człowieku. Niechno tylko zobaczy lisa, gronostaja, kunę skradającą się do cietrzewi, lub jarząbków żerujących na ziemi, wnet taki gwałt podniesie, że ptactwo w jednej chwili rozpierzcha się, jakby w nie orzeł uderzył.

Mijając ostry zakręt rzeczki, zatrzymali się nagle jak wryci, przed nimi na wielkiej łące pasło się spokojnie kilka sarn, kilkanaście innych widać było, jak wolno bez najmniejszej obawy wychodziły z lasu, Stach na przyzwalający gest Andrzeja zwałił celnym strzałem sporego koziołka, reszta stada, przebiegłszy kilkadziesiąt kroków, stanęła z wysoko podniesionymi łebkami, jakby się namyślając, czy uciekać czy paść się dalej.

— Patrzenie, chłopcy, na te sarny — mówił Andrzej, ćwiartując zabitego kozła — to niechybny znak zbliżającej się zimy. Sarny trzymają się tylko brzegów tajgi, a nigdy jej wnętrza, pod zimę jednak zbierają się w gromady i idą przez tajgi i góry Sajańskie na stopy Urjanchajskie, bo tam śniegi mniejsze i łatwiej mogą trawę wygrzebać. Myśliwi Sojoci<sup>3</sup>) znają dobrze ten zwyczaj sarn, wyszukują przeto drożyny, któremi ciągną nieraz tysiączne stada, i rok rocznie wybijają po kilkanaście tysięcy tych pięknych zwierząt. Skóry i mięso sprzedają później kupcom rosyjskim, którzy w styczniu odsyłają z Urjanchaju do Minusińska po kilkaset sani naładowanych tym towarem, Ale nie tylko ludzie tępią w

tym czasie sarny, zwykle za stadami takimi ciągną w tajgę wilki, których w lecie na lekarstwo tu nie znajdziecie. Te jednak polują dopiero na wysokich przełęczach, tam gdzie śniegi wcześniej spadają.

Po obfitym posiłku i odpoczynku nocnym przy płonącym ognisku ruszyli rankiem spieszenie, przecinając górskie pastwiska w kierunku zachodnim.

Wspinali się znów w górę. Przebyli rozległe łąki, potem pas lasu cedrowego, a wyżej świerkowego, następnie zagłębili się w poplątaną gmatwaninę kosodrzewiny, aż znaleźli się na hali obszernej, rudziejącej w promieniach słonecznych wyschniętą trawą. Cudny, ale i groźny widok roztaczał się z tej hali, Hen w dole, jak tylko okiem sięgnąć, widziało się bezkresne morze lasów. Znaczyły się soczystą zielenią przestrzenie porośnięte sosnami, ciemną, prawie czarną barwą malowane były lasy cedrowe, a srebrnozielono lśniły przepyszne jodły i świerki syberyjskie. Nad tym oceanem lasów, którego brzegów próżnoby szukało oko, widniały tylko tu i tam niby wyspy rdzawe łysiny hal rozległych, a w przejrzysty błękit nieba na południowo-wschodniej stronie wdzierały się jak dwa obeliski dwie smukłe iglice potężnego Tagyłu, jaśniejące w blaskach słońca, które grało na ich zawsze ośnieżonych szczytach barwą żywego srebra. Majestatyczny spokój panował dokoła. Poważny, wiecznie zmienny rozhovor tajgi dochodził tutaj jak słaby szept zgodnej modlitwy ludu wiejskiego, zebranego w małym kościółku, i płynął z wietrzykiem hen pod lazurowy baldachim nieba, na którym tu i owdzie niby świeczniki wisiały w bezruchu potężnych skrzydeł ogromne orły.

Chłopcy, oczarowani tą niezrównaną panoramą przyrody, z wielką niechęcią ruszyli za pasiecznikiem, nagłym do pośpiechu. Janek nawet

począł mrużyć coś pod nosem, ale Andrzej nie dbał na to, zajęty wyszukiwaniem jak najdogodniejszej drogi, wschodni bowiem stok góry, z której zejść mieli wdół, nie przedstawiał się wcale ponętnie, Pełno było na nim głazów, pełno skał urwistych, ścian prawie prostopadłych, a tak gładkich, jakby je ktoś umyślnie wypolerował, Ledwo tu i tam między kamieniami nieśmiało jakoś wyrastały kępki szczytkowatej ostrej trawy, czasem jałowiec chwycił się rozpaczliwie powykręcane gałązkami kamienia, a gdzie niegdzie widać było mały, pokrzywiony smerek, jak rósł nad przepaścią, zapuściwszy korzenie w jakąś szczelinę.

Im bardziej spuszczała się wdół, tem większe czekały ich trudności. Prawda, że niżej skały obrośnięte były liszajami mchów i coraz więcej drzew wyrastało na zwietrzałych rozsypiskach, ale zato stok, albo zorany był brózdami czarnych jarów, albo też zavalony barykadami skał ostrych, na których krwawiły się ręce i nogi. Niekiedy, przeszedłszy kilkanaście kroków po względnie wygodnej ścieżynie, stawali nagle przed bezdenną szczeliną tak wąską, że kilkumetrowy pień, przerzucony wpoprzek, mógłby służyć za most, i wtedy zmieniać musieli kierunek, piąć się znów wgórze, spuszczać wdół, obchodzić zbyt wielkie głazy, przeskakiwać nie-bardzo szerokie jary, I tak bez chwili wypoczynku, aż wreszcie gdy ciemny mrok zapadł, znaleźli się na brzegu huczącego po skałach Abakanu, gdzie znaleźć mogli zasłużony spoczynek na skąpej pościółce z traw i mchu,

A jednak mimo niesłychanego zmęczenia sen jakoś nie ogarniał im powiek. Siedzieli zapatrzeni w ognisko, dumając nad tem, co im przyniesie dzień następny, Władek powinien był, wedle obliczeń Andrzeja, od dwóch dni siedzieć koło tatarskich figur i teraz, zobaczywszy ognisko, winien był dać jakiś znak swej obecności.

— A może Władek śpi lub naszego ogniska nie widzi — odpowiedział Stach na głośnie myśli pasiecznika.

— Ej, nie! — frasobliwie zaprzeczył stary — ja znam tu każdą piędź ziemi, a figury znajdują się nie dalej jak o godzinę drogi wdół, a tę część rzeki, na której my się teraz znajdujemy, widać stamtąd dokładnie.

— A cóż to właściwie są te figury? — zapytał ciekawie Janek.

— Ot, zwykle posągi kamienne, jakich wiele znajduje się w Mongolji, szczególnie nad rzeką Orchowem. Są one zwrócone ku południowi: jedna ma w rękach ostatki kamiennego oszczepu, druga coś w rodzaju kielicha. Były tam na nich wyryte jakieś znaki, ale tak się zatarały, że nic już z nich nie można odczytać. Bóg jeden wie, skąd się te posągi wzięły nad Abakanem, ale kiedyś ciekawy, to ci opowiem sojocką legendę związaną z temi figurami:

Bardzo dawno, bo przeszło tysiąc lat temu żyło w Urjanchaju plemię altajsko-tureckie, pokrewne Ujgurom, zamieszkującym w tym czasie ogromną przestrzeń w Mongolji nad Orchonem. Lud, żyjący w Urjanchaju, był bardzo łagodny, nie prowadził z sąsiadami wojen, ale zajmował się gospodarstwem rolnem i polowaniem na zwierzyne o cennych futrach. Kwitły tam podobno wszelkie rzemiosła, ale najczęściej uwagi zwracano na uprawę roli. Ponieważ wielka część Urjanchaju nie ma dobrego nawodnienia, przeto dawni mieszkańcy tego kraju pokopali sztuczne kanały, których ślady do dzisiaj jeszcze dobrze się zachowały, i zapomocą przemyślnie wykonanych tam w kanały te wprowadzili wodę z Jenisieja. Urjanchaj był wtedy krajem miodem i mlekiem płynącym, a bogactw ludu tam zamieszkałego niktby nie mógł zliczyć.

Tak przeszło kilkaset lat. Naród wzrastał w dobrobyt, ale też niewieściał w wygodach, nie troszcząc się o nic więcej, tylko o



największe zyski z roli; nie umiano władać orężem, porzucono nawet polowania, jako wymagające zbyt wiele wysiłku. W Mongolji tymczasem wrzały walki między dzikimi szczepami, znikwały państwa, tworzyły się nowe, aż wreszcie na widownię wyszedł Tamuczyn, który po wielu walkach złączył prawie wszystkie stepowe rody mongolskie, a wybrany na wielkim kurultaju (sejmie) przez swych ziomeków chanem, wystąpił pod imieniem Czingischana przeciw wszystkim szczepom, zamieszkującym Mongolję.

Straszne to były czasy! Bo dzięki hordy Czingisa rozlały się jako fale burzliwego morza, niszcząc wszystko, wycinając w pień tych, co nie chcieli uznać nad sobą władzy nowego chana. I wtedy to skończył się spokojny byt mieszkańców Urjanchaju. Nie mając wojska, nie mogli skutecznie stawić czoła niezwyciężonym hordom Czingisa, a miłując nadewszystko wolność, nie chcieli być pod panowaniem wszechwładnego chana, postanowili przeto opuścić rodzinny kraj i z dobytkiem schronić się poza Sajany w niedostępne bory.

Szli dwiema drogami: jedna z nich prowadziła wzdłuż rzek Tuby i Oji, druga po Jenisieju i Abakanie, Niestety niewielka tylko garstka zdołała ująć z dobytkiem: hordy mongolskie dopadły uciekających tuż prawie pod Sajanami i wycięły ich w pień w wąwozach niedaleko rzeczki Us. Wąwozy te dziś jeszcze noszą nazwę „tatarskich” i pokryte są tysiącami kurhanów.

Z niewielkim oddziałem uchodzących po Abakanie mieszkańców Urjanchaju szedł jeden z najpoważniejszych księząt tego kraju, najwyższy kapłan, wraz ze swą małżonką. Kochał on tak swój kraj, że nie mógł pogodzić się z myślą opuszczenia go na zawsze, prosił przeto swych bóstw, aby mu pozwoliły doczekać chwili powrotu do Urjanchaju

na czele swego narodu. Dobre bóstwa zlitowały się nad nim i tutaj, w miejscu skąd widać, najwyższe szczyty Sajana, zamieniły go wraz z żoną w posągi kamienne, by wciąż patrzył na góry, za którymi rozciąga się jego ojczyzna.

— A cóż się stało z narodem? — zapytał Stach, gdy Andrzej skończył opowiadanie.

— Tego już legenda nie mówi. Ale naród, który bez walki uchodzi ze swej ojczyzny, naród, który nie umie zdobyć się na bohaterskie poświęcenia, istnieć nie może! Musi zniknąć, tak jak zniknęli dawni mieszkańcy Urjanchaju, pozostawiając po sobie jeno mogiły!

Janek chciał o coś zapytać, ale w tej chwili gdzieś daleko ozwało się ujadanie psów, przechodzące zwolna w żalosne wycie. Chwycili za broń i wolno, cicho stąpając, ruszyli w kierunku psiego wołania. Było już dawno po północy, ale niebo tak było gwiazdziste, że na odległość kilkunastu kroków widzieli wszystko dokładnie. Nie przeszli daleko, gdy z gąszczy krzewów jarzębinowych wypadł Karo i, kręcąc ogonem, to skomląc, począł ich lizać po rękach, wracając w to miejsce, z którego dopiero co przybiegł, zupełnie jakby prosił, aby za nim szli jak najszybciej.

Wkrótce znaleźli się w dosyć szerokiej kamiennej rytwinie, schodzącej kilkunastu stopniami wdół ku rzece. I tu nagle posłyszeli bolesny jęk, przedzierający się wskroś huku spienionych wód Abakanu, Pies sprowadził ich wąską kamienną ścieżyną, wijącą się tuż nad nurtami rzeki, ku obszernemu wyżłobieniu skalnemu, w którym z trudem tylko w ciemnościach tam panujących rozpoznali sylwetkę leżącego człowieka. Andrzej skrzesał szybko ognia, ale jak tylko drżące płomyki łuczywa rozjaśniły wyżłobienie, chłopcy rzucili się z okrzykiem zdziwienia ku

leżącemu.

— Miczik! Miczik! Co tobie? jakieś się tu dostał? — wołali naprzemian, podczas gdy Andrzej ze zdumieniem patrzył na młodego Sojota, który od kilku lat służył w Abakańsku u inżyniera Raczyńskiego.

Na dźwięk swego imienia leżący człowiek podniósł powieki i chciał się uśmiechnąć, ale bolesny grymas wykrzywił mu twarz, przyczem ręką dotknął boku, na którym teraz dopiero spostrzegli czarne plamy przyschniętej krwi.

Pasiecznik szybko zajął się przemywaniem rany, co choremu przyniosło widocznie znaczną ulgę, bo cichym głosem rzucił sojockie powitanie:

— *Mendę, aszak* (pozdrowienie, druhu)!

— Skądże ty, Miczik, się tu znalazłeś, i ranny do tego? — pytał Andrzej.

Sojot zbierał widocznie myśli i siły, bo dopiero po dobrej chwili odpowiedział urywanym głosem:

— Bolszewiki na Manie... oddział białych rozbity... dyrektor zniknął, a Władek w niewoli... szepnął, bym was uprzedził... uciekłem od czerwonych, ale mię postrzelili. Ledwo doszedłem do miejsca oznaczonego przez Władka... Już dwa razy noc przeszła, jak tu leżę...

— A jakże bolszewicy dostali się na Man? — pytał gorączkowo stary.

— Ktoś zdradził... podsłuchali rozmowę Władka z dyrektorem, bo zamknęli drogę na Kemczik, i mają przyjść pod figury, by was złapać... słyszałem, jak po bitwie rozmawiali ze sobą czerwoni... Uciekajcie co prędzej na Oję, tam tajga dzika, nikt nie złapie...

— Miczik! A gdzie syn mój? — zapytał jeszcze Andrzej, ale nie otrzymał już odpowiedzi, bo Sojot wyprężył się nagle i pozostał bez

ruchu, cichy i martwy jak kamienie, na których leżał.

## ROZDZIAŁ VII.

### SZATUN.

Dwa tygodnie minęły od chwili, gdy Miczik, ofiara swego poświęcenia, spoczął w ziemi, przykryty ciężkimi kamieniami, aby ciała jego nie mogły wygrzebać drapieżniki leśne.

Dwa tygodnie spiesznych marszów przez tajgę, ciągłych trudów i niebezpieczeństw, by wreszcie dojść do zlewiska dwóch rzek górskich: Małej i Wielkiej Oji. Tu nad brzegiem Wielkiej Oji stała chroniona od wiatrów niezmiernie wysoką skałą niewielka izbuszka myśliwska, własność syna Andrzeja, w której teraz zakwaterowali się, aby odpocząć przed dalszą drogą, przyprowadzić do względnego porządku na strzępy podarte ubranie i buty.

Była dopiero połowa października, ale zima poczęła już na dobre zaglądać do tajg, a Safany pokryła grubą warstwą śniegu.

Życie w izbuszce nie było pozbawione uroku, Chłopcy, pracując od świtu do zmroku, krzepili siły i hartowali zdrowie, Zmuszani ciągle do pokonywania przeszkód, nabrali niezwykłej zwinności, która cechuje ludzi przebywających w otoczeniu przyrody i zdanych tylko na swoje siły; wzrok zaostrzył im się do tego stopnia, że bez trudu odnajdywali wiewiórkę, skrytą w gęstych kiściach smereczyny, słuch zaś z łatwością chwycił najdrobniejszy nawet szelest. Strzelając teraz wiele, nabrali takiej wprawy, że kule ich nie chybiały nigdy. A zwierzyzny było

poddostatkiem. Lekkie mrozy nie ścięły jeszcze lodem burzliwych nurtów Oji, ale już szła *szuga*, drobna kra, z którą spływały wdół chajrusy. Codziennie widzieli po kilkanaście wydr, wyławiających ryby, a ponieważ ciepłe futra tych zwierząt znakomicie nadawały się na igrania, przeto polowali na nie zawzięcie, Andrzej, doświadczony *tajożnik*, czyli mieszkaniec tajgi, skóry te. wyprawiał znanymi sobie sposobami, tak iż stawały się miękkie, jakby z najlepszej wyszły garbarni. Do zeszywania futer pasiecznik używał ścięgien z nóg jelenich, które wysuszone i rozbite na kamieniu, rozdzielały się w cieniutkie jak jedwab nitki, tak mocne, że o przerwaniu ich w rękach nie mogło być mowy. Długo zastanawiali się chłopcy, jak Andrzej poradzi sobie bez igły, i raz jeszcze przekonali się, że tajga-matka nietylko karmi i odziewa człowieka, ale daje mu także wszelkie narzędzia, Andrzej bowiem, ugotowawszy kilka złapanych chajrusów, oczyścił dokładnie ich szkielety i z ości wybrał kilka dosyć grubych, a jednak bardzo ostrych, zaopatrzonych na szerszych końcach niewielkimi dziurkami, przez które jednak można było przeciągnąć nitkę ścięгна.

Ale nietylko szycie ubrań pochłaniało cały czas Andrzeja, robił on też obuwie zimowe i przygotowywał narty, by móc w zimie wędrować po tajdze, zasypanej na kilka metrów wysoko śniegiem. Obuwie sporządzał stary ze skór zdartych z nóg zabitych jeleni. *Unty* takie są w powszechnem użyciu u myśliwych syberyjskich, gdyż mimo nadzwyczajnej lekkości nie marzną, przez co noga zabezpieczona jest od najsilniejszych mrozów. Narty myśliwskie robił stary z cienkich cedrowych deseczek. Drzewo młodych cedrów syberyjskich łatwo można łupać na całą długość pnia w deski tak cienkie i równe, że tylko tu i tam poprawić trzeba coś toporkiem, a wyglądać będą, jakby wyszły z pod pił tartacznych. Oprócz tego deski takie dają się bardzo łatwo

wyginać nad ogniem, a wysuszone kształtu nie zmieniają. Aby narty w zupełności wypełniły swoje zadanie, t. zn. by na nich można było nie tylko zjeżdżać w dół, ale też swobodnie wychodzić po śniegu w górę, myśliwi tajg syberyjskich i gór Sajańskich pod płozy nart przybijają skóry z kolan końskich, a gdy tych niema, z kolan jelenich. Skóry z tych miejsc mają włos krótki i twardy, gładko leżący w stronę tylnego końca narty. Gdy jednak zwykła narta ustawiona tylnym końcem na śnieżnym pagórku zsunie się łatwo w dół, płoza podszyta skórą pozostanie na miejscu, bo sierść odchyła się do przeciwnego kierunku swego położenia i wbija się w śnieg tak silnie, że zupełnie swobodnie utrzymuje ciężar ciała ludzkiego.

Prawie po dwóch tygodniach pobytu w izbuszce wędrowcy nasi udali się w dalszą drogę. Zima chociażby najcięższa nie przestraszała ich teraz, chroniły ich bowiem od mrozów doskonale ubrania, a największe nawet zaspas śnieżne łatwo na nartach przebyć mogli. Mieli też znaczne zapasy mięsiwa i soli, którą znaleźli niedaleko od izbuszki na „sołoncach”, gdzie ich zaprowadziły jelenie. Zapasy te wieźli na zgrabnych saneczkach, sporządzonych ze skóry ka-bargi<sup>1</sup>). Psy z radosnym szczekaniem szły na przedzie, nurkując co chwila w zaspach śnieżnych lub biegając od drzewa do drzewa i strasząc wiewiórki, które w pięknych zimowych błękitnawych futerkach tańczyły po gałęziach.

Piękna, wesoła i przyjemna jest tajga w białej zimowej szacie! Wszystkie drzewa ubrane są festonami śnieżnego puchu, który tworzy na nich dekoracje jakby we śnie wymarzone. Ziemia, zwalone i popróchniałe pnie, gąszcza jeżynowe, kamienne rozsypiska, wszystko to znika pod białym całunem, skrzącym się pod pieszczotą promieni słonecznych.

Na białej warstwie śniegu rysuje się przed okiem myśliwego całe życie tajgi. Widać wyraźnie duże ślady racic jeleni, widać filigranowe odciski raciczek szybkoconogich kabarg, ślady rysy, żbików i manuli, szerokie tropy rosomaków. Ze śladów tych czyta myśliwy jak *f* w otwarte] książce! Ot tu, na pochyłości pagórka skradał się do jarząbków chytry gronostaj, co łatwo poznać, gdyż zwierz ten w czasie skradania się pozostawia ślady tylko trzech nóg, czwartą bowiem zakrywa czarny nosek, a między śladami nóg widać leciuchne wyżłobienie w śniegu pozostawione przez ogon, który gronostaj chowa pod siebie, wiedząc dobrze, że zdradzić go może czarny jego koniec. „Widocznie jarząbki wczas spostrzegły wroga, bo ślad gronostaja staje się pełny i niema już brózdy zrobionej ogonem.

Kilkaset kroków dalej znaczy się wyraźny ślad lisa. Głodny, był biedak widocznie, bo pchał nos w każdą dziurkę w śniegu, zrobioną przez myszy. Nagle stanął, widocznie zobaczył coś ciekawego! Ho ho! Stary to był mykita i doświadczony w łowach, bo uskoczył w bok i począł się czołgać tam do tej polanki, zarywając się całkowicie w śnieg, zostawiając tylko ogon na wierzchu, Chytre lisisko wiedziało, co robi. Ot, tutaj widać ślady cietrzewia, który zwabiony żółtą plamą ogona na śniegu, przyleciał popatrzeć, co to takiego. Mykita wie dobrze, że w całej tajdze niema ciekawszego, a zarazem głupszego ptaka od cietrzewia; ten niech zobaczy na śniegu choćby kawał ciemnego sukna, oderwanego od kurtki myśliwego, wnet przyleci, siądzie niedaleko i przekrzywiwszy głowę, zacznie swoje: Ko-ko-ko! Manewr powiódł się dobrze, bo tam oto widać ślady krwi i czarne metaliczne pióra ofiary zbytniej ciekawości.

Andrzej wskazywał chłopcom coraz to nowe ślady, zgadując z nich każdy ruch, każdą myśl mieszkańców tajgi. Ale nagle przed szerokim



śladem, podobnym do stopy ogromnego chłopca, zatrzymał się i jął go badać palcami rąk bardzo uważnie. Psy, widząc pana swego grzebiącego w śniegu, skoczyły ku niemu radośnie, ale jak tylko zwąchały ten ślad, co tak zaintrygował pasiecznika, wnet odskoczyły jak ogniem oparzone, podwinęły pod siebie ogony i jęły warczeć trwożliwie.

— Andrzej, coż to psy tak się niepokoją? — zapytał Stach,

Stary raz jeszcze uważnie zbadał ślad i rzucił przez zaciśnięte zęby:

— *Szatun* tędy przeszedł, nie dalej jak godzinę temu.

Na dźwięk tego słowa zadrżeli chłopcy i poczuli, jakby im po plecach przebiegły mrówki. Bo któżby z myśliwych nie zadrżał, ktoby silniej nie ścisnął w rękę broni na samo wspomnienie tego straszliwego zwierza, postrachu tajg, wcielenia śmierci?

Chłopcy dobrze przypominali sobie opowiadania myśliwych w Abakańsku, którzy mówiąc o szatunach, zniżali głos do szeptu, jakby bali się głośnem wspomnieniem wywabić go z lasu. Szatun to przecież stary niedźwiedź-samotnik, który z różnych powodów nie popada w sen zimowy i włóczy się po tajgach trapiiony zimnem i głodem. Przebywa on wplaw rzeki, zapada się w zamrożone jeziora, a potem mokre kudły jego marzną i tworzą na całym ciele rodzaj lodowego pancerza, który przyprawia zwierzę o wściekłość. Obmarznięte kudły łap zwisają soplami i, uderzając o siebie, dzwonią jakby ostrzegawcze dzwoneczki. Na dźwięk tych sopli ucieka wszystko, co żyje, nawet stada wilków przed głosem tym umykają w takim popłochu jakby tajga stanęła w morzu płomieni. Oszały z głodu zwierz przebiega tajgi jak huragan, drapie z wściekłością korę z drzew, pędzi za jeleniami dziesiątki kilometrów. Jeżeli wpadnie na ślad człowieka, to idzie za nim tak długo, aż go dopadnie. Szatun nie czeka, by go zaczepiono, atakuje sam z taką

fur ją, że napadnięty człowiek nie ma czasu nawet wystrzelić. Cóż zresztą zrobi ołowiana kula na grubym lodowym pancerzu? Oderwie kawał lodu, zrani nawet, ale to tylko pobudza szatuna do większej wściekłości, wprost do szaleństwa!

Ślady szatuna szły linią zygzakowatą, niezdecydowaną co do kierunku, z tego wnosić należało, że niedźwiedź może wędrowcom przeciąć drogę. Po krótkiej naradzie Andrzej ruszył nad wysoki brzeg rzeki, gdzie znaczna pochyłość stoku górskiego dawała pewne rękojmie przed napadem leśnego włóczęgi. Niedługo jednak szli spokojnie. Od wysokich szczytów nadsięgnęły wolno czarne płachty olbrzymich chmur śnieżnych, a potem rozpuętała się taka nawałnica, że o krok nic widać nie było.

Po wielu trudach i borykaniu się ze śnieżycą znaleźli wreszcie schronienie. Była to niewielka jaskinia, utworzona z głazów, i chociaż przez szczeliny między kamieniami wdzierał się z wiatrem śnieg, można tam było jako tako odpocząć i przy małym ognisku przeczekać zawieruchę. Nawałnica w tajdze szalała coraz potężniej i sypała śniegiem tak gęsto, że wkrótce nietylko zatkała nim wszelkie szczeliny jaskini, ale przed wejściem do niej utworzyła ogromny puszysty wał, który schronisko zabezpieczał od zimnego wiatru. Andrzej wiedział dobrze, że nawałnica taka trwać może kilkanaście dni, to też zabezpieczył się odrazu po znalezieniu przygodnego mieszkania w paliwo. Mimo śniegu i burzy wyszukali wpobliżu dwa suche drzewa, ścięli je, okrzesali z gałęzi, a potem wspólnymi siłami wciągnęli do jaskini. Tu drzewa te rozrąbali na kilka części tak długich, aby swobodnie pomieściły się na szerokość jaskini, poczem pasiecznik w środku dwóch pni wyciosał rodzaj wgłębień, zesunął pnie razem i we wgłębienia nasypał zarzających się węgli. Po chwili pnie poczęły się w

tem miejscu palić zawsze jednakowym płomieniem, dając wiele ciepła i światła, — No! teraz może sobie wichura i tydzień cały hulać po tajdze — mówił wesoło Andrzej do chłopców. — Mamy dobre bezpłatne mieszkanie, mamy „najdę”, która płonąć będzie przez kilka dni, żywność jest, przetrwamy spokojnie śnieżycę, po której na pewno chwyci mróz, ściągnie śniegi trochę, dając naszym nartom wspaniałe pole do popisu. Aby tylko przebyć te szczyty co przed nami, potem już ciągle wdół aż do granic Urjanchaju.

Nawałnica nie trwała jednak długo. Już po pięciu dniach wypogodziło się o tyle, że można było iść dalej, ale teraz zamiast przepowiadanego przez Andrzeja mrozu, zaczęła się lekka odwilż. Wędrowcy z trudem tylko posuwali się naprzód, grzęznąc wraz z nartami głęboko w rozmiękłym śniegu. Iść teraz wysokim brzegiem rzeki było wprost niepodobieństwem, bo ogromne zwały śniegu zsuwały się niby drobne lawiny wdół i groziły lada chwila zmieceniem w przepaść, Ale z drugiej strony opuszczenie obranej poprzednio drogi wymagało wielkiej straty czasu, musieliby bowiem zawrócić aż do izbuszki, którą kilka dni temu porzucili, i stamtąd dopiero zejść na drugi brzeg rzeki, płaski zupełnie i porośnięty niewielkim, młodym lasem. Ażeby zbytnio nie oddalać się od wytkniętej drogi, skierował Andrzej małą karawanę ku wysokim szczytom Tagyłu, mniej więcej do miejsca, skąd z wiecznych śniegów wypływający potok tworzył w skalistych dolinach turni dwa spore jeziora, dające początek Wielkiej Oji. Przebywszy ogromną przestrzeń boru, zagłębili się w kosodrzewinę prawie zupełnie zasypaną śniegiem, Czasami tylko, w miejscach gdzie silny wiatr zwiewał śnieżny całun, unosząc go ze sobą wdół, widać było straszliwie powykręcane gałęzie drzew skarłowaciałych, czołgające się po ziemi nakształt ramion ogromnych ośmiornic. Dalej ku górze wznosiły się hale, a nad nimi

królowały turnie skaliste, skrzące w słońcu różowawym blaskiem.

Od lewej strony iglic Tagyłu widać było coś w rodzaju wgłębienia między skałami: to była przełęcz, którą dawniej przechodziły z Minusińska karawany kupieckie do Urjanchaju, przełęcz bardzo niebezpieczna, bo prowadziła do niej wąska tylko ścieżyna kamienistego zbocza, na której w porze letniej można było prowadzić tylko jednego konia z jukami płasko do siodła przytroczonemi. Patrząc z tych gór wdół, miało się przed oczyma całą tajgę, białą teraz i martwą pod śnieżnym zimowym całunem.

Tajga zdawała się spać pod ciepłą puchową kołdrą śnieżną snem cichym, zmartwiała, obojętna. Nigdzie nie widać było żadnego ruchu, nawet orły, pływające się zwykle w błękitach niebios, zniknęły gdzieś bez śladu, A jednak był to tylko spokój pozorny. Janek, mając niezwykle bystry wzrok, zauważył na tym białym oceanie śniegów coś takiego, że zawołał do towarzyszy:

— Patrzcie, patrzcie, — tam wdole widać jakieś czarne figurki, zupełnie jakby gromadę ludzi.

Pasiecznik i Stach spojrzeli wdół.

Na białej śnieżnej powłoce widać było rzeczywiście ciemne, maleńkie sylwetki, poruszające się szybko „gęsiego”. W przejrzystym jak kryształ powietrzu znaczyły się coraz wyraźniej sanie zaprzężone w trójkę koni, za którymi jechało kilkunastu jeźdźców. Posuwali się szybko naprzód i byli widocznie uzbrojeni, bo promienie słoneczne błyskały czasami na nich oślepiającymi blaskami. Andrzej przyglądał się uważnie jadącym, ale zdziwienia nie było na jego twarzy.

— Tam wdole — mówił — ciągnie się szosa wybudowana w czasie wielkiej wojny. Przecina ona całą tajgę i łączy Białocarsk w Urjanchaju z

Minusińskiem. Drogę tę budowali katorżnicy skazani na dożywotne więzienie, Hej, iluż tu ludzi pomarło, nim drogę tę zrobiono, Moskale bojąc się, by im więźniowie nie uciekli w lasy, przykuwali ich do taczek, innym znowu przykuwali do nóg na długich łańcuchach ciężkie kule żelazne, Ludzie ginęli tu jak muchy, ale przywożono coraz to nowych, aż wreszcie przed samą rewolucją droga była już na ukończeniu. Jak tylko zaczęła się rewolucja, katorżnicy wybili do nogi wszystkich strażników, wymordowali wszystkich inżynierów i poszli grabić wsie spokojne, I teraz jeszcze tam na tej drodze siedzą bandy opryszków, ale obecnie pozostają w służbie bolszewickiej. Ludzie mówią, że za każdego złapanego w tajdze przeciwnika bolszewików dostają oni po pięćdziesiąt rubli; dlatego też nie prowadziłem was na tę drogę, chociaż tamtędy byłoby iść o wiele wygodniej...

— Ale jakże ta droga przez góry prowadzi, kiedy tu widać jedną tylko przełęcz przed nami? — przerwał Stach.

— Toż ta droga jest od nas co najmniej o ośm kilometrów! — zaśmiał się stary, — Ale tu w Sajanach w czasie pogody zupełnie jak w górach mongolskich... patrzysz — zdaje się blisko, a idziesz bez końca, nim cel osiągniesz. Powietrze tu inne niżli w nizinach...

Dalsze słowa Andrzeja przerwał jakiś niezwykły głos. Od ostrego zakrętu ścieżki słyhać było coś niby dalekie dzwonienie botał przyczepianych bydłu na szyi. Psy, idące ztyłu karawany, jęły groźnie warczeć i szczyrzyć ostre zębiska, ale równocześnie cofały się wtył i oglądały na wszystkie strony, jakby szukając najlepszej drogi do odwrotu. Pasiecznik zdjął z plec karabin, podszedł jeszcze parę kroków ku zakrętowi, ale zaledwo znalazł się przy nim, zawrócił gwałtownie i, chwytając Stacha za rękę, krzyknął głosem pełnym trwogi:

— Chłopcy! narty na nogi i ile sił walcie tym stokiem wdół!

Młodzi zbyt dobrze znali Andrzeja, by tracić czas na jakieś zbędne pytania, w jednej chwili spięli rzemienie nart, i Janek pierwszy zesunął się jak strzała po zboczu. Kilka wąskich przepaści przesadził gwałtownym skurczem ciała, potem jak piłka odbił się na wystającym nad halą żlebem, zawisnął na chwilę jak ptak w powietrzu, a potem spadł na halę z takim impetem, że pył śnieżny szedł z pod nart jak para z pod lokomotywy,

Stach zajęty jeszcze saneczkami, które należało umiejętnie spuścić wdół, usłyszał nagle nad sobą jakiś gniewny pomruk, a potem dźwięk podobny zupełnie do chrzęstu obłamywanych sopli lodowych. Spojrzał w górę i tuż na zakręcie ścieżyny zobaczył olbrzymią upiorną postać oblepioną lodem i śniegiem.

— Szatun! — przemknęła chłopcu błyskawiczna myśl. Zepchnął kopnięciem nogi sanki wdół i szybkim ruchem zerwał z piec karabin. Niedźwiedź, zobaczywszy przed sobą ludzi, zaryczał straszliwie, wspiął się na tylne łapy, przednie wyciągnął przed siebie i, błyskając krwawymi ślepiami z pod grubej lodowej czapicy, która zakrywała mu prawie cały łeb, ruszył jak wicher do ataku.

Strzał Andrzeja, wymierzony w rozwartą zapienioną pysk, powstrzymał szatuna na króciutką chwilę, która pozwoliła Stachowi wziąć na cel jedno z małych ślepi zwierzęcia. Łoskot strzału i przeraźliwy ryk zmieszały się razem, szatun zachwiał się, postąpił niepewnie jeszcze parę kroków i nagle runął całą długością ogromnego cielska w przód, wyciągniętymi łapami nakrywając Andrzeja, Chłopak chwycił starca za nogi, chcąc go wyrwać ze śmiertelnych objęć zwierzęcia, ale w tej chwili runęła na niego jakaś biała masa, zwała z

nóg i poniosła ze sobą po stoku wdół ku przepaściom.

Na małą chwilę zobaczył jeszcze koziółkujące cielsko niedźwiedzia, trzymającego kurczowo w łapach bezwładne ciało pasiecznika, potem uczuł silny ból w głowie, jakby od uderzenia o wystający kamień, i stracił przytomność, wałąc się jak kłoda w ogromną czarną czeluść przepaści.

## ROZDZIAŁ VIII.

### SOBOL I WILKI.

Stach ocknął się ze zemdlenia pod wpływem przejmującego bólu. Otwarł oczy i ze zdumieniem spostrzegł, że leży rozebrany do połowy, a ktoś naciera mu ciało śniegiem. Chłopiec zerwał się ruchem gwałtownym, chciał powstać, ale osłabione nogi odmówiły posłuszeństwa, siadł przeto na śniegu, patrząc zdziwiony na otaczających go ludzi o szerokich, płaskich twarzach i małych, skośnych oczach. Ubrani oni byli w krótkie kozuszki rozpięte na piersiach, w cienkie bawełniane spodnie i skórzane unty, na głowach mieli baranie kapuzy, z pod których widać było długie, krucze, gęsto splecione warkocze. Jeden z tych ludzi, starszy wiekiem, widząc zdumienie w oczach chłopca, pozdrowił go dźwięcznym głosem, zmiękczając nieco ostatnią sylabę słowa:

— Mende!

— Mendę aszak — odpowiedział Stach, znający dobrze język sojocki, którego nauczył się od Sojotów, zatrudnionych w kopalniach w Abakańsku.

Przez brązowe twarze Sojotów przeleciało coś jakby uśmiech życzliwości, ale nie zadając już żadnych pytań, usiedli przy małym ognisku z gałązek cedrowych, podwinawszy nogi pod siebie. Poczem ten, co powitał Stacha, wyciągnął z za cholewy unta długą fajeczkę



wyrobioną z korzenia karagany<sup>1</sup>), nabił ją tytoniem, i zaciągnąwszy się parę razy dymem, podał fajkę z grzecznym kiwnięciem głowy Stachowi. Chłopiec znał na szczęście o tyle zwyczaje Sojotów, że nie odmówił przyjęcia *ganzy*, owszem przyłożył cybuch do ust, pociągnął z niego dym i z równie uprzejmym ukłonem podał ją sąsiadowi z lewej strony. I tak w głębokiem milczeniu wędrowała fajka z rąk do rąk, aż wróciła do swego właściciela, który wytrząsnąwszy z niej popiół, zwrócił się do Stacha z zapytaniem:

— Ty *ulan* czy *ak cerig*? — (Ty czerwony czy biały żołnierz?)

— Ani *ulan*, ani *ak*. Uciekłem z bratem i Andrzejem przed *ulan cerigami* z Abakańska... chcieliśmy się dostać do Chun-nojona na Kemczik, ale napadł nas szatun...

— Wiem, wiem — przerwał stary Sojot — widziałem, jak was zmiotła lawina śnieżna. Szatun i stary człowiek tam w przepaści pod śniegiem, dostać ich nie można, ty zawiesiłeś się na kamiennym cyplu i myśmy cię wyciągnęli arkanem.

— A gdzie Janek, mój brat?

— *Ulan cerigi* złapali chłopca i poprowadzili wraz z Biczikiem, moim synem, w stronę Usińska — mówił stary Sojot, — Och, *ulan cerig* bardzo źli ludzie! Złapali Biczika, odebrali mu skórki soboli, *biełek* (wiewiórek) i kun, a że chłopiec nie chciał zdradzić obozowiska naszego, gdzie składamy całą zdobycz z polowania, więc zabrali go ze sobą.

— Skądże wy tak dobrze wiecie o wszystkim, czy rozmawialiście z synem?

Sojot uśmiechnął się i wydobył z zanadrza kilka kawałków kory, na której widać było jakieś znaki zrobione ostrym nożem.

— Ot, nasze pismo! My myśliwi w ten sposób lepiej możemy się

porozumieć niż *Orosy* (Rosjanie) i *Kitaje* (Chińczycy) papierem, Temi kawałkami kory znaczycy Biczik drogę, którą go prowadzi, oraz mówi o chłopcu, którego czerwone cerigi biją knutami, Dwóch naszych myśliwych śledzi bez przerwy ruchy czerwonych; jeżeli chcesz, to chodź z nami... odbijemy więźniów, wpierw jednak posil się trochę, bo droga daleka, a tyś dawno nie jadł.

Stach widział, jak Sojoci przypiekali nad ogniem kawały mięsa i zjadali je napół surowe, tak jednak był zaskoczony wiadomością o śmierci Andrzeja i złapaniu Janka, że zupełnie zapomniał o głodzie. Byłby może z żalu nad stratą starego przyjaciela zapłakał, ale wczas przypomniał sobie, że u Sojotów mężczyzna płaczący uważany jest za najpodlejsze stworzenie i żaden uczciwy i szanujący się wojownik nie powinien takiego człowieka powitać, przyjąć do swej jurty, ani udzielić mu najmniejszej pomocy.

Wiedząc, że bez broni, psów i wszelkich zapasów, bo wszystko to zmiotła ze sobą lawina, zginie i bratu nie będzie mógł przyjść z pomocą, postanowił skorzystać z towarzystwa sojockich myśliwych. Włożywszy futrzany kubrak, zasiadł przy wspólnem ognisku z miną tak obojętną, jakby najmniejsza boleść nie raniła mu serca. Od czasu do czasu smutny wzrok chłopca biegł w stronę parowu, będącego grobem Andrzeja, ale Sojoci udawali, że tego nie spostrzegają, i bawili go opowiadaniem o łowach.

Po posiłku, składającym się z prosa zaprawionego zieloną słoną herbatą i z kawałką pół-surowej pieczeni jeleniej, najstarszy Sojot dał znak do pochodu.

Szybko i zręcznie spakowali myśliwi rzeczy na kilka maleńkich saneczek i przykryli je skórami kabarg. Każdy z nich założył na plecy

.długą, ciężką strzelbę, mającą w połowie lufy przytwierdzone widelki do podpory przy strzelaniu, każdy przypiął do unt narty i w niespełna kilka minut poczęli zesuwać się pojedynczo po pochyłości.

Stachowi dano również długie, wąskie narty sojockie, oraz strzelbę odstąpioną przez jednego z młodych Sojotów, który wołał posługiwać się na łowach łukiem.

Zemknęli pochyłością góry wdół ku borom, manewrując zgrabnie saneczkami, na których teraz dopiero zauważył Stach kilka niewielkich, bardzo niepozornych psów. Jak tylko przebyli hale i kosodrzewinę, Sojot, prowadzący karawanę, skręcił nagle wbok, zarył nartą w śnieg, puścił psa ze smyczy, a następnie ruszył za nim, trzymając broń w pogotowiu. Następny Sojot uczynił to samo, a reszta myśliwych nie zatrzymując się zjechała w bór.

— Czemu ci dwaj myśliwi pozostali tam w górze? — zapytał Stach starego myśliwca, z którym jechał na końcu.

— *Butugun!* (soból) — ozwał się krótko Sojot.

Na taką nieoczekiwaną odpowiedź zawrzała w chłopcu krew, wybuchnął przeto gniewnie.

— Jakto! Tam bolszewicy znęcają się może nad twoim synem i moim bratem, a wy zamiast o pomocy dla nich myśleć, traciecie czas na polowanie?

Sojot zatrzymał się i spojrzał Stachowi w oczy.

— Ty jesteś jeszcze młody, a już znać w tobie krew *nojonów* [książąt] — mówił z uśmiechem. — Oburzasz się, że nie myślimy o więźniach, lecz o sobolach? — Ha, ha! Sobol ma szybkie nogi i skryje się w każdej dziurze, a ułan cerigi mają ciężkie sanie i próżnoby starali skryć ślady przed oczyma starego Bołdyra. Za dwa dni brat twój i Biczik zapalą

ganzę z nami, ale sobole czekać na nas nie będą. Skórkami butugunów płacić musimy *jassak* (daninę) saldżackiemu no nojonowi<sup>2</sup>) za pozwolenie korzystania ze stepowych pastwisk dla naszych stad...

Stach chciał zapytać jeszcze o coś, ale w tej chwili przebiegł koło nich z głośnym szczekaniem pies. Sojot bez chwili namysłu puścił się za nim, chłopcu nie pozostało nic innego jak pójść w jego ślady.

Długi czas sunęli za psem, który przebiegał od drzewa do drzewa, zadzierał w górę głowę, poszczekiwał, by po chwili biec znów dalej. Bołdyr zdjął z piec strzelbę i, prześlizgując się cicho między pniami, spoglądał uważnie w górę na korony drzew. Stach zapomniał już o gniewie, zainteresowany tem dziwnym polowaniem na niewidoczną zwierzynę.

Błądząc wzrokiem po pniach drzew, zauważył nagle, że z dziupła starego cedru wychyliła się ciemna główka jakiegoś niewielkiego zwierzątka, Czarnymi paciorkami błyszczących oczek śledziło ono ruchy psa i myśliwego, oddalających się coraz bardziej. Chłopak stał w miejscu jak posąg, wyczuwając instynktownie, że najmniejszy ruch spłoszyć może zwierzątko. Nie upłynęło kilka chwil, gdy z dziupła wysunęło się długie, zgrabne ciało sobola; zwierzę przebiegło szybko po dużym konarze, strzepnęło kilka razy puszystym ogonkiem, skurczyło się i nagle gwałtownym susem przeskoczyło na gałąź znajdującą się o kilka metrów wyżej. Moment ten wystarczył Stachowi w zupełności, by podnieść broń do oka; w chwili gdy soból odwrócił się do niego pyszczkiem, pociągnął za cyngiel. Rozległ się cichy strzał, nie głośniejszy jak kłaśnięcie w dłonie, a równocześnie soból trafiony widocznie dobrze, zsunął się bezwładnie z gałęzi i runął w śnieg.

Młody myśliwy przytroczył zdobycz do pasa i pomknął za śladem

Bołdyra. Soból, za którym Sojot uganiał, był widocznie już nieraz w opałach, bo zmykał co tchu, nie dając myśliwemu możliwości strzału. Stach widział kilkakrotnie w śniegu ślady podpórek strzelby, do strzału jednak nie doszło, nigdzie bowiem nie zauważył nadpalonych paków z przybitki.

Dopiero po dwóch godzinach spiesznej jazdy zdołał zbliżyć się do Bołdyra. Sojot znajdował się właśnie na dosyć obszernej polanie, w pośrodku której stał majestatyczny stary cedr, szumiący tęskną pieśń wieczorną potężnymi konarami. Pies, stojąc na uboczu, patrzył bez przerwy na te konary i poszczekiwał od czasu do czasu, jakby dając znać komuś o swej obecności.

— Mendę Bołdyr aszak — zawołał chłopak, podnosząc w górę zabitego przez siebie sobola.

Bołdyr odwrócił się na ten okrzyk, ale zamiast odpowiedzieć na przywitanie, rozwarł szeroko skośne oczki w największym zdumieniu, poczem zbliżywszy się do Stacha z jakąś nieśmiałością, prawie czią, wziął w rękę sobola.

— Czarny soból, czarny soból — szeptał, gładząc pieszczotliwie lśniące jak aksamit gęste jedwabiste futerko zwierzęcia.—Och, chłopcze! Ty masz szczęście! Czy wiesz, że wedle naszych wierzeń ten, co zdobędzie czarnego sobola, jest wybrańcem losu? Taka skórka warta jest dziesięć najlepszych koni i tyleż *kurdiucznych* baranów<sup>3</sup>).

— Ależ ja nie chcę koni ani baranów, Bołdyrze! Skórka należy do ciebie! Niech będzie pamiątką wyratowania mnie z przepaści!

Sojot przez długą chwilę oponował gorąco przeciw temu książęcemu podarunkowi, ale ostatecznie skórkę przyjął. Rozpalili maleńkie ognisko, gdyż już noc nastała, i grzali przy niem zmarznięte ręce. Pies

pilnował ciągle cedru, nie odchodząc od niego ani na chwilkę.

Ognisko rozłożone na śniegu topiło go i zapadało się coraz bardziej, tworząc głęboki komin, dający z wnętrza dosyć dużo ciepła. Nad kominem tym przesiedzieli całą noc drzemiąc, gwarząc i dorzucając coraz to świeżych gałęzi.

Gdy wreszcie poczęło świtać, zasypali śniegiem komin ogniska, Bołdyr zabrał psa i, odprowadziwszy go w las, uwiązał wśród gąszczy, a wróciwszy na polanę, wykopał w śniegu tak głęboką jamę, że mógł się w niej swobodnie zmieścić, nie będąc zupełnie widzianym od strony drzewa, Stach wedle wskazówek Sojota stanął tuż przy pniu cedra i, gdy Bołdyr skrył się w jamie, uderzył kilka razy lekko obuchem toporka w pień. Po długiej chwili uderzył nieco silniej i ku ogromnej radości spostrzegł, że z gęstej korony gałęzi wychyliła się główka sobola, rozglądającego się ciekawie na wszystkie strony. Stary myśliwski fortel sojocki okazał się skutecznym; w miarę stukania w pień potęgowała się Wrodzona ciekawość zwierzęcia, to też zesuwało się ono po gałęziach coraz niżej, jakby koniecznie chciało zbadać przyczynę niezwykłego odgłosu w pniu. W chwili gdy soból zeskoczył na jeden z niższych konarów, od strony Bołdyra padł cichy strzał, i zwierzę osunąwszy się z gałęzi, spadło prawie u nóg Stacha.

— Cierpliwość jest największą zaletą myśliwego — mówił Bołdyr do młodego towarzysza, zjeżdżając na nartach wdół ku rozległej bezleśnej dolinie rzeczki Us, płynącej na południowej stronie Sajana. Tego sobola dostaliśmy stosunkowo szybko; bywa jednak czasem, że kilka dni trzeba się uganiać za tą cenną zwierzyną, nie mając czasu ugotować coś ciepłego. Człek cały dzień w ruchu, zagrzeje się należycie, ale w nocy zmarznie na kość, bo niezawsze znajdują się suche gałązki cedrowe,

innemi zaś palić nie można, gdyż dym wygoni całą zwierzynę, znajdującą się gdzieś poblizu.

— A czy wypukiwanie sobola z dziupla jest niezawodne? — zapytał Stach.

— Niezawsze ono pomaga, Czasami soból, raniony lekko poprzedniego roku lub dobrze przepłoszony, potrafi siedzieć w dziuple albo skalnej szczelinie kilka dni, i wtedy trzeba go wykurzać dymem, a nieraz musi się i drzewo zrębać. Stukanie w pień nigdy nie zawodzi w łowach na bielki; choćby ich było nawet kilka na drzewie, wszystkie zejdu prawie do rąk myśliwego.

Zesunąwszy się w stromy wąwóz małego potoczka górskiego, który lśnił w słońcu lazurowymi zamrażniętymi kaskadami wodospadów? już mieli skierować się w dolinę rzeczki Us, gdy nagle po tajdze zagrzmiął chrapliwy ryk, niosąc się wdał poprzez zaśnieżone bory, tęskną, żalowaną nutą, Stach zerwał szybko z ramienia strzelbę, ale Bołdyr sięgnął ręką za pazuchę kozucha i, wyjąwszy stamtąd kawał cienkiej kory brzozonej, zwinął ją w tubę. Poczem, przyłożywszy ją do ust, począł wciągać w siebie powietrze, wydając ryk zupełnie podobny, lecz chrapliwszy i mocniejszy, Zaledwo przebrzmiało wołanie Sojota, a już ryk nowy poniósł się z oddali, przebrzmiał, trzykrotnie powtórzony przez dalekie echa, i zamarł gdzieś między załomami skał.

Chłopiec popatrzył pytająco na towarzysza.

— To ryk marałów, nasz zwykły głos ostrzegawczy. Używamy go dlatego, że nie płoszy zwierzyny, owszem często ściągnie na któregoś z nas marała, a w zimie ryku tego używamy jako wabika na wilki.

— Czy zwołujesz tych, co rozbiegli się za sobolami?

— Nie, to był znak od Batora, jednego z tych, co śledzą czerwonych

żołnierzy... widocznie wie coś ważnego, bo naśladował ryk młodej łani...

— Chodźmy prędko do niego — zawołał Stach niecierpliwie — może ten Bator ma jakie wiadomości o moim bracie!

Ruszyli łagodniejszym stokiem wąwozu, ale jak tylko dostali się do miejsca, gdzie potok spadał kilkometrowym łukiem wodospadu do rzeczki, stanęli jak wryci.

Przed nimi roztaczała się ogromna śnieżna bezleśna płaszczyna, pochylona lekko ku południowi. Na niej w potężnych susach sadził ogromny, stary jeleń, za którym w niewielkiej odległości mknęła gromadka wilków. Było ich ośm. Szły jak wiatr, błyskając ostremi zębiskami w otwartych paszczach, z których zwieszały się długie czerwone jak krew ozory. Jeleń instynktownie omijał zasy śnieżne, przesadzał rzutami nóg sprężystych niewielkie wądoły, mimo to wilki zbliżały się do swej ofiary coraz bardziej. W chwili gdy jeden z napastników, wyprzedziwszy towarzyszy, dopadł jelenia z boku, ten obrócił się w skoku i potężnym uderzeniem nogi tak silnie zdzielił wilka w łeb, że zwierzę, opisawszy kilkometrowy łuk w powietrzu, spadło z przeraźliwym wyciem na śnieg.

Wśród napastników zapanowało na chwilę zamieszanie. Wilki stłoczyły się przy powalonym towarzyszu, stanęły, jakby się nad czymś naradzając, potem rozdzieliwszy się na dwie partje, pomknęły za zbiegiem.

Położenie jelenia stawało się groźne. Zwierzę zaryło się kilkakrotnie w głęboki śnieg i z trudem tylko zdołało się zeń oswobodzić, by po kilku następnych susach znów zapaść się aż po brzuch w zaspę.

Stach z bijącym sercem obserwował, jak biedne zwierzę dobywało wszystkich sił, by wyrwać nogi ze zdradzieckiej matni, i kurczowo



zaciskał w rękę strzelbę, widząc, że wilki prawidłowymi półkolami zbliżały się do więźnia, by go osaczyć ze wszystkich stron. Jeszcze kilkadziesiąt metrów, a bezbronny jelen zostanie rozerwany na sztuki.

Stach, drżąc cały na samą myśl o scenie, która miała się rozegrać przed jego oczyma, podniósł broń do oka, chcąc wystrzałem przepłoszyć rozżarte wilki, ale uważny na wszystko Bołdyr chwycił go tak silnie za ramię, że chłopcu strzelba bezwładnie zwisnęła na rękę.

— Patrz tam w górę — szepnął Sojot, wskazując palcem na daleki mur potężnego boru, opasującego polanę — strzelać będziesz dopiero na mój znak!

Stach skierował wzrok we wskazaną stronę i krzyknął z radości. Od boru mknęło bowiem jak wichur kilku Sojotów, znacząc swą drogę tumanami śnieżnego pyłu, wylatującego z pod nart; przesunęli się ukosem do wilków, otoczyli je ze wszystkich stron, i nim zwierzęta spostrzegły grożące im niebezpieczeństwo, poczęły w nie szyc strzałami, tak skutecznie, że wkrótce wszystkie ośm wilków tarzało się w przedśmiertelnych drgawkach, starając się zębami wyrwać sterczące z ciał grotty.

Zanim Bołdyr ze Stachem stanęli na miejscu pobojuwiska, już wilki leżały złożone jeden koło drugiego, a Sojoci, skrzepowawszy marała długimi arkanami, wyciągali go ze śniegu. Tak byli zajęci tą czynnością, że nie zwracali uwagi na nadchodzących.

— Hej, Bator! Chodźno tutaj — zawołał Bołdyr.

Z grupy myśliwych oddzielił się młody krępy Sojot i, zbliżywszy się do wołającego, stanął przed nim w postawie pełnej poszanowania.

— Gdzie bolszewicy? — zapytał stary.

— Dzisiaj na noc przyjdą do pierwszego promu nad Usem i tam

muszą nocować, bo Dżałan zniszczył linę, na której przeciągają wielką łódź.

— A brodem przejechać nie można?

— Brodu w nocy nie przebędą, bo brzegami woda zamarza; lód koniom nogi pokaleczy.

— Czy nie lepiej było zasadzkę przygotować na drugim promie? Tam Zbójecką tropiną prosto na Sejbę ujść można!

— Druga przeprawa niepewna. Lada dzień przyjdzie tam oddział czerwonych, bo przewoźnik doniósł, że wielu białych tamtędy ucieka do Urjanchaju.

— Ilu czerwonych prowadzi Biczika i brata tego chłopca?

— Dziesięciu konnych i dwóch nojonów widocznie, bo jadą saniami. Biczika i chłopca prowadzą na arkanach między końmi i biją ich, gdy nie mogą nadażyć.

— Czy na przewozie jest mała łódź?

— Jest, ale przewoźnik wyciągnął ją na brzeg.

— Biegnij prędko do Dżałana; jak tylko wieczór zapadnie, zwiążcie przewoźnika i zakopcie go w siano, ale tak aby się nie udusił. Łódź na wodę i czekać naszego przybycia, jeżeli ktoś przed wieczorem przyjedzie, nie dajcie łodzi, ani znaku o sobie!

Bator, wysłuchawszy rozkazu, już miał odejść, gdy nagle wzrok jego padł na zwisającą u pasa starego skórkę czarnego sobola, Sojot pochylił się w głębokim ukłonie przed Bołdyrem i, chwyciwszy kraj jego kozucha, potarł niem po czole.

— To nie moja zdobycz — zauważył z uśmiechem Bołdyr — to ten młody nojon jest taki szczęśliwy.

Bator niedowierzająco popatrzył na Stacha, ale bez słowa chwycił za połę kubraka chłopca i potarł nią czoło, poczem szybko podążył ku myśliwym, porającym się z marałem, rzucił parę słów przyciszonym głosem, przypiął narty i puścił się pędem młodego jelenia ku lasom.

Słowa Batora miały ten skutek, że Sojoci pozostawili skrępowanego jelenia i wszyscy otarli czoła o połę kurty szczęśliwego zdobywcy czarnego sobola.

— Oni chcą mieć szczęście w dalszych łowach — objaśnił Bołdyr Stachowi, widząc jego zdziwioną minę. — Teraz chodź prędko, zabierzemy marała ze sobą i ruszymy do promu ratować więźniów.

Sojoci w mig powiązali saneczki, robiąc z nich duże, wyścielili je skórami zdartymi z wilków, a potem mchem, na to posłanie ułożyli wygodnie marała, i wkrótce cała karawana, poprzedzana radosnem ujadaniem psów, ruszyła śladami Batora.

Na białej powłoce śnieżnej zostały tylko odarte ze skór cielska wilków, któremi zajęły się teraz rzesze skrzydlatych drapieżników.

## ROZDZIAŁ IX.

### W NIEWOLI.

Janek, wykonywając rozkaz Andrzeja, w chwili gdy szatun pokazał się na przełęczy, zjechał po stoku wdół pewny, że śladem jego dąży brat i pasiecznik. Słyszał wprawdzie wystrzały, ale całą uwagę skupił na niezbyt bezpiecznym terenie zjazdu, przeskakując przepaście i omijając zbyt wysoko sterczące występy oraz złomy skalne. Gdy wreszcie dostał się na pochyloną łagodnie płaszczyznę hali, pomknął po niej jak wichur, pochłonięty całym rozkosznym uczuciem szybkości przebywanej przestrzeni. Uczucie to zna prawie każdy dobry narciarz, a Janek mimo młodego wieku nie ustępował w tym sporcie najlepszym nawet myśliwym abakańskim, którzy rok rocznie na nartach przebiegali wzdłuż i wszerz dzikie góry Sajańskie.

Po przebyciu kosodrzewiny, zasypanej zupełnie śniegiem, Janek znalazł się w głębokim wąwozie, przecinającym wysokopienny bór szeroką szczeliną. Wąwóz był widocznie korytem jakiegoś potoczka i musiał być bardzo kamienisty. Ale obecnie tak wysoko był zasypany śniegiem, że tylko tu i tam sterczały z pod białego puchu czarne załomy, wśród których umiejętny narciarz czuł się równie dobrze jak na zupełnie gładkim stoku.

Tuż prawie przy wylocie wąwozu natknął się chłopiec na świeże zupełnie ślady nart. Będąc pewny, że tędy przeszedł Stach lub Andrzej,

ruszył śladem tym dalej, zagłębiając się w gęsto podszyty bór. Zaledwo jednak przebiegł kilka stajań, do uszu jego doszedł jakiś niezwykle świsł połączony z głośnem uderzeniem o coś miękkiego. Janek przezornie przygotował broń i cicho wysunął się z gęstwiny, wychodząc nagle na szeroko wyciętą linję boru. Zauważył na niej dwóch ludzi, z których jeden trzymał osiodłane konie, drugi zaś okładał nahajem jakąś skurczoną na śniegu postać.

Na widok nieludzkiego znęcania się nad bezbronnym zawrzała w chłopcu szlachetna krew jego przodków. Skoczył więc jak ryś na środek drogi i silnem uderzeniem łożyska broni wytrącił nahaj z ręki napastnika.

— Jak śmiesz bić bezbronnego człowieka! — krzyknął w uniesieniu po polsku.

Napastnik, ogromny chłop, popatrzył zdumionemi oczkami, błyskającemi złowrogo z pod zmierzwionej czupryny, zakrywającej całe czoło, ale zamiast odpowiedzi zdradzieckim ruchem olbrzymiej pięści trzasnął chłopaka tak silnie między oczy, że ten bez czucia zwałił się na ziemię.

Gdy Janek odzyskał przytomność, już miał skrępowane ręce cienkim, ale silnym łańcuszkiem, którego koniec przytwierdzony był do siodła konia.

— Wstawaj, *brodiago* (włóczęgo)! — wrzasnął olbrzym widząc, że Janek patrzy na niego szeroko rozwartemi oczyma, poczem chwyciwszy chłopca jedną ręką za kołnierz ubrania, podniósł go wgórę i postawił na nogi. Janek rozglądął się dokoła, jakby szukając ratunku, ale zobaczył tylko, że ten którego chciał wyratować, jest również przywiązany łańcuszkiem do siodła drugiego konia, a napastnicy, schowawszy z grubego błamu kilka skórek za pazuchę, resztę przytroczyli do siodła,

zabrali broń więźniów i ciężko wgramolili się na konie.

— Ej wy, brodiagi! Biegnijcie dobrze za końmi, bo nahajem was popędzę — krzyknął znowu olbrzym, i konie uderzone knutami ruszyły z miejsca tęgim kłusem, pociągając więźniów za sobą.

Jechali tak kilka minut, dopóki konie nie zwolniły biegu w zbyt wysokim śniegu. Zdyszani więźniowie mogli teraz złapać nieco tchu w zmęczone piersi, mogli również przypatrzeć się sobie. Widocznie z pierwszego wejrzenia spodobali się sobie, a może wspólna niedola życzliwie ich wzajemnie usposobiła, dość, że uśmiechnęli się jeden do drugiego jak dwaj starzy znajomi. Współtowarzysz Janka był Sojotem. Był to chłopak może piętnastoletni, krępy, o silnie rozwiniętych piersiach i krótkim tułowiu, osadzonym na kabłąkowatych nogach, świadczących, że właściciel ich większą część życia spędza na koniu. Szedł niezgrabnie, kołysząc się w prawo i lewo, i widać było, że chodzenie piechotą bardzo go męczy. Ale spokojna, jakby z kamienia wykuta, płaska, szeroka twarz nie wyrażała najmniejszym grymasem tego, co dzieć się musiało w duszy tego dziecka stepów i lasów, przywykłego do niczem niekrępowanej wolności.

Gdy obaj jeźdźcy na przedzie zbliżyli się do siebie o tyle, że prawie trącali się strzemionami, i rozpoczęli między sobą jakąś cichą rozmowę, młodzi więźniowie, korzystając z dosyć długich łańcuszków, uczynili to samo, idąc ramię przy ramieniu.

— Mende! — ozwał się Sojot szeptem.

— Mende! — odpowiedział Janek strapiony, że na tem słowie kończy się jego znajomość sojockiego języka. Przypomniawszy sobie na szczęście, że mowa Tatarów tasztypskich ma wiele podobieństwa do mowy sojockiej, spróbował przeto językiem tym zagadnąć współtowarzysza

niedoli.

— Jak ci na imię?

— Biczik — odpowiedział Sojot, zrozumiawszy w lot pytanie.

— A moje... Janek!

— Janek, Janek — powtórzył kilkakrotnie Biczik, jakby chcąc dobrze zapamiętać to imię.

— Czemu ci źli ludzie cię bili?

— Och! to ułan cerigi! Złapali mię, gdym niósł pęk skór do naszego obozowiska... chcieli, abym zdradził miejsce, ale ja nic nie powiedziałem.

— Toś ty nie sam w tajdze?

— Poluje cały nasz *otok* (ród) pod wodzą mego ojca Bołdyr-Erdeni<sup>1</sup>). Tu na Sajanach jest nas dwunastu mężczyzn, reszta poluje w górach Ułan-Tajga, bo na Tannu-Oła<sup>2</sup>) jeszcze śniegów niema.

— Jakże ojciec twój dowie się o twojem uwięzieniu?

— Och! Sojoci mają oczy sępów stepowych i tajga nie ma dla nich tajemnic. Moim śladem miał iść do obozowiska krewniak Bator; on zaraz spostrzeże, co się stało, i zawiadomi ojca, który dzisiaj miał przejść na tę stronę Tagyłu... Zresztą ja sam zaraz zawiadomię ich o naszym nieszczęściu...

— Jakże to uczynisz?

Sojot uśmiechnął się tylko chytrze i, nieznacznym prawie ruchem chwyciwszy kawał kory, leżącej na śniegu, naciął na nim kilka dziwacznych znaków małym nożykiem, wydobytym z cholewy unta, następnie korę równie niepostrzeżenie odrzucił w bok zdała od wybitego w śniegu śladu sani i kopyt końskich.

Po godzinnej prawie jeździe bolszewicy zatrzymali konie przed dosyć obszernym domem dróżnika, gdzie przed przybudówką z grubych tarcic stały sanie, a kilka osiodłanych koni chrupało chciwie rzucone im pod nogi siano. Z dwóch kominów, domostwa buchały w górę dwie smugi czarnego dymu, nikt jednak nie wyszedł na spotkanie przybyłych. Bolszewicy zeskoczyli z wierzchowców, i gdy jeden z nich zajął się przywiązywaniem ich do długiej żerdzi, przybitej na dwóch słupkach, drugi, ten właśnie co zbił z nóg Janka, odpiął od siodła przytroczone skórki, chwycił w ogromną łapę oba łańcuszki i, ciągnąc za sobą więźniów, wszedł do izby domostwa.

— Zdorowo towarzysze! Wot i gościńca wam przywiozłem — huknął.

— Zdorowo, Jegor! — ozwały się liczne głosy z głębi izby, a wślad za nimi z przed ogromnego komina, na którym płonęły szczapy sosnowe, jęły podnosić się jakieś postacie i zbliżać ku przybyłym. Byli to żołnierze bolszewicy, którzy myśląc, iż towarzysz ich zdołał chwycić jakich przestępców politycznych, chcieli im się przypatrzeć. Zdumienie ich było prawie bez granic, gdy zamiast dorosłych, zobaczyli przed sobą dwoje chłopiąt.

— Ech, Jegor, Jegor! — zaśmiał się jeden z czerwonych, — Gdzież ten podarek? Oj, durak ty, durak, zamiast białych dzieci po drodze łowisz!

— Co! — wrzasnął Jegor wściekły, że towarzysze kpią z niego — to oni dzieci? Ot ten — mówił wskazując na Janka — ze strzelbą się na mnie porwał... zabić chciał!

— A ten Sojot pewno konia chciał ci zabrać — ozwały się znów szyderczo głosy. — Wiadomo Sojot na konia — jak Jegor na świeżą



sperkę!

— Ech, Jegorka! — śmiał się inny. — Widocznie po miodzie z pasieki Andrzeja nie możesz przyjść do siebie, wnet cedry i sosny będziesz łapać myśląc, że to biali...

Jegor, chcąc przerwać dalsze szyderstwa towarzyszy, zwrócił się ku drzwiom drugiej izby, otworzył je kopnięciem nogi i, pchnąwszy w nie więźniów, wszedł za nimi, zamykając szczelnie drzwi za sobą.

Izba, w której znaleźli się teraz, była obszerna, czysta, zastawiona skromnymi sprzętami. Widocznie było to mieszkanie gospodarza domu, gdy pierwsza izba była przeznaczona na użytek przejezdnych.

Na środku pokoju stał duży stół tarcicowy, przy którym siedziało dwóch ludzi, patrząc gniewnie na przybyłych. Janek na pierwszy rzut oka poznał w jednym z nich młodego komisarza z pamiętnej nocy w Abakańsku, w drugim Jefrema, tego samego co to nahajem chciał wymusić na nim zeznanie o miejscu pobytu inżyniera Raczyńskiego.

Jegor, widząc zagniewany wzrok komisarza, złożył na stole pęk skórek zabranych Biczikowi, a potem w krótkich słowach opowiedział o złapaniu obu chłopców, przyczem Janka przedstawił jako bandytę, chcącego pozbawić go życia. Komisarz niebardzo widać wierzył opowiadaniu, bo machnął kilkakrotnie pogardliwie ręką, ale Jefrem, obserwujący przez cały czas uważnie więźniów, zerwał się jak oparzony i zawołał:

— Towarzyszu komisarzu! Toż to jeden z tych Polaczków, co nam uciekli z chlewika w Abakańsku!

— Ej, Jefrem, żartujesz chyba — zaprzeczył komisarz — przecież tamten był tylko w lekkim ubraniu, a ten ma wspaniałe futro z wyder i jak opowiada Jegor miał narty na nogach...

— Oni przecież uciekli do tego starego pasiecznika, co to spił cały mój oddział, a potem podpalił zabudowania, co omal nie zgubiło wszystkich moich żołnierzy!

— Czy to prawda, co mówi Jefrem? — zapytał Janka komisarz.

— Tak! to prawda!

— Gdzież jest twój brat i ten stary?

— Pod przełęczą Tagyłu napadł nas szatun, uciekaliśmy przed nim i widocznie moi towarzysze zjechali inną drogą, bom ich od tej chwili nie widział.

— A czemuż to chciałeś zabić Jegora?

— To nieprawda! Bił bezbronnego Sojota i skradł mu skórki, które ten zdobył na polowaniu.

— No, no, to już nie twoja rzecz, obrońco uciemiężonych. Jefrem, zabierz tych chłopców stąd. Potem pomyślimy co z nimi zrobić! Ty, Jegor, zostań tutaj!

Więźniowie znaleźli się znowu w pierwszej izbie. Otoczyli ich ze wszystkich stron żołnierze, którzy widocznie podsluchiwali pod drzwiami, znali bowiem dokładnie zeznania Janka. Żołnierze ci składali się przeważnie ze Sybiraków, a nie lubiąc Jefrema i Jegora, którzy byli chachłakami, i nie biorąc udziału w pościgu za zbiegami w Abakańsku, starali się teraz Jankowi okazać życzliwość. Wychodzili oni z założenia, że ucieczka z rąk wroga jest nie-tylko postępkiem, zasługującym na pochwałę, ale dowodzi sporej odwagi, którą prawdziwy żołnierz cenić powinien. Jefrem chciałby może z więźniami rozprawić się po swojemu, zaraz jednak spostrzegł, że Sybiryacy nie dadzą dzieciom zrobić nic złego, zemstę przeto postanowił zachować na później.

Chłopcy, nakarmieni czarnym żołnierskim chlebem, ułożyli się do

spoczynku i zasnęli natychmiast, zapominając o niewoli i łańcuszkach, krępujących im nogi.

Późno w nocy, gdy już cały dom pogrzyżył się w ciemnościach, Jefrem i Jegor obmyślali plan zemsty na Janku, Biczika postanowiono zabrać ze sobą aż do Usińska, by tam wymusić od Sojotów znaczny okup, Janka miano sprzątnąć przy pierwszej lepszej okazji.

Widocznie jednak obaj spiskowcy szeptali zbyt głośno, bo Janek powtórzył całą rozmowę Biczikowi, ten zaś wyciął na korze znaki, które miały dojść do rąk starego Bołdyra.

Gdy na drugi dzień oddział bolszewików wyruszył w dalszą drogę, obu więźniów przywiązano do koni zaprzężonych w sanie, a Jefrem, poganiając konie, nie szczędził chłopcom bolesnych uderzeń batem, Janek siedł teraz w lichej podartej odzieży, danej mu przez Jefrema, który futrzane ubranie chłopca zdarł z niego.

Droga wiła się przez niebotyczne bory, przecinała góry głębokimi wąwozami, lub obiegała serpentyną spadziste stoki. Janek mimo zmęczenia, wywołanego dosyć szybkim biegiem koni, patrzył na przesuwające się przed nim obrazy, śledził każdy ruch tajgi, spodziewając się, że przecież Andrzej i Stach nie zostawią go bez pomocy. Po całodziennej podróży bolszewicy zatrzymali się przed olbrzymimi napół zawalonemi barakami, w których przed kilku laty mieszkali katorżnicy, zajęci przy budowie drogi, I gdy znów Janka zamknięto wraz z Biczikiem w jakimś małym, ciemnym lochu, wrytym w ziemi, chłopiec stracił już wszelką nadzieję wyrwania się z rąk oprawców.

Biczik natomiast był nietylko spokojny, ale nawet nucił pod nosem jakąś monotonną piosenkę. Ponieważ w lochu było pełno śniegu, Sojot

zabrał się rażno do oczyszczenia z niego jednego kąta i tam na gołej zmarzniętej ziemi ułożył się do spoczynku.

— Odpocznimy trochę, a potem będziemy śnieg przrzucali z drugiego kąta — mówił wesoło. — Trzeba coś robić, bo w nocy zamrozimy tu zupełnie!

— Czyż nie wszystko jedno — odpowiedział Janek zrezygnowanym głosem — jeżeli nie zamroznę dzisiaj, to i tak mię jutro Jefrem zabije.

Biczik zamiast odpowiedzi począł śmiać się cicho i skakać po śniegu, jakby w ten sposób chciał pokazać wielką radość.

— Cóż ci tak wesoło?

— Biczik ma oczy i uszy otwarte — szeptał teraz tajemniczo Sojot. — Czy słyszałeś tam koło baraków wołanie stepowej kuropatwy? Nie? Otóż kuropatwy te żyją tylko na naszych stepach, a w tajdze nikt ich jeszcze nie widział...

— Cóż kuropatwa ma wspólnego z naszą niewolą?

— Jeżeli w tajdze niema stepowych kuropatew, to przecież nie był to krzyk ptaka! To jeden z naszych Sojotów dawał mi znak, że śledzi ułan cerigów. — O, Bołdyr-Erdeni nie da zginać synowi w rękach Orosów!

— Ach, tobie przecież nic nie grozi! Zawieźć cię mają do Usińska, ale na mnie Jefrem mścić się będzie za porażkę w pasiece Andrzeja...

— Tyś ujął się za mną i przez to straciłeś wolność, teraz jesteś mi bratem, więc i ciebie nasz otok będzie bronił! Zresztą jak długo znajdujemy się w tajdze, broni cię myśliwskie wierzenie, że śmierć dziecka przynosi nieszczęście, z tem i Jefrem liczyć się musi; lasy kończą się dopiero za Usińskiem, ale tam już Urjanhaj, tam nasi nojoni mają głos!

Przez całą noc przrzucali chłopcy śnieg z jednego miejsca na drugie,

nie pozwalając sobie nawet na krótką drzemkę. Zdziwienie, ale zarazem i złość Jefrema były bardzo wielkie, gdy zajrząwszy rano do lochu, zobaczył chłopców zdrowych i wesołych. Rachuby jego zawiodły: spodziewał się, że Janek zmęczony całodziennym pochodem zaśnie, reszty zaś dokona mróz. O Biczika nie obawiał się, wiedział bowiem dobrze, że Sojoci nawet przy wielkich mrozach spać mogą na śniegu w otwartym stepie bez szkody dla zdrowia. Jeżeli Janek zmarźnie, żaden z obecnych w oddziale Sybiraków nie mógłby robić mu jakichkolwiek wymówek o pogwałcenie zwyczaju. Tymczasem znieawidzony Polak zamiast leżeć zmarznięty, śmiał się wesoło, słuchając opowiadań towarzysza. To też Jefrem dając upust swej złości, pozostawał przez całą drogę ze saniami nieco w tyle i okładał Janka silnymi razami knuta.

Wieczór zapadał, kiedy oddział bolszewicki stanął u promu nad Usem.

Słońce kryło już ogromną czerwoną tarczę za szczyty gór, rzucając purpurowe blaski na bory, które w tej łunie zdawały się płonąć. Bolszewicy, chcąc jeszcze przy dziennem świetle przeprowić się na drugą stronę rzeki, poczęli niecierpliwie wołać przewoźnika, którego chatkę widać było na drugiej stronie Usa. Z chaty jednak nikt nie wychodził na ich wołania, nikt nie dawał znaku życia.

Zniecierpliwieni żołnierze jęli palić ze strzelb, i wtedy dopiero gdzieś z dalszych zabudowań gospodarczych przewoźnika wybiegł jakiś człowiek i stanąwszy na brzegu, zawołał:

— Towarzysze! Lina na promie zerwana! Tylko łodzią pojedynczo mogę was przewieźć!

— A cóż zrobimy z końmi i saniami? — zapytał komisarz, który już z Jefremem i więźniami nadciągnął do promu.

— Sanie zostawcie towarzysze do jutra, tam ich nikt nie ruszy, a konie przeprowadzimy później brodem — ozwał się znów młodzieńczy głos przewoźnika, na którego dźwięk Janek ze zdziwieniem spojrzął w stronę wołającego.

Widocznie rada przewoźnika wydała się bolszewikom dobra, bo po krótkiej naradzie komisarz wraz z Jefremem i więźniami stanął nad brzegiem, jeźdźcy zaś poczęli znosić ze sani juki i układać je w miejscu, gdzie czółno miało lądować.

— Dawaj łódź! — wrzasnął Jefrem. Ale przewoźnik manipulował coś długo koło łańcucha, na którym łódź była przypięta, i już zupełnie pociemku przepłynął rzekę. Czółno było niezbyt wielkie, mogło jednak pomieścić trzech ludzi i część juków, pierwszy przeto siadł do niego komisarz, trzymając w rękę łańcuch, wiążący Biczika. Skoro złożono za nimi część tobołów, przewoźnik odepchnął łódź długą żerdzią od brzegu, i wkrótce porwani wartkim prądem burzliwej rzeki, pomknęli ku przeciwnemu brzegowi.

W niespełna pół godziny przewoźnik znów przypłynął i zabrał na łódź Jefrema z Jankiem oraz resztę juków i kilka strzelb. Zaledwo jednak wypłynęli na środek rzeki, od strony domku gruchnęło kilka szybko po sobie następujących strzałów, a potem przeraźliwy głos komisarza zawołał:

— Towarzysze do broni! Zdrada...

Dalszych słów nie było już słyhać, bo głos jego przeszedł w jakieś stłumione rżenie, ale między pozostałymi na brzegu bolszewikami zapanowało ogromne zamieszanie. Jęli strzelać naoslep w stronę domku przewoźnika i kilka kul świsnęło nad głowami podróżnych w łodzi.

Jefrem, słysząc krzyk komisarza, w jednej chwili zorjentował się w

sytuacji i, wyciągnawszy potężne łapy, chciał chwycić wpół przewoźnika, aby mu odebrać żerdź, ale gwałtowny ruch jego ciała tak silnie przechylił czołno, że omal wszyscy nie wpadli w pieniaące się nurty. Zaledwo łódź odzyskała równowagę, już przewoźnik kocim rzutem ciała skoczył na pierś bolszewika. Wywiązała się straszliwa, cicha, zacięta walka, walka na śmierć i życie. Łódź, pozostawiona na łasce gwałtownego prądu, płynęła jak strzała ku huczącemu zdała na kamieniach wodospadowi, skazana na zagładę.

A zapaśnicy, splótszy się ramionami, zmagali się w milczeniu, dobywając już ostatków sił. Z piersi przewoźnika, ściśniętych mocarnym uściskiem niedźwiedziej łap Jefrema, począł wydzierać się świszczący oddechy potem słaby jęk, aż wreszcie z jękiem tym wypłynęły oderwane słowa: — Janku... pomóż...

Więzień, zaskoczony tem wszystkim, co tak nagle się stało, siedział bezradnie skulony na dnie łodzi, nie wiedząc co robić. Teraz usłyszawszy swe imię, ocknął się i obrońcy swemu poszedł z pomocą. Mając jednak ręce związane łańcuchem, chwycił Jefrema zębami za rękę i ścisnął tak mocno, że bolszewik wrzasnąwszy przeraźliwie, puścił z objęć przeciwnika. Ta chwila zaważyła na losach walki, przewoźnik bowiem nie tracąc czasu, zdzielił Jefrema pięścią w ucho tak silnie, że chłop, rozkrzyżowawszy ręce, runął z głośnym pluskiem do wody. Zwycięzca w okamgnieniu chwycił wiosło przyczepione do brzegu łodzi, wparł je w dno rzeki, wstrzymując czołno na miejscu. Był to czas najwyższy; jeszcze bowiem chwila, — a łódź rzucona falami na ostre kamienie, byłaby rozbiła się w trzaski, siedzący zaś w niej ludzie znaleźliby niechybną śmierć w wodospadzie.

Przewoźnik, kierując się tylko instynktem, mimo ciemności, zdołał

po wielu wysiłkach zepchnąć łódź z silnego prądu na spokojne tonie, a potem doprowadzić ją pod wysoką skałę, wrzynającą się w rzekę. Tutaj zaczepił łańcuch łódki o wystający kamień, a rozwiązawszy ręce Jankowi, szepnął:

— Janku, to ja Stach! Chwała Bogu, żeś pomógł mi pokonać tego wielkoluda, jeszcze chwila, a byłby mi połamał żebra...

Janek, mając już wolne ręce, zarzucił je bratu na szyję.

— Skądże się tu wzięłeś, Stachu? Czy tam w chacie jest Andrzej? Czemu udawałeś przewoźnika?

— Andrzej zginął porwany wraz z szatunem lawiną śnieżną; mnie wyratowali Sojoci i z nimi pospieszyłem na twój i Biczika ratunek. Coś tam musiało się Sojotom nie udać i ten alarm wielce mi nie na rękę... Musimy co prędzej lądować i zmykać w lasy, bo nas tu bolszewicy wnet wytropią!

Janek nie pytał już o nic brata, tylko pomagał mu prowadzić łódź przeciw prądowi, ku miejscu gdzie brzeg był o tyle płaski, że można było doń przybić. Miejsce to było niezbyt oddalone od chatki przewoźnika, ale Stach miał nadzieję, że w ciemnościach zdoła się przekraść między bolszewikami.

Zaledwo jednak przepłynęli kilkadziesiąt metrów, łódź zadygotała, skręciła gwałtownie w bok i nim chłopcy zdołali zrozumieć, co się stało, porwana silnym wirem okręciła się prawie w miejscu, a potem wpadłszy w wartki prąd, poczęła z szybkością strzały płynąć wdół.

Huk przewalających się wód wodospadu zbliżał się coraz bardziej, już nawet rozbite na mgłę krople wody rosily twarze chłopców, jeszcze kilka sekund, a wpadną w odmęty i zginą rzućeni na ostre progi. Ale nagle łódka otała się o coś, aż zatrzeszczały wiązania desek, a potem



przechyliwszy się w bok, palnęła całą siłą w ogromny, płaski kamień. Trzask łamanych desek zmieszał się z głuchym łoskotem ciał, padających na opokę, i już po chwili szczątki zmiażdżonej łodzi, porwane kotłującymi się nurtami, spłynęły z wodospadem wdół, niknąc w zapienionej otchłani.

## ROZDZIAŁ X.

### W URJANCHAJU.

Fale zimnej wody, wdzierające się z szumem na skałę, wnet otrzeźwiły chłopców ogłuszonych nagłym upadkiem. Przemoczeni od stóp do głów, poczęli omackiem szukać jakiegoś wyjścia z niegościnniej wysepki. Macając rękoma po brzegach skały, natrafili na kilka tobołków i strzelbę wyrzucone widocznie gwałtownem przechyleniem się łodzi, a dalej nieco odkryli szereg wystających z wody kamieni, między którymi przepływały strugi małych siklaw. Kamienie te tworzyły rodzaj kładki, łączącej skałę z brzegiem, trzeba było jednak wiele odwagi i zręczności, by przebyć je w nocy, kiedy każdy fałszywy krok groził upadkiem w rwące nurty i porwaniem w przepaść wodospadu.

Wyczekiwać na skale aż do dnia było wprost niepodobieństwem, bo na prawym brzegu rzeki rozlegały się wciąż krzyki bolszewików, słyhać było tętent przebiegających w galopie koni, a czasem suchy trzask wystrzału. Widocznie dotychczas jeszcze panowało w oddziale zamieszanie, którego powodu nie zdołano wyjaśnić.

Chłopcy przeszukali raz jeszcze dokładnie skałę, znalezione rzeczy i strzelbę przymocowali sobie na plecach i ostrożnie, krok za krokiem ruszyli ku kładce kamiennej. Przejście nie było łatwe. Mimo największych ostrożności nogi zesuwały się co chwila po wyszlifowanych wodą progach, wpadali po pasy w zimną jak lód wodę, a

ręce raniły się do krwi na ostrych kamiennych szczybinach. Zmagając się z prądem, czepiając się rozpaczliwie skał, nie czuli przejmującego chłodu, ale posuwali się wytrwale naprzód, dobywając wszystkich sił, by tylko znaleźć się wreszcie na brzegu.

I silna wola zwyciężyła wszelkie trudności! Pokaleczeni, obdarci, dopięli celu, — byli uratowani!

Brzeg w miejscu ich wylądowania był także skalisty i tworzył olbrzymią prostopadłą prawie ścianę, ale po długich poszukiwaniach znaleźli w niej głęboką szczelinę, tak szeroką i wygodną, że zdawałoby się mogło, iż została umyślnie przez kogoś wykuta, by służyć za ścieżkę. Nie namyślając się ani minuty, chłopcy ruszyli tą ścieżką przed siebie, pogrążając się w ciemnościach nocy.

Po wyjściu z wąwozu dostali się na przestrzeń porośniętą rzadkim lasem i, kierując się gwiazdą polarną, poszli na południo-wschód, przecinając ukosem dosyć wysoki *uwał* (wzgórze), za którym rozciągała się dolina, zarośnięta gęstymi krzakami. Tutaj zmuszeni byli zatrzymać się nie tylko dlatego, że splątany gąszcz tamował każdy krok, ale ponieważ siły wyczerpane przeżyciami na rzece odmawiały posłuszeństwa. Mimo przejmującego zimna bali się początkowo rozpalać ognisko, nie wiedząc, jak daleko znajdują się od rzeki, ale wkrótce liczne porykiwania łosi i jeleni przekonały ich, że okolica tak obfita w zwierzynę, musi być zupełnie bezludna, a tem samem bezpieczna. Po wielu daremnych usiłowaniach zdołali zatlić krzesiwem zamkniętą hubkę i rozniecić maleńki ogieniek, przy którym możnaby ogrzać kostniejące członki i wysuszyć mokre zupełnie ubrania.

Opowiadając sobie o przeżyciach ostatnich dni, które pozbawiły ich światłej i troskliwej opieki Andrzeja, a zarazem wykazały, jak

niebezpieczną jest tajga, siedzieli długi czas przygnębieni. Myśleli teraz nad tem, jak poradzą sobie tutaj sami w tej dzicy bez znajomości dróg. Drugą rzeczą, która poważnie zafrasowała Stacha, to była kwestja wyżywienia. Mieli broń znalezioną na skale koło wodospadu, ale to był krótki kawaleryjski karabinek, mający w magazynku zaledwo trzy naboje, a z tak nikłą ilością ładunków trudno było nawet marzyć o dłuższem wyżyciu w tajdze, I teraz dopiero przypomniał sobie o tobołkach zabranych ze skały; gorączkowo też począł je rozwiązywać i przeglądać ich zawartość. Pierwszy z nich odrzucił z rozczarowaniem, był to bowiem błam skórek zabranych Biczikowi, drugi jednak zawierał rzeczy tak cenne, że twarze chłopców rozjaśniły się radośnie.

— Patrz, Janku — wołał Stach, wyciągając z wnętrza worka długą taśmę od karabinu maszynowego, najeżoną rzędem błyszczących naboii — teraz nam bieda nic nie robi! Przy oszczędnem używaniu ta amunicja może nam aż do Chin wystarczy!

Nie mniejszą radość wzbudziło w chłopcach znalezienie doskonałej busoli, mapy Urjanchaju, kociołka, paczki herbaty i cukru. Widocznie Jefrem w worku tym gromadził nietylko zapasy żołnierskie, bo było tam również kilka zegarków i mnóstwo kosztownych drobiazgów, które jak wskazywały wyryte na nich monogramy, pochodziły od wielu osób. Przetraszając worek, znalazł w nim Stach także skórzaną teczkę zapełnioną papierami. Zaciekawiony rozwinął je, ale rzuciwszy tylko okiem na drobny druk, krzyknął zdziwiony:

— Janku! Toż bolszewicy prowadzą wojnę z Polską! Posłuchaj, co tu piszą!

Janek przysunął się szybko do brata, a ten czytał:

„Do towarzysza komisarza Puzikowa, komendanta partyzanckiego

*oddziała w Abakańsku! Poleca się towarzyszowi wyruszyć natychmiast do Usińska z kilku jezdnyimi i tam objąć czynność p o l i t r u k a <sup>1)</sup>) w stacjonowanym tam pułku piechoty. Poleca się towarzyszowi wejść w kontakt z nojonami sojockimi, szczególnie z kemczickim Chun-nojonem i z ich pomocą wylapywać wszystkich kontrrewolucjonistów. Główną uwagę należy zwrócić na szamanów, bo oni jako osoby duchowne mają wielki wpływ tak na dygnitarzy sojockich jak i na naród. Szamanów należy jednać sobie podarunkami dla nich najmiłszymi t. z. cennymi futerkami i srebrem. W tym celu należy futra konfiskować myśliwym, srebra zaś dostarczać będzie „Związek sowieckich kooperatyw”, który ma filję w Usińsku. O toczącej się wojnie z Polską należy informować żołnierzy co kilka dni, ogłaszając komunikaty, wysławiające waleczność wojsk sowieckich, należy też ciągle głosić o zwycięskim końcu wojny i wzięciu Warszawy. Każdego Polaka, schwytanego w Urjanchaju z bronią w rękę, należy po śledztwie wysłać niby to do Minusińska, w rzeczywistości rozstrzelać w tajdze\*).*

— To teraz już wiem, czemu Biczikowi zabrano skórki — zawołał Janek — dziwi mię tylko, dlaczego ze mną nie postąpiono wedle tego rozkazu?

— Widzisz przecież, że rozkaz ten jest „tajny” i pewno żołnierze Puzikowa o nim nic nie wiedzieli, a uważając cię za dziecko, nie daliby cię zgładzić, boć wiesz, jacy ci tajożnicy są przesądni.

Prócz tego rozkazu było jeszcze w teczce wiele gazet i mnóstwo gotowych już komunikatów o wojnie z Polską, przygotowanych na tydzień naprzód. Chłopcy czytali je z wielkiem zajęciem, żałując w duszy, że nie mogą wstąpić

do wojska polskiego, by walczyć z bolszewikami.

— Wiesz, Stachu, że warto iść tajgami na zachód, możebyśmy dotarli do Polski!

— Niema o czym marzyć, kochany Janku. Do Polski mamy stąd prawie siedm tysięcy kilometrów, więc nim zajdziemy, wojna dawno się skończy. Lepiej wstąpić do jakiegoś przeciw-bolszewickiego oddziału partyzanckiego, których jak widać z tych rozkazów, musi być kilka w Urjanchaju. To nawet lepiej szkodzić wrogowi na tyłach, niszczyć mu zapasy gromadzone dla wojska, wnosić zamieszanie, bo wtedy musi on wiele wojska wysłać na punkty zagrożone, a tem samem zmniejszyć transporty na front polski.

— Ale w jaki sposób znajdziemy taki oddział?

— Głównem zadaniem naszym jest dotrzeć do Urjanchaju, tam już zobaczymy, co nam dalej czynić wypadnie. Jesteśmy teraz zdani tylko na własne siły, więc musimy postępować tak, aby czyny nasze godne były Polaków!

Gdy tylko świt ozłocił szczyty lasów, chłopcy zebrali swoje tobołki i ruszyli w dalszą drogę. Tajga zmieniła się tu do niepoznania, Zniknęły cieniste bory sosnowe i cedrowe, a miejsce ich zajęły modrzewie, złote w szacie pożółkłych szpilek. Wysokie szczyty górskie ustąpiły miejsca uwałom i *sopkom* (szczytom), pokrytym bujną trawą, zwarzoną przymrozkami na kolor łąnu owsa gotowego do żniw.

Na północnej stronie lśniły w śnieżnej aureoli zaróżowione od słońca szczyty Tagyłu, ale tu w dolinach cudna jesień radowała oczy nieprzebranem bogactwem barw, wśród których złoto i czerwień szły z sobą w zawody.

Moc ptactwa kryła się w gęstych zaroślach czarnej bruśniki lub wiodło dźwięczne rozhowory na kiściach koralowych jarzębin. Z pod i

nóg młodych wędrowców z miękkiej pościółki zrywały się ogromne łosie i oddalały wolno, bynajmniej nie przestraszone, ścieżkami wybitymi w gęstych splotach krzewów, niosąc nad 1 niemi duże nieforemne łby, opatrzone olbrzymimi łopatami rogów. Jak elfy szmyrały tu i tam zgrabne sarny, lub w ogromnych susach § przeskakując gąszcz, wybiegały śliczne jelenie, a znalazłszy się na łąkach, stawały w bezruchu jak bronzowe posągi, zdziwione zapewne, że ktoś przerywa im słodką drzemkę.

Mimo tak wielkiej ilości grubej zwierzyny Stach polował bardzo mało, strzelając przeważnie drobne koziołki. Wrodzona żyłka myśliwska ciągnęła go wprawdzie na widok łosi i jeleni, ale chłopiec zdawał sobie sprawę, że tak wielkiej ilości mięsiwa nie będą mogli zabrać ze sobą, dla kilku zaś funtów mięsa potrzebnego na posiłek szkoda było pozbawiać życia tych pięknych zwierząt.

Przechodząc przez obszary bezludne zupełnie, na których nie trzeba było się skrywać, szli wolno, tak iż dopiero po ośmiu dniach po wypadkach nad Usem dotarli do dość wysokiego łańcucha górskiego, przecinającego im drogę ze wschodu na zachód. Idąc stokiem góry, natrafili na szeroką ścieżkę, na której widać było dokładnie liczne ślady niekutych kopyt końskich. Doszedłszy ścieżką tą na szczyt góry, zobaczyli na przełęczy wysoki kopiec z kamieni, między którymi tkwiły gałęzie obwieszane strzępami szmat i kosmykami włosia końskiego. U podnóża tego kopca leżało kilkadziesiąt par rogów łosich i jelenich ozdobionych także różnokolorowymi szmatkami, z których jedne jaśniały zupełnie świeżymi barwami, inne były już spłowiałe od deszczów i poszarpane wiatrami.

Na widok tego kamiennego kopca Stach porwał brata w ramiona i,

zakręciwszy nim kilka razy, krzyknął wesoło:

— Janku! Toż myśmy już w Urjanchaju! Ten kopiec — to sojockie, obo ułożone dla dobrych duchów gór, lasów i wiatrów, a te szmatki, sierść i rogi — to dary, któremi przejeżdżający tędy Sojoci dziękują opiekuńczemu duchowi tej przełęczy za szczęśliwe przebycie góry! Podziękujmyż i my Bogu za szczęśliwe wyrwanie się z tajgi i poprośmy o dalszą opiekę.

I obaj chłopcy, klękawszy koło obo, w żarliwej modlitwie zanosili dziękczynienia Stwórcy za opiekę w tych ciężkich tarapatach, pokornie prosząc o pomoc w dalszej drodze.

Zeszedłszy z przełęczy w dolinę, zauważyli na niej liczne ślady dawnych ognisk, szerokie drogi wybite w trawach przez konie, bydło rogate i stada baranów, nigdzie jednak nie było znaku osiedla ludzkiego. Dopiero po dwóch dniach drogi znaleźli opuszczony szałas, sporządzony z ogromnych kawałów kory sosnowej, a w dzień potem natknęli się na wysoki płot maralnika. Kilkadziesiąt tęgich marałów biegło swobodnie poza ogrodzeniem, skubiąc bujną trawę, porastającą brzegi maleńkiego strumyczka, który przepływał środkiem maralnika. Idąc wzdłuż ogrodzenia, spotkali wyrostka sojockiego, który jadąc oklep na koniu, pędził przed sobą niewielkie stadko krótkorogich wołów. Chłopak, ujrawszy obcych, szarpnął konia uzdą, zawrócił go na' miejscu i już chciał pognać nazad, ale wstrzymało go głośnie przywitanie Stacha.

— Mende! — odparł wesoło, bystreimi oczkami lustrując wędrowców — wy pewno do mojego gospodarza? Ot, tam za tym gajem jest *zaimka* (folwark).

Sojot mówił poprawnie po rosyjsku. Stach wnosząc z tego, że służy u kolonisty rosyjskiego, zapytał w tymże języku:



— A czyja to zaimka?

— Bogatow zwie się mój gospodarz — od.-parł malec zdziwiony, że ktoś dążąc na zaimkę, nie zna jej właściciela.

Chłopcy, podziękowawszy za objaśnienie, ruszyli szybko we wskazanym kierunku, a Sojot pokrzykując wesoło, popędził dalej woły. Tuż za brzozowym gajem zobaczyli wędrowcy duże zabudowania folwarczne i ogromne zagony na bydło otoczone płotami z żerdzi, Śmiało weszli na dziedziniec, witani przeraźliwym jazgotem ogromnych kundysów, które rwały się na łańcuchach przytwierdzonych do długich, grubych drutów, rozciągniętych koło spichlerzy. Zbliżywszy się do domu, bez wahania weszli do wnętrza.

W obszernej, czystej kuchni krzątało się kilka kobiet, a przy stole siedział wysoki, barczysty człowiek o dobrodusznej twarzy, rozmawiając z jakimś starym Sojotem, który pykając długą fajeczkę, rzucał podejrzliwie chytremi oczkami we wszystkie kąty izby. Wejście chłopców, a może widok broni, którą Stach trzymał w ręce, sprawiło tak wielkie wrażenie, że kobiety z krzykiem rozbiegły się po dalszych izbach, gospodarz domu cofnął się ku ścianie, na której wisiała strzelba, tylko Sojot spokojnie ćmił dalej fajkę, patrząc badawczo z pod przymrużonych powiek na przybyłych.

Stach, widząc panikę, zorientował się w jednej chwili i, przywitawszy gospodarza, począł go uspokajać mówiąc, że nie ma zamiaru prosić o gościnę, chciałby tylko dowiedzieć się, gdzie koczuje otok Bołdyr-Erdeni, gdyż ma do niego ważny interes.

— A jakież to interes masz, młodzieńcze, do mego starego przyjaciela?  
— zapytał Bogatow.

— Chcemy zostawić mu skórki, które są jego własnością — odparł

chłopiec i w krótkich słowach opowiedział o uwięzieniu Biczika, nie wspominając jednak o losach swych i brata.

Gdy jednak Bogatow, zręcznie wypytując chłopców, dowiedział się, że są oni siostrzeńcami inżyniera Raczyńskiego, wnet porwał obu braci w ramiona i, zwoławszy rozbiegłe kobiety, począł wołać:

— Patrzcie! To są krewni tego inżyniera, który dwa lata temu wyratował mię od pewnej śmierci na stepie tasztypskim, kiedy to napadły mię wilki! Dawajcie prędzej jeść, bo chłopaki j zdrożone i pewno głodne, a ty, Soniu — zawołał na młodą dziewczynę, ubraną w piękny jedwabny kubraczek. — poszukaj w skrzyniach jakiej bielizny, boć widzisz, że w strzępach tych wyglądają jak brodiagi!

Kilka dni spędzili chłopcy w gościnnym domu kolonisty, odpoczywając po trudach ciężkiej podróży, i byłiby pewno zostali tam dłużej, bo Bogatow nie mając synów, ani myślał o wypuszczeniu młodych wędrowców ze swojej zagrody, zaszły jednak takie wypadki, które trwożą napełniły spokojny dotychczas dom. Oto przyjeżdżający tu często Sojoci donieśli, że liczne oddziały bolszewickie rozsypały się po całym Urjanchaju i zabierają u kolonistów bydło, konie i wszelkie zapasy zboża, a domy opornych rabują i palą, gospodarzy zaś wywożą w tajgi. Bogatow, chcąc zabezpieczyć swe stada od rekwizycji, wysłał je pod opieką zaufanych pastuchów na dalekie pastwiska w góry Tannu-Oła. Sam zaś, zebrawszy wszystkie pieniądze i kosztowności, postanowił z rodziną i chłopcami wyjechać do Mongolji, gdzie w Ułasutaju brat jego był dyrektorem wielkiej firmy handlowej.

Ale przygotowania do tak dalekiej podróży nie szły zbyt szybko, tem bardziej, że i tu już jesień kończyła się szybko i pierwsze śniegi poczęły zakrywać stepy.

Jednego wieczora, gdy siedzieli w świetlicy, zajęci pakowaniem licznych tobołków, wpadł nagle ów wyrostek sojocki, który chłopcom wskazał drogę do zaimki i, dysząc ciężko ze zmęczenia, krzyknął przestraszonym głosem:

— Bolszewicy jadą tutaj w sto koni, goniąc przed sobą to stado baranów, które wczoraj poszło na Ułukem (czyli Jenisej).

Na tę wiadomość struchleli wszyscy, nie wiedząc co robić, jeden tylko Bogatow nie stracił głowy, ale chwyciwszy chłopców za ręce, wyprowadził ich do stajni, tu osiodłał dwa najlepsze konie, przytroczył do siodła pakunki chłopców i worki z żywnością, potem gdzieś ze siana wygrzebał dwa myśliwskie karabinki i worek z amunicją i wręczył to gościom. Następnie wyprowadziwszy konie tylnymi wrotami, pokazał chłopcom widniejący w dali spory las, mówiąc:

— Wam tu grozi największe niebezpieczeństwo, bo służba może zdradzić, kto jesteście... Uciekajcie co tchu do tego lasu i tam czekajcie na mnie. Gdyby bolszewicy rozlokowali się na dłużej, albo gdyby wiedzieli coś o was, zapalę stos słomy na dziedzińcu, to będzie znak, byście bezzwłocznie uciekali w stronę Jeniseja. Jutro wyślę waszym śladem starego szamana, to człowiek wierny i pewny... on wam wskaże dobrą kryjówkę i tam na nas zaczekacie!

Chłopcy wskoczyli na siodła, a dzielne sojockie mierzyny pomknęły z miejsca galopem. Przebiegli jak wichry rozległe łąki i wkrótce wpadli w zarośla młodego lasu, rozciągającego się na południowych granicach zaimki, skąd doskonale widać było małe światełko, migocące z okien dalekiego domostwa. Przywiązawszy konie do drzew, siedzieli długi czas, wypatrując sygnału. Gdy wreszcie znudzeni zbyt długim oczekiwaniem chcieli skorzystać z ciemności i podkraść się pod zaimkę,

by zobaczyć, co się tam dzieje, od strony domostwa buchnął w górę ogromny język ognia, znikł na chwilę w dymie, a potem rozlał się szeroką krwawą łuną na ciemnym tle nieba.

Nie namyślając się ani chwili, dopadli koni i pomknęli naprzód, mijając łąki, lasy i gaje, A gdy już, dzień nastał i zmęczonym koniom trzeba było dać trochę odpoczynku, zatrzymali się w małym gaiku brzozowym, otaczającym polankę, na której rósł stary modrzew z wykrzywionymi dziwnie konarami. Do drzewa tego przywiązali konie na długich arkanach, a sami zmęczeni całonocną jazdą ułożyli się do snu, nie zauważywszy nawet, że jakiś cień mignął między krzakami, a po chwili gdzieś zdali rozległ się głuchy odgłos, coś jakby tętent galopującego konia.

## ROZDZIAŁ XI.

### ZŁOŚĆ SZAMANA.

Było już dobrze koło południa, gdy ze snu twardego zbudziły chłopców gwałtowne szarpania, krzyki i szczęk broni. Zerwali się jak oparzeni. Widząc, że ich otacza kilkunastu uzbrojonych ludzi, chcieli chwycić za strzelby, ale w tejże chwili skrępowano im ręce silnymi włosiennymi arkanami, których końce ujęli dwaj rośli Sojoci. Stach, sądząc początkowo, że dostali się w ręce bolszewików, odetchnął z ulgą, gdy ujrzał wkoło siebie tylko szerokie twarze sojockie. Począł więc przemawiać ich językiem i pytać o przyczynę tak nagłego uwięzienia. Ale zamiast odpowiedzi Sojoci pociągnęli go arkanem poza obręb gaju, wsadzili wraz z Jankiem na konie i pognali w step.

Chwytnąjąc urywki zdań, wymienianych przez otoczenie, usłyszał kilkanaście razy słowo: *turge* i *szaman*. I teraz dopiero pojął, jak wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad nimi! Turge oznacza święte drzewa, otaczane w Urjanchaju ogromną czcią i opieką. Zwykle drzewa te, o ile nie rosną samotnie w stepie, znajdują się w świętych gajach, w których nie wolno nikomu paść koni, ścinać drzew, ani układać się do spoczynku. Wedle bowiem wierzeń Sojotów świętokradztwo takie sprowadza gniew duchów, a skutkami tego gniewu są: choroby, pomór bydła i wszelakie nieszczęścia.

Nie zdążył jednak podzielić się z bratem spostrzeżeniami, bo konie w

szalonym pędzie wbiegły w szeroki i dosyć płytki wąwóz, w którym bielila się grupka obszernych wojłokowych jurt. Mnóstwo Sojotów kręciło się tutaj, zbierając się w gromadki, szepcząc między sobą tajemniczo i w zabobonnym strachu patrząc na stojącą na uboczu ogromną jurtę, z której od czasu do czasu wydobywały się głuche odgłosy bębna, przeraźliwe wrzaski i wycia.

Na widok przybyłych grupki Sojotów zakołysały się, cofnęły, ale już w następnej chwili wybuchnęły groźnymi krzykami, I wnet rozgorączkowany tłum otoczył ich ze wszystkich stron. Chłopcy zobaczyli przed sobą szerokie twarze, wykrzywione grymasem gniewu, ponuro patrzące oczy, a nawet tu i owdzie błyski noży kurczowo ściskanych w muskularnych dłoniach. Kto wie, czy więźniowie nie zginęliby pod nożami rozwścieczonego tłumu, ale właśnie w najkrytyczniejszej chwili wybawiło ich ukazanie się starego Sojota, który miał na czapce mongolskiej pęk piór pawich, znak wysokiego stopnia urzędu, Sojot ten przemówił coś do ziomków.

I natychmiast noże zniknęły w pochwach, a kilku ludzi, wzięwszy chłopców pod rękę, zaprowadziło ich do jurty ozdobionej buńczukiem z końskiego włosia, osadzonym na wysokiej żerdzi, oraz niebieską płachtą przykrywającą dach. Znaki te dowodziły niezbicie, że jurta jest mieszkaniem księcia.

Stach, wchodząc z Jankiem do jurty, był pewny, że zostanie w niej księcia i potrafi przed nim uniewinnić się z nieświadomego przekroczenia świętego gaju, ale zaledwie znalazł się za progiem mieszkania, stanął jak wryty uderzony dziwnym widowiskiem.

Na środku okrągłej jurty tuż przy ognisku siedział jakiś człowiek ubrany w odzież, zdobną w różnokolorowe szmatki, skórki i pióra

ptaków. Trzymając w ręku duży do sita podobny bęben, bił weń zakrzywioną pałeczką i wydawał z gardła jęklive skomlenia. Po chwili zerwał się z miejsca i począł tańczyć wokoło ogniska, skakać przez nie, wywijać bębniem, wyć i przekrzywiać twarz wymalowaną czerwoną farbą.

Coraz donośniejsze wycia wychodziły z gardła tanecznika, coraz szybsze były jego uderzenia w bęben; potem tańcząca postać zawirowała w miejscu, jak bąk drewniany puszczoney na sznurku, wreszcie prawie bez życia zwała się ciężko na grube wołoki, wyścielające ziemię, Obecni z przerażeniem spostrzegli, że na wargi jego wystąpiła biała piana, a Janek, przycisnąwszy się do brata, pełnym trwogi głosem wyszeptał:

— Stasiu, ten człowiek jest chory, trzeba mu pomóc.

— Nie, Janku, nic mu się złego nie stało,, to jest szaman, czyniący zaklęcia, widocznie stało się tu coś złego. Może kto z rodziny księcia zachorował.

W tej chwili szaman zerwał się z ziemi i z głośnym krzykiem począł biegać po jurcie, zaglądać do naczyń i odchyłać skrzynie, stojące przy ścianie, wreszcie dopadł do niziutkiego łoża, na którym leżała młoda sojocka dziewczyna, i pochyliwszy się nad nią, począł rękoma robić ruchy, jakby coś zgarniał do bębna, następnie gwałtownym, susem przesadził ognisko i z całym impetem wpadł na stojących przy progu więźniów. Chłopcy chcieli usunąć mu się z drogi, ale szaman już chwycił ich za ręce, pociągnął na środek jurty i zawołał ochrypłym głosem:

— To oni! To oni! Oni sprowadzili gniew duchów na twoją córkę, nojonie, oni są winni jej chorobie! Dobre duchy, zaklęte w tym bębnie, mówią, że tylko ofiara tych świętokradców ocali życie młodej

księżniczce!

Stach, rozumiejący dobrze język sojocki, spojrział z przerażeniem na szamana, a potem na kilku Sojotów, stojących pod ścianą. Spozrzegłszy między nimi księcia, który miał na czapce duży rubin, znak książęcej godności, chciał się usprawiedliwić przed nim, ale szaman znów począł wołać:

— Dobre duchy mówią, byś ich, nojonie, kazał przywiązać razem z ich rzeczami i końmi do świętego turge, który zbezczęścili! Tam duchy wykonają zemstę, a córka twoja jutro wróci do zdrowia. Ale nim trzy razy zajdzie słońce, nikt nie ośmieli się przeszkadzać zemście duchów, a ty, nojonie, musisz jak najspieszniej zwinąć jurty i przenieść się z tego miejsca!

Teraz zobaczył Stach, że nojon dał jakiś znak urzędnikowi, który ich przyprowadził do jurty, ale równocześnie spozrzegł w oczach szamana błysk radości i złośliwy uśmiech na jego ustach. Chciał przemówić do księcia, lecz ktoś go chwycił brutalnie z tyłu za ręce i wraz z Jankiem wyciągnął na pole.

Konie więźniów stały już przed jurtą, a przy siodłach wisały przytroczone sakwy ze skórkami Bołdyra, rzeczami Jefrema, żywnością i amunicją. Strzelby trzymali w ręku dwaj jeźdźcy, którzy prawdopodobnie mieli skazanych odprowadzić do gaju. Kilku innych Sojotów przygotowywało długie rzemienne arkany, kobiety zaś wnosiły z jurt naczynia kuchenne i troczyły je na juczne zwierzęta. Wszędzie widać było ruch gorączkowy, Z przeganiań tabunów koni i bydła widać było, iż chciano odkoczować z wąwozu przed zachodem słońca.

Jeszcze nie skończono przygotowań, aby odwieźć chłopców do gaju,



gdy od strony stepu ukazała się gromadka jeźdźców, pędzących co koń wyskoczy. Jeźdźcy zatrzymali wierzchowce tuż przed jurtą księżęcą, zeskoczyli z siodła i wtedy z piersi chłopców wyrwały się radosne okrzyki:

— Bołdyr-Erdeni! Biczik! Biczik!

— A cóż wy tu robicie? — zapytał przyjemnie zdziwiony Bołdyr, zbliżając się ze swymi ludźmi do młodych wędrowców.

— Chcą nas skazać za chorobę córki nojona.

— Kto?

— Szaman twierdzi, że myśmy temu winni! Bołdyr gwałtownym ruchem wyrwał z za pasa nóż, rozciął więzy, krępujące ręce chłopców, silnym uderzeniem pięści zwałił jakiegoś Sojota, który chciał mu w tej czynności przeszkodzić, potem jął nahajem okładać tych którzy zbyt blisko podsuwali się do ocalonych, w czem dzielnie sekundowali mu jego ludzie, Sojoci poczęli z wrzaskiem umykać przed gniewem starca, wiedząc, że był on serdecznym przyjacielem nojona, który nawet córkę miał wydać za Biczika. Ale na krzyki i zamieszanie wypadł z jurty księżę ze świtą, a z tyłu za nimi ukazała się czerwona twarz szamana, który na widok Bołdyra chyłkiem przemknął między jurtami, dopadł konia i umknął, zanim zdołano się opamiętać.

— Co to wszystko ma znaczyć? Kto śmie urządzać bitki w mojej obecności? — zapytał księżę drżącym od gniewu głosem.

— Ja! Bołdyr-Erdeni! — zawołał starzec. — Ciebie, nojonie, pytam, dlaczego uwięziłeś tych dobrych chłopców, którzy ocalili życie Biczikowi?

— Ależ oni ściągnęli zemstę duchów na głowę mojej córki, która tam w jurcie leży prawie bez życia!

— To nieprawda! — krzyknął Bołdyr i, podbiegłszy do swego konia, szybko zdjął sakwę z siodła, wydobył z niej ową skórę czarnego sobola zdobytego przez Stacha. Poczem podawszy ją zdumionemu nojonowi, tak ciągnął dalej.

— Patrz nojonie! Ów młodzieniec zdobył tę skórka a wiesz przecie, że człowiek taki jest wybrańcem losu i tylko szczęście ze sobą przynosi. Brat zaś jego stanął w obronie Biczika, kiedy go napadli ułan cerigi. Mój cały otok winien mu wdzięczność, bo takie są prawa Sojotów. A teraz pozwól popatrzeć na chorą córkę, boć wiesz, że mieszkał u mnie *meczi-lama* (lekarz-duchowny), od którego nauczyłem się leczyć.

I nie czekając na odpowiedź nojona, wszedł do jurty z chłopcami. Już na pierwszy rzut oka poznał Stach u dziewczyny oznaki lekkiego zatrucia: wilczemi jagodami. Kazał przeto szybko przynieść koziego mleka, wlał je w usta chorej i już po godzinie dziewczyna czuła się tak dobrze, że mogła wyjść przed jurtę.

Teraz dopiero wyszło najaw, że córka nojona zachorowała od jagód, którymi poczęstował ją rano szaman. A gdy zaczęto się zastanawiać, dlaczego to zrobił, Stach odczytał księciu rozkaz znaleziony z rzeczami Jefrema, dodając również, że szaman wiedział dobrze, jakie rzeczy znajdują się w sakwach, bo je dostrzegł był w domu Bogatowa.

— Ale skąd szaman wiedział, że znajdujecie się w świętym gaju? — zapytał nojon zdumiony.

— Och! ten stary lis dobrze ich śledził — zaśmiał się Bołdyr. — Mówił mi o tem Miczik, sługa Bogatowa. To ten niegodziwy szaman zwąchał się z bolszewikami i sprowadził ich do kolonisty; ułan cerigi cały dom zrabowali, a Bogatowa z rodziną wywieźli do Usińska.

— Dlaczegoż jednak szaman nie wydał tych młodych w ręce

bolszewików tam w świętym gaju, albo lepiej u Bogatowa?

— To przecie jasne! Bał się, że bolszewicy zabiorą chłopców i cenne sakwy, a on wolał sakwy zatrzymać dla siebie, a za tych młodzieńców otrzymać zapłatę osobno. Wyśledziwszy chłopców w gaju, postanowił skorzystać z okazji, by przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie: przed tobą, nojonie, pokazać się w postaci potężnego szamana, który potrafi zażegnać gniew duchów, a równocześnie z twoją pomocą zdobyć sakwy, bezsilnych zaś więźniów wydać w ręce bolszewików.

Wieczorem złożył Bołdyr księciu jassak, należny za korzystanie z pastwisk, i wtedy Stach oddał starcowi błam skórek zebranych przez Jegora Biczikowi. Aby pozyskać sobie przychylność nojona, podarował mu zegarek, rodzinę zaś książęcą obdzielił częścią klejnotów znalezionych w worku Jefrema, co wśród Sojotów wywołało ogromną radość.

Nojon, chcąc godnie uczcić swych gości, kazał przygotować sutą wieczerzę, na które; młodzi wędrowcy po raz pierwszy zapoznali się z potrawami sojockimi. Już samo przygotowanie tej biesiady zajęło ich uwagę.

Ogromny, półokrągły kocioł żelazny, ustawiony na taganie, wyczyściła służebna nie ścierką, ale wiechotką z ogona końskiego. Poczem prysnąwszy kilka kropel mleka na kocioł i ogień, jako ofiarę dla duchów domowych, naląła do kotła wody. Po chwili, gdy woda wrzeć poczęła, włożono do wrzątku całą połowę barana. Już po dziesięciu minutach wyjęto mięso z kotła, położono je na dużej drewnianej misce przed nojonem, ten zaś operując zręcznie nożem i palcami, mięso to rozdzielał między swych gości, najtłustsze kawałki podsuwając Bołdyrowi i chłopcom. Nikt z obecnych nie używał widelców: mięso

brano palcami, obrzynając je nożem tuż przy wargach, Kości, składane na drewnianych talerzach, otrzymywali następnie słudzy nojona, którzy wysawszy szpik i oczyściwszy zębami najdrobniejszy kęsek mięsa, rzucali je psom.

Po przekąsce mięsnej podano drugie danie. Była to herbata. Sposób jej przyrządzenia był jednak zupełnie inny niż w Europie. Do wrzącej wody wrzuciła Sojotka garść czaju odrąbanego od *dzyzanu*<sup>1)</sup>, poczem dodała do tego kilka sporych grudek soli. Następnie płyn ten załała mlekiem. Po zagotowaniu przelewała go dużą chochłą do mosiężnych czajników, skąd każdy z biesiadników mógł napitek czerpać dowoli do drewnianych miseczek.

Ponieważ Sojoci nie uprawiają zboża, więc też chleb nie jest u nich w użyciu. Zastępuje go łuszczone proso, które każdy z obecnych wsypywał sobie do gorącego czaju. Po wypiciu kilku miseczek takiej herbaty, gdy proso napęczniało, robiono w niem palcem dziurkę, w którą wkładano kawałek masła lub też łoju baraniego, poczem tak przyprawioną potrawę zesypywano z miseczki palcem wprost do ust. Jako przekąski do tej potrawy służyły: *urum*, czyli suszony kozuch ze śmietanki, i *taryk*, to znaczy kwaśny twaróg suszony na słońcu.

Po skończonej wieczerzy chłopcy chcieli wyjechać w stronę Usińska, by aresztowanemu Bogatowowi przyjść z pomocą, ale ich zamiarowi sprzeciwił się stanowczo Bołdyr.

— W Usińsku — mówił — jest bardzo wielu bolszewików, i zamiast pomóc uwięzionemu sami dostaniecie się do niewoli. Bogatow, odjeżdżając z zaimki, polecił swemu słudze prosić mię, bym wszystkie jego tabuny z Tannu-Oła przegnał na stronę mongolską do księcia Aczitu-wana. Początkowo chciałem sam tę sprawę załatwić, ale przed

samym przyjazdem tu do nojona doniesiono mi, że Chun-nojon kazał swoim ludziom zająć około tysiąca baranów Bogatowa, które pędzono na Kemczik...

— Przecież Chun-nojon jest wrogiem bolszewików — ozwał się Stach.

— Był nim. Teraz jednak przekupiono go, i kemcziczcy Sojoci ścigają oddziały przeciwbolszewickie. Musicie stąd jak najprędzej uciekać, bo szaman na pewno sprowadzi tu ułan cerigów, a nasz książę choć zacny, jest bardzo bojaźliwy.

— Więc gdzież teraz mamy jechać?

— Chciałbym was zabrać do siebie nad Sejbę, ale tam już bolszewicy się kręcą, lepiej przeto, byście jutro odjechali z Batorem .do jednego z moich braci, który mieszka nad Ułukemem. Wyjeżdża on z karawaną wielbłądów do Ulasutaju, więc z nim pojedziecie i zaczekacie w Mongolji na Bogatowa, którego na pewno uda mi się ocalić.

Na drugi dzień o świcie wyjechali chłopcy w towarzystwie Batora, kierując się wprost na południe. Konie nurzały się w wysokich, od przymrozków pożółkłych trawach, przebiegały niewysokie wzgórza lub ostrożnie przemykały wąskimi ścieżkami, wijącymi się przez bory sosnowe.

Z gęstych traw wyrwały się ogromne stada stepowych kuropatew, często przebiegały liczne grupki saren, czasem płowy wilk przemknął z podwiniętym pod siebie ogonem, lub rudy lis stanął na chwilę, popatrzył bystreimi oczkami na jeźdźców, a potem oddalał się powoli, machając kitą. Mnóstwo małych dropi<sup>2)</sup> żerowało na łąkach, nie zwracając najmniejszej uwagi na wędrowców. Mimo bliskiej zimy, nie zamrożone dotychczas jeziora i rzeczki pełne były ptactwa. Na przybrzeżnych

błotach kręciło się pełno dużych kulików o szablowlatych dziobach, pokrzykiwały długonogie bekasy, wierciły się niespokojnie maleńkie bekasiki. Między trzcinami przechadzały się poważnie siwe czaple, czarne bociany i żorawie, a wody roiły się wprost od różnych pływaków. Były tu zwykle gęsi szare, czerwone turpany, ogromne, do łabędzi podobne gęsi białogłówki a między nimi zwiąjały się szybko kaczki krzyżówki, szerokonoski, grochale i cyranki.

Sojoci ptactwa nie strzelają, to też żyje ono tu zupełnie bezpiecznie, szukając jedynie schronienia przed napaścią potężnych orłów, szybkich i zwinnych jastrzębi i krogulców, Ale i ci mocarze przestworzy dobrze muszą wysilać całą chytrłość, zanim uda im się porwać jakąś ofiarę z tej rozkrzyczanej rzeszy. Niech tylko zamajaczy na lazurówem sklepieniu niebios ciemna sylwetka orła lub jastrzębia, wnet wśród oczeretów rozlegają się ostrzegawcze krzyki czujnych żurawi i w jednej chwili gęsi i kaczki chronią się w gęstwinę trzcin, a wychodzą, gdy niebezpieczeństwo już minie.

Przebywszy obszerne łąki dolinne, wjechali w piękny bór sosnowy, pokrywający łańcuch dosyć wysokich wzgórz. Wąziutka ścieżyna wila się tutaj po stokach, przebiegała tuż nad głębokimi przepaściami, to znów wspinała się aż na szczyty, na których stały kamienne obo. Bator, który nieraz polował w tych górach, opowiadał chłopcom o swych myśliwskich przygodach i zwierzynie żyjącej w tej kniei. Nierzadko tu można spotkać manula, zwinnego rysia, a nawet rosomaka. Z ptactwa mnóstwo tu jarząbków, cietrzewi i głuszcy.

— A któż mieszka w tych lasach? — spytał Stach, pokazując Batorowi obszerny szałas, zbudowany z gałęzi i kory sosnowej.

— To jurta szamana — szepnął Sojot, popędzając konia.

— Powiedz mi, Stachu, co to właściwie jest szamanizm i jaką rolę między Sojotami odgrywają szamanie? — zapytał Janek.

— Szamanizm jest jedną z najstarszych religij, a obecnie zachował się jeszcze w całej północnej części Azji, Szamanistami są jeszcze pczęści Sojoci i Burjaci, Jakuci i Tunguzi, Ostjaki, Gilaki, Ajnowie na Sachalinie i mnóstwo tych różnych szczepów, które żyją, nad oceanem Lodowatym i w tundrach. Za czasów Czingis-chana Mongołowie również byli szamanistami, a nawet Czingis-chan w dużej mierze zawdzięcza wybranie na chana mongolskiego swemu: przyjacielowi, który był szamanem. Pytasz o wierzenia szamanistów? Otóż wielbią oni całą przyrodę, a więc: ziemię, słońce, księżyc, ogień i wodę.. Każda góra, każdy wąwóz, a nawet drzewa mają duchów, z tych jedne są dobre, inne złe. Widziałeś, jak w jurcie nojona Sojotka wylała kilka kropel mleka na ogień, widziałeś, jak Bator na obo przywiązywał strzępek materji? Otóż to były ofiary dla duchów tam w jurcie dla ducha domowego, tu dla ducha góry.

Kapłanów szamanizm właściwie nie posiada. Szamanami mogą być zarówno mężczyźni jak i kobiety, o ile objawiają się u nich nadprzyrodzone zdolności bezpośredniej styczności z duchami, A zdolności te ujawnić się mogą nawet w późnym wieku u ludzi, którzy przedtem nie mieli nic wspólnego z szamanami.

— W jaki sposób taka zdolność się objawia? — zapytał zciekawiony Janek.

— Człowiek taki staje się zamyślony, poczym na unikać ludzi, chwytą bęben, tańczy, wróży i t. p. Oczywiście przez tyle wieków istnienia szamanizmu utarły się już pewne ceremonjały, do tych np. należy wypędzanie choroby. Widziałeś przecie, że szaman leczący córkę

nojona, po tańcu koło ognia upadł na ziemię; to miało znaczyć, że dusza jego rozmawiała z duchami, które wskazały mu przyczynę choroby. A zauważyłeś pewno, że potem szukał w garnkach, następnie zaś pochylony nad chorą udawał, że zbiera coś do bębna. Otóż w garnkach szukał złych duchów, a nad chorą zbierał całą czeredę tych duchów do bębna, mającego tę własność, że duch tam wsadzony uciec już nie może.

— Ależ ten szaman był, jak twierdzi Bołdyr, zwykłym oszustem!

— A jednak widziałeś, że mu wierzono! I gdyby Bołdyr nie był lamaistą, to na pewno by nas nie wyratował.

— No, a te turge i święte gaje?

— Turge są to święte drzewa, przy których szamaniści składają kilka razy do roku ofiary t. zw. *tajlgany*. Zbierają się wtedy z całego okręgu szamaniści, szaman zabija wedle rytuału kozę albo barana, mięso zjadają obecni, a duchy dostają w ofierze skórę i rogi. Ma się rozumieć, szaman zabiera potem skórę dla siebie, a duchy zadowolnić się muszą tylko rogami.

— Powiedz mi jeszcze, Stachu, dlaczego szaman ma na ubraniu skórki i pióra ptaków, a na bębnie wyrysowane są jakieś figurki?

— To są *ongony*, w nich to zaklęte są duchy, które szamanowi dają moc wróżenia, znajdowania, przyczyn nieszczęść, leczenia chorych i t. p.

— Patrzcie, patrzcie! — krzyknął nagle Bator, jadący na przedzie — oto tam widać już Ułu-kem!

Chłopcy mimowoli wstrzymali konie, napawając się przecudnym widokiem, rozpościerającym się przed ich oczyma.

Z wysokiego stoku góry, na którym się znajdowali, widać było przed nimi olbrzymią dolinę, złocącą się w promieniach zachodzącego słońca. Tu i owdzie w gładki step wrzynały się długie czarne plamy drzew,



porastających brzegi potoków, a hen w dali ledwo widocznie majaczyły sine kontury gór. W środku doliny wiła się purpurą zachodu malowana wstęga ogromnej rzeki i ginęła, gdzieś daleko zlewając się z seledynową barwą horyzontu.

Konie ruszyły szparko naprzód, i po trzech godzinach jazdy wędrowcy znaleźli się w jurtach, rozrzuconych tuż nad brzegiem Ułu-kemu.

## ROZDZIAŁ XII.

### NA WYSPIE U „SOKOŁA” .

Mergen-Beise<sup>1)</sup>, brat Bołdyra, przyjął gości bardzo uprzejmie, a nawet nie zważając na późną porę, kazał swym ludziom postawić dla przybyłych nową zupełnie jurkę i wyścielić ją miękkimi wołokami. Ale gdy podczas wieczornego posiłku Bator wyłuszczył cel przybycia chłopców, czoło gospodarza pokryło się zmarszczkami troski.

— Nie wiem, czy będę mógł spełnić nadzieje we mnie pokładane — mówił — bo teraz podróżowanie z karawaną jest rzeczą wielce niebezpieczną. Kraj cały objęty jest wojną; czerwoni ścigają białych, a do tego wmieszały się jeszcze wojska chińskie, które tu sprowadził namiestnik Jan-Czu-Czao; Sojoci zaś pod wodzą Chun-nojona pomagają to jednemu to drugiemu, zależnie od tego, kto lepiej płaci. Niedosć na tem: no jonowie bolszewicy zbierają bandy rozbójnicze, złożone z kemczickich Sojotów i napadają nie tylko na karawany kupieckie, ale grabią spokojne *ulusy* (osady) a nawet *duguny* (faktorje) chińskie.

— Cóż więc mamy począć teraz — zapytał Stach.

— Jak najprędzej wyjeżdżać w stronę Mongolji — odparł Mergen. — Teraz śnieg topnieje i śladów nie zostawia, ale za tydzień lub dwa zdradzi każdy wasz ruch, nie mówiąc o tem, że przez Tannu-Oła przejść będzie można tylko przełęczami, a te już są obsadzone przez bolszewickie stráže...

W tej chwili na dworze rozległ się gwar zmieszanych głosów, donośny tupot nóg, a potem bezwładna strzelanina. Mergen porwał karabin, stojący koło drzwi jurty, i wybiegł spieszenie na pole. Za jego przykładem poszli chłopcy i Bator. Koło jurt stało kilkunastu Sojotów, gorączkowo strzelając w niebo, na którym ogromna tarcza księżyca wchodziła w fazę zaćmienia. Mergen i Bator w jednej chwili podnieśli w górę bronie i mierząc w coraz bardziej ciemniejący krąg księżyca, słac węń poczęli kulę za kulą.

— Bator! Czemu psujesz naboje? Przecież to zwykłe zaćmienie! Za jaką godzinę lub dwie znów będzie jasno! — wołał Stach.

— Och! och! Czy nie widzisz, że zły smok chce pożreć dobre bóstwo niebieskie? Strzelajcie prędzej! Straszcie go, by umknął, bo biada nam, jeśli zły zwycięży! — wołał w odpowiedzi Mergen.

Stach widział, że próżnoby tłumaczyć zabobonnym Sojotom rzeczywistą przyczynę zaćmienia. Chcąc zaś przy okazji pozyskać sobie większą przychylność Mergena, począł wraz z bratem długo i dokładnie mierzyć do domniemanego smoka, strzelał jednak bardzo rzadko, aby oszczędzić amunicji.

Po półgodzinnej kanonadzie wystrzelali Sojoci prawie wszystkie naboje, a ponieważ zaćmienie było wtedy zupełne, poczęli odpędzać smoka, grożącego księżycowi pożarciem, biciem w kotły i bębny, krzykiem, świstami, oraz dęciem w krótkie piszczałki. Do tej piekielnej wrzawy dołączyło się jeszcze wycie psów, chrapanie przestraszonych koni, ryki bydła i płacz dzieci, dając w całości tak potworny jazz-band, że chłopcy zatkawszy uszy, zbiegli czem prędzej do jurty.

Po jakimś czasie wrzawa poczęła słabnąć, wreszcie tylko tu i tam rozlegały się pojedyncze odgłosy bębnow, a później zapadła cisza

przerywana słabym szumem topól, rosnących nad rzeką. Księżyc zalewał znów srebrnymi potokami światła stopy, lasy i jurty, więc Sojoci pewni już, że spłoszony smok zniknął gdzieś w bezkresach i nieprędko wróci, poczuli układać się do spoczynku.

Nie zdołano jeszcze przysypać ogni popiołem, gdy znów rozległo się gromkie ujadanie psów, a równocześnie do jurty chłopców wpadł zdyszany Mergen.

— Uciekajcie co prędzej! — krzyknął — ułan cerigi jadą! Biegnijcie do rzeki, tam są moje czółna!

W jednej chwili chłopcy byli na nogach, chwycili do rąk karabinki, worki zarzucili na plecy i, wybiegłszy z jurty, chyłkiem podążyli łożyskiem głębokiego kanału ku rzece, gdzie Mergen gorączkowo rozwiązywał łańcuch, którym przypięte było wywrotne czółno, wyłobione z pnia topoli.

— Płyńcie tuż przy brzegu wdół rzeki, a gdy zobaczycie wyspę, starajcie się do niej dostać — szeptał Mergen, pomagając chłopcom usadowić się w chybotliwej łódce. — Na wyspie znajdziecie ludzi, którzy wam pomogą..., krzyknijcie im tylko „Mergen-Beise”. Jutro się tam zobaczymy... Mende!

— Mende — szepnął Stach i, chwyciwszy długą żerdź, odbił się od brzegu tak silnie, że łódź pomknęła jak strzała.

Chwyceni prądem, płynęli początkowo skryci za wysokim brzegiem, zmagając się z dużymi kawałami kry, które co chwila uderzały o boki czółna, przechylając je tak gwałtownie, że kilaka razy zaczerpnęło wody. Stach, widząc to, postanowił wydostać się na środek rzeki, gdzie prąd był słabszy, ale zaledwo znalazł się na przestrzeni oświetlonej dokładnie promieniami księżycy, już na brzegu rozległ się tętent galopujących

koni, a potem krzyki:

— Stój! Stój! Kto tam płynie?

Łódź, pchnięta żerdzią, popłynęła chyżej, ale chłopcy widzieli dobrze, że grupa jeźdźców, pędzących brzegiem, zrównała się z nimi, a nawet poczęła ich wyprzedzać. I gdy Stach począł naukos przecinać rzekę, by jak najprędzej oddalić się od brzegu, posłyszał znów wołania:

— Ty, biały, poddaj się, bo cię razem z tem korytem podziurawimy na sito. Zawracaj, bo zaczniemy strzelać!

Chłopak gwałtownym ruchem odsądził czołno o kilka metrów dalej, a w tej samej chwili huknęły z brzegu wystrzały i tuż koło łódki plusnęło kilka kul.

— Za wiosła, Janku! — krzyknął Stach, odpierając żerdzią sporą krę, która groziła zdruzgotaniem rufy.

Czołno, pędzone krótkimi uderzeniami wiosła, mknęło jak jaskółka, prując dziobem burzliwe nurty Ułu-kemu. Janek zlany potem, zagłębiał rytmicznie łopaty wiosła w wodę, podrywał je silnem szarpnięciem wygimnastykowanych mięśni, a Stach odpychał żerdzią kry i prowadził łódź ku majaczącym zdała ciemnym konturom wyspy. Zająci pracą, nie zważali zupełnie na pluskające wkoło nich kule, z których niejedna z głuchym łoskotem uderzała w łódź, odrywając z niej trzaski. Wreszcie celniejszy pocisk ugodził w nasadę wiosła, rozłupał je, łódź skrzyła gwałtownie w bok i przechyliła się tak mocno, że Stach stracił równowagę, runął głową wdół i zniknął w ciemnej toni.

Czołno, pozbawione dosyć znacznego ciężaru, pomknęło z błyskawiczną szybkością i, zanim Janek zrozumiał co się stało, zaryło dnem w coś miękkiego, drgnęło kilka razy i pozostało bez ruchu.

Ale już i Stach zbliżał się, płynąc wypróbowanym sposobem

syberyjskich rybaków. Jako doskonały pływak zdołał zrzucić ubranie, krępujące mu ruchy, i wyrzucając silnie przed siebie ramiona, mknął po zdradliwych toniach jak szczupak za okoniem. Po chwili znalazł się na tak płytkim miejscu, że dalej płynąć nie mógł i w kilku skokach dopadł do łódki.

— Na mieliźnie osiadłeś, Janku — szepnął. — Bierz prędko na plecy worki i broń; ja spróbuję zepchnąć łódź na głębszą wodę.

Janek nie dał sobie dwa razy powtarzać rozkazu. W jednej chwili worki zarzucił na plecy, broń wziął do rąk, a widząc, że woda sięga mu zaledwo do połowy łydek, ruszył wolno przed siebie ku rysującym się wyraźnie nadbrzeżnym krzakom wyspy. Stachowi udało się szczęśliwie wyrwać łódź z piachu, Nie chcąc jednak pozostawiać brata samego, nie popłynął w niej głębszemi wodami, lecz chwyciwszy za łańcuch u dzioba, pociągnął pozbawione ciężaru czółno ku wyspie.

Po kilku minutach stanęli na wystającym z wody brzegu, ale zaledwo zdołali przypiąć łańcuch do nadbrzeżnych wiklin, z krzaków wysunęło się kilku ludzi, uzbrojonych w karabiny, i mimo hasła Mergena wprowadzili zbiegów w głąb wyspy.

Nie przeszli kilkudziesięciu kroków, gdy w gęstwinie rozległ się ostry krzyk spłoszonej gęsi, a w sekundę później jakiś cichy głos zawołał:

— Stój! Kto idzie?

— Swój! — odpowiedział jeden z otaczających chłopców ludzi.

— Hasło? — zapytano z gęstwiny.

— Urjanchaj!

— Odzew?

— Do ostatniej kropli krwi!

— Przechodź! — rozkazano z gęstwiny i równocześnie dwa cienie z gotowemi do strzału karabinami ukazały się na ścieżce.

— To do was tak strzelały te czerwone djabyły? — zapytał Zaniewskich jeden z przybyłych, a nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do ludzi, otaczających zbiegów, z rozkazem:

— Dajcież temu biedakowi — rzekł, wskazując Stacha — jaki płaszcz, bo chłopak zmarznie, i ruszając do obozu biegiem, niech się trochę rozgrzeją.

Biegli szybko prawie dziesięć minut, aż wreszcie zatrzymali się na sporej polanie, gdzie w głębi ziemi błyszczało kilka nikłych światełek. Eskorta chłopców zatrzymała się na kraju polany, jeden tylko ze straży wprowadził zbiegów w jakiś głęboki rów, rozwidlający się w szereg wąskich korytarzy, obszernych grot i ciemnych tuneli. Po przejściu całego labiryntu wąskich uliczek znaleźli się w obszernej, świecami oświetlonej ziemiance, gdzie kilku ludzi radziło coś nad wielką mapą rozłożoną na ziemi.

— Komendancie! Oto ci dwaj, do których strzelali czerwoni — ozwał się przewodnik chłopców.

Na dźwięk tych słów podniosło się z nad mapy kilka postaci. Przy jasnym świetle zauważył Stach, że wszyscy mieli zaczerwienione od bezsenności oczy, twarze ich nosiły wyraz niezmiernego zmęczenia, a podarte, gliną i ziemią powalane ubrania świadczyły o niezdejmowaniu ich już od dłuższego czasu.

— Kto jesteście i dlaczego uciekaliście przed bolszewikami? — zapytał ten, którego nazwano komendantem.

— Jesteśmy z Abakańska... — zaczął Stach.

— Z Abakańska? A jakże się nazywacie?

— Zaniewscy...

— Zaniewscy, Zaniewscy — powtórzył w zamyśleniu komendant, — Czy przypadkowo nie krewni inżyniera Raczyńskiego?

— Tak, to nasz wujek! — zawołał Janek. — To pan go zna? A może pan wie, gdzie się teraz znajduje?

Ku ogromnej radości chłopców komendant przemówił po polsku:

— To ja raczej powinienem zapytać o to. Przed kilku miesiącami skrywałem się u inżyniera i z jego pomocą dostałem się do Urjanchaju.

— Wujek nasz także podobno miał się tu schronić — szepnął Janek.

— To widocznie już dostał się do Mongolji, bo my tu prawie o wszystkim wiemy, nawet o was mieliśmy dokładne wiadomości...

— O nas? — przerwał zdumiony Stach.

— Tak, tak. Mamy tu listy gończe, pisane przez Puzikowa do wszystkich oddziałów czerwonych. Dostaliśmy je u schwytanego kurjera bolszewickiego.

Stach szybko rozwiązał swój plecak i, wyjąwszy zeń teczkę z papierami Jefrema, podał ją komendantowi, opowiadając w krótkich słowach, w jaki sposób ją zdobył.

— No, no, toście, widzę, ciężkie chwile przeszli! — zaśmiał się dowódca partyzantów. — Teraz rozgośćcie się w tej norze! Obecni tutaj panowie są oficerami mojego oddziału i, chociaż sądząc po ubraniu, możnaby nas wszystkich wziąć za bandytów...

W kącie ziemianki zaturkotał nagle dzwonek małego polowego telefonu i jeden z oficerów pochwycił za słuchawkę.

— Bolszewicy ruszyli w stronę brodu pod Szagonarem. Mergen pyta, czy posłać żywność. Tabun koni za dwie godziny będzie na umówionem



miejscu. W kopalni nad Ak-kemen zostawił Li-Szi-Fu dla nas trzy skrzynie naboń. Fiodor czeka na rozkazy.

Komendant podszedł do telefonu i szybko rzucił dyspozycje:

— Prowjant przysłać natychmiast! Przed świtem ściągnąć strażę, telefony zabezpieczyć na czas dłuższy, w przejściach założyć miny jak zwykle! Przeprowadzić łodziami na lewy brzeg!

— A teraz, moi panowie — rzekł, zwracając : się do oficerów — proszę dać ludziom wszystkie naboje, kucharze niech rozdadzą strawę; za dwie godziny ruszamy!

W jednej chwili oficerowie zniknęli jak duchy za ciężką derką, zastępującą drzwi, a dowódca na widok zdziwionych min chłopców począł się śmiać wesoło:

— Pewno was dziwi, skąd mamy telefony i w jaki sposób porozumiewamy się z Mergenem? To wszystko zdobyte na bolszewikach; mamy nawet swoje aparaty telegraficzne, którymi przejmujemy rozkazy wysyłane przez dowództwo czerwonych z Minusińska do głównej kwatery w Usińsku, Ha! trzeba sobie jakoś radzić i pomagać. Teraz odpocznijcie trochę, bo rano drogi nasze się rozejdą!

— Mybyśmy chcieli zostać tu w oddziale i walczyć z bolszewikami — szepnął nieśmiało Janek.

— Na to się zgodzić nie mogę! Nie mogę brać was na swoje sumienie! Jesteście młodzi i musicie dostać się do Polski. Tam potrzeba ludzi dzielnych!

— A pan? — zapytał Stach.

— Ja tu muszę zostać, bo mam obowiązki względem tych ludzi, których zorganizowałem. Jestem żołnierzem i tu na tyłach muszę

niepokoić wroga. Zresztą głównym moim celem jest niszczenie wszelkich zapasów żywności, jakie bolszewicy wywożą stąd dla swych wojsk, walczących na polskim froncie!

— Ale i my możemy tu na coś się przydać! — szepnął Janek.

— Moi młodzi przyjaciele! — rzekł oficer, kładąc dłonie na ramiona chłopców. — Musicie jak najprędzej dostać się do Mongolji, a myśłą przewodnią, która wam przyświecać winna, niech będzie myśl o Polsce! W kraju i dla kraju powinniście poświęcić wszystkie swoje siły. Starajcie się dostać na Daleki Wschód, bo tam są już konsulaty polskie, które wam ułatwią powrót do Ojczyzny. My tu gonimy już ostatkami sił, bo bolszewicy ścigają nas jak wilki jelenia.

Utrzymamy się może miesiąc, może parę miesięcy, a potem będzie, co Bóg da!

— Czy możemy wiedzieć chociaż nazwisko pana? — zapytał Stach.

— My tu nazwisk nie mamy! Sojoci dali mi przydomek „Sokół”, a bolszewicy nazwali mię wielce pochlebnie „polskim czartem”. Te dwa imiona powinny wam wystarczyć!

Stach chciał jeszcze o coś zapytać, ale ziemianka poczęła zapełniać się ludźmi, a po chwili pojawił się także Mergen.

— Och, nojonie! — mówił stary Sojot po wypaleniu tradycyjnej fajki — dużo ułan cerigów przyszło do Usińska. Przed godziną przysłał mi tę wiadomość mój brat Bołdyr. Na Szagonarze zasadzka już przygotowana, tylko trzeba się spieszyć, aby czerwonym przedwcześnie posiłki nie nadeszły!

— Przed świtem ruszamy, ale tych młodzieńców wyślesz, Mergenie, w stronę Tannu-Oła!

— Już konie dla nich przygotowane na lewym brzegu. Do podnóża

górze odprowadzi ich mój syn, a potem pokaże im drogę na turnie Amursany. Tam czerwoni boją się zachodzić, bo ich już kilkakrotnie napadł oddział Dża-łamy. W Samgałtaju zajmie się nimi Dża-łama i wyprawi ich dalej. Dam im potrzebne znaki.

Wkrótce w ziemiance pojawiły się kotły z mięsivem i gorącą herbatą. Zabrano się do posiłku, rozmawiając wesoło, a jeden z oficerów wyjaśniał chłopcom:

— Znajdujecie się tutaj w starych bardzo kopalniach żelaza; są to pozostałości po narodzie, który przed wiekami mieszkał w Urjan-chaju. Mamy kilka takich miejsc w różnych częściach kraju i przybywamy do nich tylko na odpoczynek. Sojoci strasznie boją się tych miejsc, bo wedle ich wierzeń mieszkają tam złe duchy, a my staramy się wierzenia ich w różny sposób podtrzymać. Jeden tylko Mergen, jako człowiek bezwzględnie wierny, wie jak tu wejść, by uniknąć nieszczęścia, każdy bowiem śmiać, któryby chciał bez naszej wiedzy zwiedzić te kopalnie, zginie od miny albo samostrzału.

— A bolszewicy?

— Spróbowali wejść do jednej kopalni koło Czakulu i — czterdziestu ludzi wyleciało w powietrze; od tego czasu omijają te miejsca jak zarazę,

— Jakże panowie porozumiewacie się z Alergenem, boć chyba nie telefonem? — pytał ciekawie Stach.

— Nie. Telefony posiadają tylko nasze strażnice. Z Mergenem porozumiewamy się świetlnymi znakami, albo naśladowaniem krzyku ptactwa. Szkoda tylko, że mało jest tak zacnych Sojotów jak ten stary, bo jużby bolszewików w Urjanchaju nie było.

Na godzinę przed świtem, na brzegu wyspy zapanował gorączkowy ruch. Kilkudziesięciu ludzi znosiło siodła, broń i amunicję, składając to

na maleńkie czółenka, i przeprowaiało na drugi brzeg rzeki. Wszystko odbywało się sprawnie, bez hałasu i tak radośnie, jakby ci ludzie obdarci i wynędzniali szli nie na znoje wojaczki, ale na jakąś zabawę.

Wreszcie przyszedł czas na chłopców; przewieziono ich czółnem na drugą stronę, skąd po niedługiej wędrówce dnem potężnego kanału dotarli do obszernej kotliny, gdzie stały już osiodłane konie. Dwaj żołnierze sprawnie przytroczyli worki chłopców do siodła dzielnych sojockich mierzynów, i po chwili po serdecznym pożegnaniu z Sokołem i jego towarzyszami młodzi wędrowcy ruszyli z miejsca skokiem,, prowadzeni przez młodego Sojota ku sinawym konturom gór, rysujących się słabo w mgle porannej.

## ROZDZIAŁ XIII.

### SARŁYKL — DŻA-ŁAMA.

Dwa dni trwała szalona jazda, zanim wędrowcy dotarli do głębokich wąwozów gór Tannu-Oła. Przez dwa dni przebywali rozległe stepy pofałdowane półokrągłymi grzbietami uwałów, mijali setki olbrzymich stad baranów, przemykali koło rzadko rozrzuconych jurt, co kilkadziesiąt kilometrów zmieniając w tabunach konie.

Sprawę zamiany wierzchowców wziął na siebie Chandar, młody syn Mergena, który chłopcom towarzyszył jako przewodnik. Młody Sojot tak umiał przemówić do serc właścicieli tabunów, że ci kazali pastuchom łapać najlepsze wierzchowce i oddawali je jeźdźcom bez żadnej dopłaty. Za poradą tegoż Chandara kupili chłopcy w jurtach dwa długie *terłyki* podbite owczynami, narodową odzież mongolską, grube mongolskie buty t. z. *gutuly*, a wreszcie baranie kapuzy. Strój ten dopełniono jedwabnymi pasami, przy których zwieszały się na długich łańcuszkach noże, wtykane podczas jazdy z tyłu na plecach za pas. Za kilka świecidełek, wydobytych z worka Jefrema, kupił Chandar dwie długie fajki, dwa haftowane woreczki na tytoń oraz pięknie ozdabiane krzesiwa. Teraz młodzi wędrowcy tak dokładnie przeistoczyli się w tubylców, że jak mawiał Chandar „powinni mieć jeszcze warkocze, by zostać prawdziwymi Sojotami”.

Gdy w jurtach, położonych u podnóża gór, chciał Stach kupić konie

do dalszej podróży, Chandar sprzeciwił się temu stanowczo, mówiąc:

— Źle robicie, kupując konie! Lepiej do tak ciężkiej podróży górskiej nabyć *sarłyki* (jaki tybetańskie), bo tym ani zimno nie zaszkodzi, ani im pod śniegiem nie braknie paszy. Zresztą sarłyk chodzi po górach jak *bun* (koziół skalny), od wilków się opędzi, a najlepszego konia na turniach przegoni.

Jakkolwiek ani Stach, ani Janek nigdy jeszcze żywych sarłyków nie widzieli, jednak zgodzili się na propozycję Chandara i poprosili go, by zajął się kupnem tych tak zachwalanych zwierząt. Syn Mergena wnet wynalazł właściciela kilkunastu jaków, wybrał z tego stadka dwa najlepsze i umówił już cenę kupna, ale teraz okazało się, że Sojot nawet spojrzeć nie chce na złoto, żądając dwu skrzyń dzyzanu, albo odpowiedniej ilości srebra. Wszelkie wyjaśnienia, że przecież złoto posiada większą wartość niż srebro, nie robiły na Sojocię najmniejszego wrażenia, bo jak mówił: złota pełno jest w Urjanchaju w potokach górskich, a srebro i dzyzan trzeba sprowadzać z Chin.

I byliby na pewno odeszli z kwitkiem, gdyby Chandar nie dowiedział się przypadkowo, że o kilka kilometrów dalej obozuje karawana chińska, która wiezie towary i zapasy dla żołnierzy chińskich na Dzedan. Wnet pojechał tam, za dane mu przez Stacha złoto zakupił dwie skrzynie dzyzanu, kilka funtów cukru lodowatego, trochę tytoniu, zapalek, prochu i ołowiu, i wszystko to przywiózł do jurty właściciela sarłyków. Teraz już kupno poszło gładko, i wkrótce chłopcy otrzymali nowe wierzchowce, które miały ich przewieźć do Mongolji.

Tegoż dnia osiedłali z pomocą Sojotów sarłyki, przytroczyli trochę żywności i ruszyli w góry, żegnani głośnem „Mende!” Chandara, którego Stach przed odjazdem sownie obdarował.

Już w pierwszym dniu podróży przekonali się wędrowcy, że rada Chandara była bardzo dobra. Sarłyki mimo swego ogromu i ciężaru wspinały się wgórze bardzo szybko i z taką pewnością przechodziły po spadzistych stokach, tak zręcznie omijały zdradzieckie rozsypiska skalne, że chłopcy nie kierowali nawet niemi, ale zdali się zupełnie na niezawodny instynkt tych nieocenionych zwierząt.

Do jazdy na sarłyku trzeba się przyzwyczaić, a siedzenie za ogromnym garbem i kierowanie jednym tylko rzemieniem, przytwierdzonym do kółka wbitego w nozdrza, przedstawia początkowo pewną trudność, którą potęguje poniekąd potworny wygląd zwierzęcia. Długa puszysta sierść, spadająca aż do ziemi, nisko spuszczone łeb uzbrojony w krótkie i ostre rogi, ponure wejrzenie oczu, błyskających z poza gęstej grzywy, potworny garb i ogon koński, czynią sarłyka na pierwszy wygląd zwierzęciem dzikiem i nieokiełzanym, gotowym każdej chwili do buntu i walki. Człowiek przeto, siedzący na garbie tego potwora, czuje się zdany tylko na jego łaskę i w pierwszych chwilach nie śmie nawet pociągać za rzemień przytwierdzone do nozdrzy, by w zwierzęciu nie obudzić wściekłości i szału.

A jednak sarłyk domowy jest mimo swego wyglądu zwierzęciem tak łagodnym, że dziecko może z nim robić, co zechce; jest przytem we właściwym mu otoczeniu t. j. w górach najlepszym zwierzęciem jucznym czy wierzchowem, zadowala się najgorszą nawet paszą, którą wygrzebuje z pod śniegu, a w razie jej braku kilka dni bez szkody dla zdrowia przetrwać może o głodzie.

Wkrótce też przekonali się chłopcy, że sarłyków niepomierna siła i odwaga poręcza zupełne bezpieczeństwo i spokój w uciążliwej podróży.

Znalazłszy się dosyć wysoko w górach, postanowili tam czas jakiś

odpocząć po przejściach ubiegłych dni, by nabrać nowych sił w dalszej włości. Rozłożyli się więc na obszernej łące górskiej, a puściwszy wierzchowce na paszę, sami zabrali się do warzenia posiłku. Ale zmęczenie wzięło górę nad głodem; zaledwo tylko wyciągnęli się na miękkiej trawie, już zmorzył ich sen tak twardy, że nie czuli nawet swędu przypalającego się nad ogniem udźca sarniego.

Aż nagle Stach, uderzony kilkakrotnie w głowę grudkami ziemi, ocknął się, zerwał z trawy i ze zdumieniem zobaczył, że dzień dawno już minął i góry kąpią się w srebrzystych potokach promieni księżyca. Tuż obok siebie posłyszał groźny, przyciszony ryk i, odwróciwszy głowę, spostrzegł, że sarłyki, wygiąwszy grzbiety w kabłąk, rogami ryją ziemię, rozgrzebują ją racicami i niespokojnymi ruchami ogonów uderzają się po bokach. To dziwne zachowanie się łagodnych zwykle zwierząt zapowiadało bliskie niebezpieczeństwo, przeto Stach, zbudziwszy brata, ręką sięgnął do juków, by z nich wydobyć broń.

Zwróciwszy się trochę w bok, zauważył na polanie jakąś ogromną ciemną masę, toczącą się powoli ku obozowisku. Nie zdołał jeszcze przyciągnąć ku sobie strzelby, gdy nagle sarłyki, porykując gniewnie, runęły w niezgrabnych podskokach na zbliżające się zwierzę. W jednej chwili cicha i spokojna dotychczas łąka zabrzmiała straszliwym rykiem i wypełniła się zgiełkiem walki. Trudno było nawet rozpoznać, co się dzieje w skłębionym wirze cielsk potężnych. Słyszać było tylko gwałtowny świst powietrza wydychanego przez nozdrza, silne uderzenia racic o ziemię, szamotanie się, a nad wszystkim górował groźny, potężny ryk króla gór i tajg— niedźwiedzia.

Chłopcy chwycili karabinki i pobiegli z pomocą na miejsce boju, ale tu już walka miała się ku końcowi. Sarłyki biły jeszcze rogami i



tratowały racicami ogromne cielsko wroga, leżące już bezwładnie na ziemi. Gdy wreszcie zwierzęta odstąpiły od swej ofiary, wędrowcy z przerażeniem spostrzegli, że pokonanym wrogiem był ogromny czarny niedźwiedź górski, zwany przez myśliwych *białoszyjnikiem* z powodu białego pasma włosów, otaczających kark zwierzęcia jakby kołnierzem.

— Patrz, Janku! — zawołał Stach ze zdumieniem — toż to przecie niedźwiedź himalajski, najgroźniejszy i najzłośliwszy ze wszystkich niedźwiedzi azjatyckich, siłą mało ustępujący amerykańskiemu *grizzli!*

— Ależ skądby tutaj wziął się niedźwiedź himalajski? — powątpiewająco zauważył Janek.

— Ten gatunek żyje nietylko na znacznych wysokościach himalajskich, ale wędruje po górach Karakorum, zachodzi na Ałtaj i nierzadko na Tannu-Oła i Ułan-Tajga. Wujek mi opowiadał, że białoszyjnik bardzo późno zapada w sen zimowy, a spotkanie z nim w tym czasie właśnie należy do najniebezpieczniejszych, bo nawet trafiony kulą w serce jest w stanie przejść jeszcze kilka kilometrów.

— Więc tylko naszym jakom zawdzięczać możemy życie! — szepnął Janek.

Bliższe oględziny wykazały, że uwaga Janka była zupełnie słuszna. Niedźwiedź był tak dokładnie pokłóty rogami, że ze skóry jego zwisały tylko strzępy, a kości były wprost pomiażdżone na drobne kawałki, Ale też i sarłyki zwycięstwo przypłaciły poważnymi ranami: jeden miał zdartą skórę na całej długości garbu, drugi głębokie rany w karku i grzbiecie.

Mimo bolesnych okaleczeń zwierzęta zupełnie nie straciły apetytu, ani ochoty do dalszej wędrowki, a zabiegi chłopców, którzy poranione miejsca okładali ziemią wilgotną, przyjmowały z widocznym

zadowoleniem, dziękując za nie przyjaznym pomrukiem.

Po kilku dniach wędrówki przez dzikie pustkowia, przez rozległe zdradzieckie moreny, wąskie żleby i głębokie wądoły, przez kamieniste wiszary skał lub łąki halne dotarli wreszcie do szczytów pokrytych śniegiem. Cudny swą dzikością widok roztaczał się przed nimi. W południowej stronie widać było olbrzymie fałdy gór, graniczące łagodnymi stokami z bezkresną płaszczyzną stepów mongolskich, A na północy jak na dłoni widziało się rozległą kotlinę Ulu-kemu, potem szare zarysy gór, a gdzieś hen, hen w rozświetlonym lazurze nieba ledwo dostrzegalnie lśniły szczyty Sajan, Na wschód i zachód piętrzyło się morze gór, rysowały się ostre turnie, załomy, wiszary, olbrzymie kotliny, rozległe hale, ciemnozielone bory, ciche, martwe, jakby spowite snem.

Niezmiernie ciekawem zjawiskiem tu zaobserwowanem była nadzwyczajna przejrzystość powietrza. Zdawało się, że te łańcuchy gór są tuż, że tylko kilka kroków przejść trzeba, by się na nie dostać; rozróżnić można było każdy wąwóz, każdą szczelinę, niemal każdy kamień. Przedziwnym blaskiem lśniły nieskalanie białe śniegi, oślepiały wzrok modre zwierciadła jezior górskich, brylantowemi diademami rozpylonych kropel mieniły się długie warkocze wodospadów i wąziutkich siklaw. Złote kaskady promieni słonecznych malowały posępne urwiska skalne purpurą i seledynem, zaglądały ciekawie w czarne otchłanie, delikatną pieszczotą muskały dalekie bory.

— Cudne to wszystko, lecz jakże straszliwie martwe — szepnął w namyśleniu Janek.

— Tak, martwe dlatego, że i my stoimy bez ruchu. Zrób jednak kilka kroków, a obaczysz, jak nagle wszystko ożyje!

Janek lekko trącił piętami boki sarłyka, a posłuszne zwierzę ruszyło

ukosem po zaśnieżonym stoku. Ale ledwo przeszli kilkadziesiąt kroków, już Stach zawołał:

— Patrz! Patrz tam na południo-wschód, na tę przełęcz!

Janek wyteżył wzrok we wskazanym kierunku i gwałtownym ruchem wstrzymał wierzchowca na miejscu. Z za przeciwległego zbocza góry ruszyło z pośród kamieni spore stadko kozłów skalnych, zdążając wolno gęsiego ku zaśnieżonej przełęczy. Szły bez pośpiechu, wstrząsając zgrabnemi głowami, ozdobionemi rogami wtył wygiętymi; przystawały na chwilę, śledząc widocznie ruchy chłopców, aż nagle rozbiegły się i w szalonych susach zniknęły gdzieś po drugiej stronie góry. Tymczasem tuż prawie nad głowami wędrowców zaszumiało coś, ze świstem przecięło powietrze. I oto olbrzymi orzeł skalny zatoczył szeroki krąg, zakrakał przeraźliwie, jakby zlorzecząc tym, co wdarli się w jego królestwo, a potem jak kamień runął wdół, by po chwili znów wznieść się wgórze, ale tym razem trzymając w szponach jakiegoś sporego ptaka, próżno usiłującego wyrwać się z dławiących go kleszczy.

Jeszcze nie przebrzmiał rozpaczliwy krzyk schwytanego ptaka, a już na drugim stoku góry pomknęła w nieładzie grupka baranów skalnych i zniknęła między urwiskami tak szybko, że ledwo chłopcy zdążyli zauważyć ich ślimakowato skręcone rogi.

— Ach! jaka szkoda, że nie zdołał wystrzelić — białł zmartwiony Janek.

— Szkoda to niezbyt wielka — zaśmiał się Stach — odległość bowiem od tego stoku wynosi co najmniej trzy wiorsty, przeto i takby kula nie doniosła. Zresztą teraz myśleć trzeba, by jak najprędzej zejść w doliny, bo tu w nocy na śmierć zmarzniemy!

Droga wdół była o wiele trudniejsza, a czasem tak niebezpieczna, że

chłopcy musieli zsiadać z wierzchowców i krok za krokiem posuwać się naprzód. Nadmiar złego, lekki początkowo wiaterek zmienił się pod wieczór w wichurę, która nagnała od zachodu skłębione morze chmur.

Ściemniło się tak, że chłopcy nie widzieli nawet głów swych wierzchowców, które czując widocznie niebezpieczeństwo śnieżycy, biec poczęły prawie naoslep wdół. Wichur dał coraz silniej, wył po skalnych wiszarach, zmiatał śnieżny pył i drobne kamienie z rozsypisk i chłostał nimi twarze wędrowców. Wreszcie straszliwa śnieżycy rozpętała się z przewalających się chmur. Duże płaty śniegu zawirowały w powietrzu niesione wietrzyskiem i, rzucane z siłą na ziemię, poczęły bielić czarne stoki, zapełniać zleby i wądoły. Dalsza droga była teraz zupełnie niemożliwa; sarłyki mimo nadzwyczajnej ostrożności ześlizgiwały się wdół lub zapadały w zasy. A tymczasem śnieżycy rozsrożyła się: wichur wył jak stado zgłodniałych wilków, a śnieg sypał coraz obficie, zasypując chłopcom oczy i twarze, wciskając się za kołnierze ter-łyków, układając się grubą warstwą w każdym fałdzie ubrania, lepiąc się w długiej sierści jaków.

Stach zdecydowany był zatrzymać się gdziekolwiek pod osłoną skał. Ale sarłyki zmieniły nagle kierunek drogi i, podnosząc w górę krótkie łby, poczęły iść naprzód, naprzeciw wichury. Nie powstrzymały ich nawet silne szarpania rzemieniami, czem chłopcy chcieli zmusić zwierzęta do zatrzymania się; sarłyki wciągały w szerokie nozdrza powietrze, jakby wężąc, i szły coraz szybciej. Instynktownie widocznie omijały przeszkody, lawirując wśród labiryntu złomów kamiennych.

Podróż ta nie trwała długo, bo oto nagle zwierzęta zatrzymały się przed ogromną ścianą skalną, w której chłopcy ku swemu niezmiernemu zdziwieniu zobaczyli przeświecające gdzieś w głębi jasne płomienie

ogniska. Długa szyja skalnego korytarza rozszerzała się w obszerną grootę, w której przy ognisku siedziało dwóch mężczyzn, ubranych w wypełzłe czerwone terłyki mongolskie. Krótko ostrzyżone włosy na głowach i głębokie wycięcia terłyków na piersiach świadczyły, iż obaj należą do kasty duchownych. Jeden z nich, młodszy, napół leżał na posłaniu z mchów, opowiadając coś starszemu, który ze sakw skórzanych wyjmował pęki różnych traw, sortował je i rozkładał na osobne kupki. Tak byli zatopieni w czynnościach, że nie słyszeli nawet, jak chłopcy weszli do groty; dopiero na powitalny okrzyk Stacha zerwali się z miejsc, i wtedy młodszy błysnął ku przybyłym lufą mauzerowskiego pistoletu.

— Stój! Ani kroku dalej — zakrzyknął poprawnym językiem rosyjskim, celując w pierś Stacha.

— Daj spokój z tą bronią! Gdybym szedł tu w nieprzyjaznych zamiarach, tobym mógł was tam z korytarza wystrzelać — odpowiedział spokojnie chłopak, pokazując Mongołowi karabinek.

Uwaga była tak słuszna, że młody Mongoł natychmiast opuścił trzymaną w ręku broń i grzecznym ruchem zaprosił przybyłych do wnętrza.

— Skąd przybywacie i co was tu sprowadza? — zapytał po chwili, gdy chłopcy, zdjęwszy ze sarłyków siodła i sakwy, zasiedli przy ognisku.

— Dążymy z Urjanchaju do Samgałtaju — odparł Janek — a tu do tej groty przyprowadziły nas nasze sarłyki. Widocznie były już tutaj z poprzednim właścicielem.

— Ej, to wątpliwe! — zaśmiał się Mongoł. — Prawdopodobnie sprowadził je tutaj zapach dymu z naszego ogniska! Sarłyki często w ten sposób ratują karawany zabłąkane w stepach mongolskich-podczas

śnieżyc. Mają one tak dobry węch, że poczują dym nawet na większą odległość. Ale pocóż to wy do Samgałtaju idziecie, czyż jesteście bolszewikami?

— W Mongolji niema przecież bolszewików! — zawołał Stach zaniepokojony.

— Owszem, na pograniczu Mongolji rozłożyły się już oddziały bolszewickie, i wraz z *gominami*<sup>1)</sup> wyłapują uchodźców z Rosji.

Chłopcy spojrzeli po sobie bezradnie, co widząc obserwujący ich bacznie starszy Mongoł zawołał wesoło:

— Okazuje się, że nie macie wiele ochoty spotkać się z ułan cerigami, prawda? Nie idźcież więc do Samgałtaju, ale zboczcie lepiej trochę na wschód; nad rzeką Tes leży klasztor Dżaiałchyńdza-chutuchtu, gdzie ja jestem lekarzem; tam znajdziecie na czas jakiś przytułek. Cóż o tem myślisz, wielce świętobliwy Dża-łamo? — dodał zwracając się do młodszego towarzysza.

Stach, usłyszawszy to imię, zerwał się z miejsca, chwycił młodszego Mongoła za rękę i, ściskając je mocno w swoich, zawołał uradowany:

— Jakto? To ty jesteś Dża-łamo? Ty jesteś tym przesławnym Kałmukiem, który był duszą powstania mongolskiego przeciw Chińczykom w 1912 roku? Więc to ty jesteś tym legendarnym człowiekiem, o którym mówią, że jest wcieleniem Amursany, owego bohaterskiego wodza Mongołów, co walczył o niepodległość swej ojczyzny?

— Tak, to ja jestem — odparł krótko Dża-łamo, po chwili zaś zawołał:

— Skoro już wiecie, ktom jest, opowiedcież :coś o sobie!

Stach skwapliwie począł opowiadać wszystkie zdarzenia od chwili

ucieczki z Abakańska, a Janek z uwielbieniem niemal patrzył na Dża-łamę.

Był to człowiek średniego wzrostu, bardzo silnej budowy ciała, o twarzy prawie młodzieńczej, okazującej niezwykłą siłę woli i pewność siebie. Dwoje czarnych oczu patrzyło przenikliwie z pod gęstych brwi, zdając się sięgać w głąb duszy i wydzierać z niej ukryte myśli. Strój duchowny nie licował zupełnie z wojowniczą naturą tego niezwykłego człowieka, który przez czyny stał się legendarną niemal osobistością wśród koczowników Azji Środkowej.

Janek niejednokrotnie słyszał w Abakańsku o niezwykłych przygodach Dża-łamy, który wśród szczepów mongolskich rozniecał zarzewie walki o niepodległość, zachęcając do zrzucenia jarzma chińskiego. Chińczycy, chcąc się go pozbyć, urządzali na niego oblawy, zastawiali zasadzki, ale dzielny Kałmuk z najgorszych nawet opalów wychodził cało, mylił pogonie lub znikał gdzieś na kilka miesięcy. Wiedziano o nim, że podróżował po całych Chinach, był w Tybecie, przewędrował Indie, znał wszystkie miasta syberyjskie, widziano go na Pamirach, był w Taszkencie, Turkiestanie, Chiwie i Bucharze.

Ogromną popularność wśród koczowników zawdzięczał Dża-łama temu, iż uważano go za wcielenie przesławnego bohatera mongolskiego Amursany, który walczył z Chińczykami w latach 1750—60.

Stach skończył opowiadanie, a Dża-łama ozwał się z uśmiechem:

— Inżynier Raczyński już przed dwoma tygodniami był w Ulasutaju...

— Jaktó! więc znasz naszego wujka? — przerwał radośnie Janek.

— Owszem, znam go bardzo dobrze, bo kilka lat temu spędziłem w Abakańsku parę tygodni zmuszony uciec z Mongolji przed

Chińczykami. Mam nadzieję, że wujek wasz zabawi w Ulasutaju czas dłuższy, więc idźcież za radą obecnego tu przyjaciela mego Chambo-łamy, schrońcie się narazie w klasztorze Działchyńdza-chutuchtu, a tam już znajdzie się okazja zawiadomienia krewnego o waszym pobycie lub możliwość wyjazdu do Ulasutaju!

— A ty pojedziesz z nami? — zapytał Stach.

— Nie. Mnie powołują sprawy wielkiej wagi w inne strony, ale pewno się jeszcze zobaczymy. Na znak przyjaźni daję wam tu talizman z błogosławieństwem Bogdo-gegena<sup>2</sup>) z Urgi<sup>3</sup>). — To mówiąc podał Stachowi srebrne jajko pokryte dziwnymi znakami. — Talizman ten zapewni wam pomoc każdego Mongoła, radzę wam jednak unikać w podróży spotkania z gominami chińskimi, bo srogo przypłacicie tę nieostrożność!

— Co przez to chcesz powiedzieć, Dża-łamo? — zapytał znowu Stach.

— To, że Chińczycy, czując bliski kres swego panowania w Mongolji, widzą w każdym obcym podróżniku szpiega. To też wyłapują pojedynczych Europejczyków, a nawet napadają na miejsca, gdzie gromadzą się uchodźcy z Rosji, sądzą bowiem, że to ludzie generała Ungerna...

— A cóż to znowu za generał? — przerwał Stach.

— Rosjanin, który z kilkuset żołnierzami rozłożył się nad rzeką Keruleh we wschodniej Mongolji. On uwolni Mongolję od jarzma chińskiego, wypędzi gominów aż za wielki mur!<sup>4</sup>).

— Więc będzie wojna w Mongolji?

— Tak! Bóg wojny już idzie stepami. Znów błysnie oręż jak za czasów Amursany; wstanie z niewoli lud Czingizowy!



Po dwóch dniach śnieżycy ustąpiła zupełnie, i wtedy Dża-łama po długiej rozmowie z Chambo-łamą, wypowiedzianej w niezrozumiałym dla chłopców języku, pożegnał Zaniewskich i ruszył w góry, udając się w stronę zachodnią, Chambo-łama troskliwie spakował wysuszone zioła, zatarł najdokładniej ślady ogniska w grocie, szyję korytarza zawalił dużym blokiem kamiennym i wraz z chłopcami ruszył sobie tylko znanymi ścieżkami przez góry ku Mongolii.

## ROZDZIAŁ XIV.

### W KLASZTORZE LAMAICKIM.

Od dwóch tygodni znajdowali się Zaniewscy w klasztorze Działchyńdza-chutuchtu w domu Chambo-łamy. Z powodu bardzo obfitych opadów śnieżnych musieli zaniechać szybkiego wyjazdu do Ulasutaju, trudno było bowiem o przewodnika, a karawany kupieckie dotychczas jeszcze nie zabrnęły w te strony, zatrzymane widocznie jakimiś przeszkodami w stepach.

Przymusowy wypoczynek w klasztorze był jednak chłopcom bardzo na rękę, gdyż mogli tu dokładnie poznać zwyczaje Mongołów, a głównie nauczyć się nieco mowy mongolskiej, zupełnie odmiennej od sojockiej i tatarskiej.

Klasztor Działchyńdza-chutuchtu leżał w malowniczej okolicy, rozpościerającej się na południowym stoku gór Tannu-Oła, tuż prawie nad brzegiem wartkiej rzeki Tesingoł, wpadającej o kilkadziesiąt kilometrów dalej na zachód do ogromnego jeziora Ubsa-nor.

Zabudowania klasztorne zajmowały dosyć znaczną przestrzeń i dzieliły się na trzy części: pierwsza, gdzie stało kilka obszernych świątyń, zbudowanych w stylu tybetańskim, znajdowała się na płaskim zupełnie tarasie stoku, druga położona nieco niżej, zabudowana kilkudziesięciu drewnianymi *baiszynami*<sup>1)</sup>, otoczonymi bardzo wysokimi częstokołami, była zamieszкана przez łamów klasztornych,

trzecia najbliższa Tesingołu, złożona z kilku zaledwo domków i jurt otoczonych wysokim murem glinianym, była *majmaczynem*, t. j. handlową osadą chińską.

Każdego dnia o świcie budziły chłopców basowe dźwięki kilkumetrowych trąb, któremi trębacze klasztorni zwoływali łamów na nabożeństwa do świątyń. Dzielnica duchowieństwa ożywiała się wtedy; we wszystkich domkach ukazywały się w oknach zalepionych przetłuszczonym papierem mdłe światełka, a długie smugi dymu wydobywały się z wąskich rur kominowych. Na drugie wezwanie trąb przechodziły wąskimi uliczkami ciemne sylwetki łamów ubranych w czerwone i żółte terłyki, w wysokich rytualnych czapkach podobnych do hełmów; przebiegały, śmiejąc się i swawoląc, gromadki uczniów klasztornych i znikwały w obszernych wnętrzach świątyń, skąd po chwili poczęły dochodzić monotonne odgłosy modlitw, śpiewy, hałaśliwe dźwięki piszczałek, bębnów i dzwonków.

Zaniewscy często z ciekawości towarzyszyli Chambo-łamie. Przed wrotami świątyń widzieli młynki modlitewne, t. j. duże walce drewniane osadzone na osi pionowej, które na swej powierzchni miały nalepione wąskie pasma papierów z wypisanymi na nich modlitwami. Młynki te w czasie pogody obracał każdy wchodzący do świątyni łama, w czasie burz wichry obracały walce, wyręczając w ten sposób w modlitwie ludzi. Wnętrze świątyń przedstawiało się okazale. Naprzeciw drzwi wejściowych widać było ołtarz, na którym stał duży brązowy posąg Buddy, przed nim zaś mnóstwo lampek, napelnionych tłuszczem baranim, naczynia z różnymi płodami ziemi, kadzielnice i pęki świeczek ofiarnych, wyrobionych z wysuszonego rdzenia sitowia.

Przed ołtarzem znajdował się pięknie rzeźbiony, na czerwono

pomalowany fotel, na którym zasiadał *kambo-lama*, t. j. zastępca przeora. Na uboczu nieco zajmowała miejsce orkiestra, a na posadzce świątyni leżały w rzędach wołokowe poduszki, na których zasiadali lamowie z podwiniętymi pod siebie nogami. Ściany świątyni ozdobione były malowidłami straszliwych postaci, przedstawiających różne bóstwa i demony, ze sufitu zaś zwieszały się długie chusty jedwabne, na których w języku tybetańskim wypisane były modlitwy i zdania z ksiąg świętych.

Nabożeństwa trwały czasami po kilka godzin, i wtedy pomiędzy modlącymi się lamami uwijali się mali uczniowie klasztorni z pękami czajnikami, nalewając im gorący *czaj* do drewnianych miseczek. Starszy lama, mistrz ceremonji, przechadzał się podczas nabożeństwa po świątyni, bacznie szukając opieszalych w modlitwach i karcąc ich natychmiast uderzeniem kija przez plecy.

Chambo-lama, pełniący w klasztorze zaszczytne obowiązki *nierby*, t. j. zarządcy gospodarstwa klasztornego, pojawił się w swym domku dopiero po południu i wtedy uczył chłopców mongolskiego, albo też objaśniał im zwyczaje swego narodu.

— Powiedz mi, Chambo-lamo, skąd bierzecie tak wielu chłopców chętnych do wstępowania w mury klasztorne? — zapytał raz Stach... Stary lama uśmiechnął się i począł mówić:

— Czyż wy myślicie, że oni tu z własnej woli przybywają? O, wtedy pewnoby trudno było ze świecą znaleźć duchownego w stepach! W Mongolji panuje zwyczaj, że każda rodzina musi trzeciego syna oddać na naukę do klasztoru i zwyczaj ten stał się prawem. Chłopiec, przeznaczony do stanu duchownego, żyje do siedmiu lat w rodzicielskiej jurcie, ale na znak iż już jest poniekąd osobą duchowną, ubiera się w czerwone terłyki, włosy zaś ma krótko strzyżone w przeciwieństwie do

*char* (cywilnych), którzy zapuszczają warkocze.

W siódmym roku życia kandydat na ucznia, zwany *chuwarak*, zostaje oddany przez ojca do jednego z klasztorów i tu osiada zwykle na stałe, aż do ukończenia nauk. Przy wstąpieniu do klasztoru chuwarak otrzymuje nazwę *bañdi*, a równocześnie najniższe święcenia t. z. *gynin*. Przez pierwsze cztery lata *bañdi* znajduje się pod opieką starszego łamy i uczy się znaków pisma tybetańskiego, katechizmu i pierwszych modlitw. Po ukończeniu tej początkowej nauki składa śluby *rabdzen* i przez trzy albo cztery lata towarzyszy przy nabożeństwach, ucząc się ich praktycznie i teoretycznie.

Przy wstąpieniu na średni kurs nauki, trwający dziesięć lat, otrzymuje *rabdzen* święcenia *gicił*. Na średnim kursie uczą się łamowie filozofji i dogmatyki buddyjskiej, składając co roku egzamina, na podstawie których przypuszczani są do klas wyższych. Po dobrem ukończeniu tego kursu *gicił* otrzymuje wyższe święcenia *gehun* i prawo przejścia na kurs wyższy, gdzie nauka trwa lat dwadzieścia. Po skończeniu tego kursu, na którym łamowie uczą się na pamięć pięć tomów świętych ksiąg: Gañzur i Dañzur, mających po 700 kart prawie, łama otrzymuje tytuł *gebkui* i może spokojnie zaprzestać dalszej nauki. Zdarzają się jednak i tacy, co dalej chcą się kształcić. Ci jadą na naukę do Tybetu, gdzie po siedmiu latach studiów otrzymują tytuł *agrimba* i zostają profesorami w najwyższych uczelniach.

— Przecież ty, Chambo-łamo, jesteś emczi, w jakiz więc sposób posiadasz tę wiedzę, ucząc się filozofji? — zapytał Stach ciekawie.

— To bardzo prosta historia! Jako *bañdi* dostałem się na naukę do łamy lekarza i pod jego opieką kształciłem się na emczi. Potem wyjechałem do Tybetu, by wiedzę uzupełnić, a wreszcie po długich

wędrownkach po Indiach wróciłem do rodzinnego kraju i osiadłem tu w klasztorze Działchyńdza-chutuchtu.

— Wyjaśnij mi, Chambo, co to właściwie znaczy *chutuchtu* i *gegeń* — wtrącił Janek.

— *Chutuchtu* znaczy świątobliwy; określenie to, jak również słowo *gegeń*, to znaczy boski, dodaje się do imion tych łamów, którzy są *chubiłganami*...

— A cóż to takiego?!

— Chubiłganem jest człowiek, w którego wciela się dusza zmarłego chutuchtu. Jak wam pewno wiadomo, buddyści wierzą, iż dusza ludzka po śmierci ciała przechodzi w stworzenie żywe. Dusza grzesznika zaczyna zyciową wędrownkę od najpodlejszego stworzenia; dusza człowieka bogobojnego uszlachetnia się coraz bardziej, wreszcie dochodzi do takiej doskonałości, że zostaje *bodisatwą* t. j. świętą<sup>2</sup>). Otóż bodisatwa wstępuje w ciało takiego właśnie chutuchtu nato, by pomagać wiernym do zbawienia.

Prawie każde mongolskie i tybetańskie *churje*<sup>3</sup>) ma swego chutuchtu, który zależnie od ilości przerożeń jest mniej lub więcej czczony.

— W jaki jednak sposób dowiadujecie się, że ten a nie inny człowiek jest chubiłganem? — zawołali równocześnie obaj zaciekawieni słuchacze.

— Od tego właśnie są nasi łamowie-wróżbiarze, by znaleźć chubiłgana. Zwykle robią to w ten sposób, że z pomocą wróżb odnajdują dziecko urodzone w chwili śmierci chutuchtu i dziecku takiemu pokazują jakiś przedmiot ulubiony zmarłego. Jeżeli dziecię przedmiot ten pochwyci i oddać go nie chce, to znaczy, że wcielona weń dusza poznała swą własność. Takiego maleńkiego chubiłgana zabierają do

klasztoru, gdzie od chwili wkroczenia aż do śmierci pozostaje jako przeor chutuchtu.

— A cóż robicie z ciałem zmarłego?

— Jeżeli jest tak świętą istotą jak Bogdo-gegen lub Działchyńdza-chutuchtu, to po śmierci ciało jego zostaje zabalsamowane i złożone w specjalnie w tym celu wybudowanym *burchanie*<sup>4</sup>). Zwykłych łamów i char wywozi się po-prostu na step i pozostawia na pożarcie psom i wilkom...

— Jakto! Nie grzebiecie ich w ziemi?! — krzyknął oburzony Janek.

— Tego nam robić nie wolno — z uśmiechem odpowiedział Chambo.

— Wiara nasza surowo zabrania kopać ziemię. Dlatego też żaden Mongoł nie orze, żaden nie rozkopuje tak licznych w stepach chirchis-urów<sup>5</sup>), chociaż wiedzą wszyscy, że w nich znaleźć można rzeczy, za które Chińczycy i Rosjanie dobrzeby zapłacili.

Chłopcy zadumali się w milczeniu, a Chambo począł przyrządzać lekarstwa, mieszając różne zioła, trąc je na proszek i zawijając w różnokolorowe papierki.

Gdy już zbierali się do spoczynku, wpadł nagle do izby młody bańdi, spełniający usługi przy nierbie, i krzyknął zdyszczanym głosem:

— Karawana wielbłądów przybywa do churie!

Zaniewscy zerwali się z posłań, ale Chambo-łama zatrzymał ich w izbie, sam zaś poszedł dowiedzieć się, skąd karawana przybywa i dokąd zdąża. Po dobrej godzinie wrócił, prowadząc ze sobą krępego Mongoła, ubranego; w długą szubę i owczą kapuzę.

— *Sajn, sajn bajnu* (czy dobrze jest?) — powitał chłopców przybysz, sadowiąc się koło piecyka.

— *Sajn bajna, amerchan sajn* (jest dobrze, bardzo dobrze!) —

odpowiedział Stach stosownie do mongolskiego zwyczaju.

Chambo-łama postawił czajnik z herbatą na węglach, poczem wyjął z sakiewki pięknie rzeźbioną z nefrytu tabakierkę, wziął szczyptę tabaki w palce, tabakierkę zaś podał gościowi, który równocześnie swą tabakierę podał nierbie z głębokim pokłonem. Jest to zwykły ceremonjał powitalny, mający to samo znaczenie co zamienienie się fajkami, i praktykowany jest między duchowieństwem, któremu religja zakazuje palenia tytoniu.

Po wymianie zwyczajem mongolskim przyjętych pytań o zdrowie koni i bydła gość, przyglądający się bacznie Zaniewskiemu, zagadnął łamę:

— A więc o tych dwóch Orosach mówiłeś mi, wielce świątobliwy nierbo?

— To nie są Orosi, oni pochodzą z dalekiego kraju, gdzie słońce zachodzi. Ileż więc żądasz za przewiezienie ich do Ulasutaju?

— Po pięć czajów od głowy — odparł Mongoł spiesźnie.

— Pięć czajów! To być nie może! Oni mają swoje sarłyki, mają swoją żywność, a w drodze mogą polować i żywić wszystkich ludzi twej karawany. Dwa czaje aż nadto! — stanowczo dodał Chambo.

— Zważ, świątobliwy, że teraz włóczą się po stepach te przekłete Kitaje. Jak złapią tych Orosów w mojej karawanie, to mi cały towar zrabują! Wielkie ryzyko!

— Twoja głowa w tem, by gominów nie spotkać! Zresztą powiem ci w tajemnicy, że ci dwaj młodzieńcy są pod szczególną opieką Dża-łamy...

— Dża-łama nimi się opiekuje — krzyknął zdumiony, a również trochę przestraszony Mongoł. — Dostawię ich do Ulasutaju za dwa czaje, niech tylko wyproszą u swego opiekuna błogosławieństwo dla



nędznego Darchaczyna, dla którego wola świętego męża jest rozkazem!

Teraz Chambo-łama napisał szybko dwa egzemplarze umowy, na których wymienione było, że Darchaczyn podejmuje się w całości doprowadzić obu podróżnych do Ulasutaju, gdzie otrzyma zapłatę po dwa czaje od osoby. Umowa została podpisana przez Zaniewskich i Darchaczyna, który nie umiejąc pisać, przyłożył odcisk poduszki wskazującego palca, zamazanego w tuszu, poczem wypiwszy kilka czarek herbaty, pożegnał swych przyszłych podróżnych, oświadczając, że o świcie karawana rusza w dalszą drogę.

Chłopcy spakowali szybko skromne manatki i rzucili się spać, a Chambo-łama poszedł w stronę chińskich sklepów, skąd wrócił dopiero po dłuższym czasie z woreczkiem, zawierającym kilka funtów cukru, doskonałego pieczywa chińskiego i innych przysmaków, o które w jurtach mongolskich bardzo trudno.

Gdy o świcie chłopcy zerwali się z pościeli, czekało już na nich gorące śniadanie, a łama z pomocą bańdi siodłał sardyki i troczył sakwy podróżne.

Na obszernym placu, rozciągającym się między churje a majmaczynem, przygotowywała się karawana do odjazdu. Kilku Mongołów przewiązywało juki włosianemi arkanami, inni układali je na siodła położone między garbami wielbłądów, inni wreszcie osiodłane i objuczone wielbłądy podnosili z ziemi silnem szarpaniem za sznury, przytwierdzone do widełek przeciągniętych przez nozdrza zwierząt, zachęcając je do wstawania głośnem wołaniem: — *Jok, jok!* Okrzyki ludzi mieszały się z chrapliwym, skrzypiącym rykiem wielbłądów, z głośnem ujadaniem czeready psów klasztornych wyległych ze wszystkich zakamarków, czyniąc nieopisany hałas i rwetes. Z domków klasztornych

i z majmaczynu zebrali się łamowie i Chińczycy, przypatrując się wszelkim czynnościom zajętych pakowaniem ludzi, oglądając wielbłądy lub udzielając sobie rozmaitych spostrzeżeń. Przybycie lub odjazd karawany kupieckiej do jakiegokolwiek miejscowości w Mongolji jest zawsze sensacją. Cóż dopiero, jeśli karawana taka dostanie się do tak odległego od traktu handlowego miejsca, jak churje Działchyńdza-chutuchtu.

Gdy wreszcie już wszystko gotowe było do podróży, Mongołowie ustawili wielbłądy w szereg, przewodnik szarpnął pierwsze zwierzę za sznur i cała karawana, wolno kołysząc się, ruszyła w step ku południowi. Chłopcy, uściskawszy mocno ręce Chambo-łamy, skoczyli na siodła swych sartyków i poszli śladem karawany, żegnani głośnem, „Sajn!” nierby.

Przebywszy majmaczyn, a potem szerokie lodowe koryto Tesingołu, karawana Darchaczyna zagłębiła się w okolicę stepową pociętą jednak dosyć znacznymi wzgórzami i szerokimi dolinami. Lasów nie było prawie zupełnie, zaledwo tu i tam ciemniły się rzadkie gaje sosnowe, lub z pod śniegu sterczały zawsze zielone łodygi karagany i żółte kępy wysokiej; do sitowia podobnej trawy *derisun*.

Na stokach wzgórzy pasły się ogromne stada koni, bydła rogatego i owiec, odgrzebując nogami śnieg, z pod którego ukazywała się pożółkła zamarznęta trawa. Chłopcy zauważyli jednak, że przeważnie zwierzęta te były bardzo chude i osłabione głodem.

Nie było w tem nic dziwnego. Mongołowie dla stad swoich nie przygotowują paszy na zimę, nie budują obór, zabezpieczających bydło od chłódów zimowych, lecz trzymają je zimą i latem w stepie, pozostawiając własnej zaradności poszukiwanie paszy. W lecie i w

jesieni, gdy trawy są wysokie i pożywne, bydło wygląda znakomicie, ale w zimie podczas wielkich mrozów i śnieżyc nierzadko po kilka dni nie jest w stanie wygrzebać sobie z pod stwardniałego śniegu trawy i często zdarza się, że ze stada, liczącego kilkaset sztuk, doczeka wiosny zaledwo kilka.

Troska o przezimowanie stad jest w Mongolji tak wielka, że nawet przy powitaniach pytają wpierrw o zdrowie i stan bydła, potem dopiero o zdrowie gospodarza i jego rodziny. Także przy określaniu odległości Mongoł zawsze zaznacza, że do tej lub innej miejscowości potrzeba np. dwa dni jazdy „koniem letnim”, „zimowy” bowiem przestrzeń tę przebędzie ze względu na słabość w czasie trzykroć dłuższym. Często przy stadach owiec Zaniemscy widzieli małe grupki wspaniałych *argali*, baranów skalnych, i bunów t. j. kozłów skalnych, które nie mając widocznie pożywienia w górach, schodziły, aż tu w doliny. Zwierzęta te pasły się w najlepszej komitywie ze stadami, a na widok karawany i ludzi odchodziły wolno w bok, nie okazując żadnego strachu. Nierzadko też spotykali stada antylop *dzereni*, mających ciekawy zwyczaj przebiegania podróżnym drogi.

Największy jednak podziw budziły w młodych wędrowcach olbrzymie, bo czasem kilkanaście tysięcy sztuk liczące stada *jemanów* czyli kozłów stepowych, które w poszukiwaniu pastwisk wędrowały z miejsca na miejsce, pozostawiając za sobą szeroko ubite drogi.

Darchaczyn, zachęcający zwykle chłopców do polowania na argale, buni i dzerenie, sprzeciwił się stanowczo chęci ich odstrzelenia kilku sztuk jemanów, mówiąc:

— To są zwierzęta bardzo płochliwe, ale mają zwyczaj uciekać w to miejsce, skąd strzał pochodzi, W lecie, gdy jemany pasą się po kilka

sztuk, ułatwia to polowanie, w zimie jednak takie ogromne stado stratuje nie tylko myśliwego, ale nawet całą karawanę. Bywały wypadki, że żołnierze chińscy, spotkawszy takie stado, otworzyli do niego ogień karabinowy, zabili nawet kilkadziesiąt sztuk, ale sami potem zginęli pod raczkami panicznym strachem ogarniętych zwierząt. Kto chce w zimie polować na jemany, powinien przeczekać, aż główne stado przejdzie, i strzelać tylko do pojedynczych sztuk, idących daleko w tyle. Ale i to nie jest zbyt bezpieczne, gdyż za stadami idą zwykle gromady wilków, mogące być czasem i dla myśliwego niebezpieczne.

## ROZDZIAŁ XV.

### TAJEMNICZA MISJA.

Po pięciu dniach podróży weszła karawana w szeroką dolinę, obramowaną dwoma ramionami gór Changaj. Dolina ta miała przeszło trzydzieści kilometrów szerokości, a ciągnęła się w kierunku południowym na przestrzeni blisko dwustu kilometrów, dając przytułek tysiącom stad bydła i koni, pasących się spokojnie na trawach, pokrytych cieniuchną warstwą śniegu. Na stokach odłogów, wystawionych ku południowi, widać było liczne jurty mongolskie, z których czasami podjeżdżali do karawany Mongołowie, prowadząc z Darchaczynem tajemne rozmowy. Wynikiem tych na osobności prowadzonych rozmów był zwykle krótki postój karawany, w czasie którego dwa, a czasem trzy juki zdejmowano z wielbłądów, odwożono je do jurt, skąd wkrótce przywożono wzamian inne. Stach, biorący żywy udział w życiu karawany, nieraz podczas wieczornych postojów pomagał ludziom Darchaczyna juki te zdejmować; zauważył, iż te, które odwożono do jurt, były bardzo ciężkie, przywożone zaś z jurt — stosunkowo bardzo lekkie. Badając przyczynę tego, włożył raz podczas wieczornego postoju palec w przedarty wołok, którym juki były zawinięte, i ku ogromnemu zdumieniu stwierdził, że zawierają one broń palną oraz skrzynki z nabojami.

Nie ulegało wątpliwości, że karawana Darchaczyna rozwoziła broń

po jurtach, a dla zachowania pozorów, iż jest karawaną kupiecką, zabierała z jurt sierść i wełnę. Widoczne było również, że Darchaczyn działał w imieniu jakiejś organizacji niepodległościowej, rozwiniętej szeroko w kraju, bo bez żadnych trudności zamieniano mu zmęczone wielbłądy na wypoczęte, dostarczano wszelkiej żywności, nawet na miejscach, gdzie miał nastąpić nocleg, przygotowywano opał na ogniska. W bezleśnych stepach Mongolji bardzo jest trudno o opał. Rolę środków opałowych pełni tu nie drzewo, lecz przeważnie suszony nawóz, zwany *argalem*.

Pewnego jednak wieczora, gdy już mieli dojeżdżać na miejsce odpoczynku, zobaczyli pędzącego w ich stronę co koń wyskoczy Mongoła, który zrównawszy się z karawaną, rzucił Darchaczynowi żółtą chustę, a sam, nie zwalniając nawet biegu, pognął dalej. W tej samej chwili Darchaczyn skierował wielbłądy na wschód i szedł w tym kierunku całą noc bez wypoczynku, zatrzymując się dopiero o świcie już u podnóża lewego ramienia łańcucha Changajskiego.

— Czemu to zmieniłeś, Darchaczynie, tak nagle kierunek drogi i pędziłeś wielbłądy przez całą dobę, kiedy wiesz dobrze, że robić nie powinny więcej jak 25 km dziennie? — zapytał Stach, gdy wtuleni w głęboki wąwóz zasiedli przy ognisku.

Mongoł milczał dosyć długo, namyślając się widocznie nad odpowiedzią, wreszcie wycedził niedbale przez zęby:

— Dano mi znać, że żołnierze chińscy jadą *urtonami*<sup>1)</sup> z tamtej strony doliny, przez wzgląd na was zбочyłem z drogi...

— Przez wzgląd na nas? — zaśmiał się Stach. — Myślę, że prędzej boisz się o swe juki, w których broń wiesziesz!

Twarz Mongoła skurczyła się raptownie, a z za wąskich warg

błysnęły białe zęby jak kły wilcze. Nieznacznym ruchem wsadził dłoń za pazuchę kozucha, pod którym dosyć wyraźnie odbijał się kształt dużego rewolweru. Nim jednak zdołał wyciągnąć broń, Stach, uważający na każdy ruch Mongoła, chwycił go silnie za rękę i szarpnął tak gwałtownie, że rewolwer wysunął się z za poły i wypadł na ziemię. Darchaczyn kocim ruchem przegiął się, wyciągnął lewą ręką nóż z za pasa i już miał uderzyć nim w pierś chłopca, gdy nagle oczy rozwarły mu się w przerażeniu i z głośnym okrzykiem: „*Om mani padme hum*” (Skarb jest ukryty w kwiecie lotosu) padł przed Stachem na kolana.

Chłopak stał spokojnie, trzymając na wyciągniętej dłoni srebrny talizman, подарowany mu przez Dża-łamę.

— Przebacz, przebacz — jęczał Darchaczyn — nie wiedziałem, że najświętszy ze świętych, potężny Bogdo-gegen ma cię w swej opiece!

Ludzie Darchaczyna, uporawszy się ze zdjęciem juków z wielbłądów, podeszli do ogniska właśnie w chwili, gdy ich pan ukląkł przed Stachem, i zobaczywszy święty przedmiot na dłoni chłopca, padli również na kolana, nie śmiejąc podnieść oczu. Janek zdziwiony tym widokiem stanął na uboczu, nie wiedząc, co robić.

— Wstań! — rozkazał Stach Darchaczynowi.

Gdy ten się podniósł, chłopak nauczony przez Chambo-łamę w klasztorze, zdjął z Mongoła czapkę i trzykrotnie potarł talizmanem po jego głowie, poczem to samo uczynił i z resztą ludzi. Mongołowie z największą czcią schylili się znów do kolan chłopca, który zawołał:

— Rozpalcie drugie ognisko na uboczu i przygotujcie posiłek, a tu ze mną pozostanie Darchaczyn i mój brat! Otrzymaliście błogosławieństwo świętym talizmanem Bogdo-gegena, niech więc spokój wstąpi w serca wasze!

Mongołowie rzucili się co rychlej spełnić rozkaz, tylko Darchaczyn z miną obitego psa klęczał wciąż jeszcze przed Stachem.

— Wstań, Darchaczynie, i posłuchaj, co powiem — rzekł chłopiec, przywołując ręką Janka. A gdy Mongoł usiadł, zapytał:

— Dlaczego mię chciałeś zabić?

— Mam rozkaz zabicia każdego, ktoby odkrył tajemnicę juków.

— Więc ci, którym po drodze rozdawałeś broń, są wtajemniczeni?

— Tak!

— Kto cię posłał z tą karawaną?

— Tego nie wolno mi nawet przed tobą wyjawić,...

— Dża-łama? Nieprawdaż? — przerwał cicho Stach.

Mongoł nie odpowiedział, ale ze zdziwienia, przebijającego się z jego oczu, wniósł chłopak, iż przypuszczenie było słuszne.

— Ten oto talizman podarował mi Dża-łama. Widzisz więc, że jesteśmy jego przyjaciółmi. Powinieneś być z nami zupełnie otwarty, bo my nietylko cię nie zdradzimy, ale jeszcze pomożemy ująć przed Chińczykami. Powiedz, co oznaczała ta żółta chusta, którą ci rzucił przejeżdżający Mongoł?

— To był znak, że gomini wiedzą już o mojej karawanie i oczekują jej koło trzeciego urtonu.

Stach zamyślił się, a potem jął mówić do towarzyszy:

— Trzy urtony to jest 75 km. My robimy dziennie 25 km, więc na trzecim urtonie powinniśmy stanąć dopiero pojutrze wieczorem. Wątpię, aby gomini tak długo czekali na jednym miejscu. Prawdopodobnie wysłali patrol, który jadąc na wierzchowych wielbłądźicach, powinien być na miejscu naszego zejścia z traktu za ośm godzin, Zimowemi końmi



można również przebiec trzy urtony na dzień, a więc gomini już wiedzą o naszym zniknięciu, bo nie należy przypuszczać, by przeoczyli świeże ślady pozostawione przez naszą karawanę. Biorąc to wszystko pod uwagę, dzisiaj koło południa powinniśmy mieć Chińczyków na karku. Cóż ty na to, Darchaczynie?

Mongoł milczał, ale widać było, że dowodzenie chłopca wywarło na nim wrażenie.

— Cóż zrobisz, aby karawanę uchronić od Chińczyków? — zapytał znowu Stach.

— Jedyna rada to zakopanie broni w śniegu, bo na lewym ramieniu Changaju nikt nie koczuje. Tu step tak kamienisty, że trawy niema zupełnie, a nas zbyt mało, by gominom stawić opór zbrojny — odparł Mongoł z nutą troski w głosie.

— A potem?

— Potem skierować karawanę w dolinę i po spotkaniu Chińczyków, którzy nic w jukach nie znajdują, wrócić po ładunek!

— Głupstwa mówisz, Darchaczynie! Gomini nie są tak niemądrzy, by dali się wywieść w pole, mając pewne wiadomości o przewozie broni. Będą jej szukali, a jak cię złapią, to potrafią mękami wydobyć prawdę. Mam inną myśl! Dasz mi te dwie wyścigowe wielbłądzice, co idą z naszą karawaną, oraz wielbłądy naładowane sierścią. Pójdę z nimi krajem doliny i pociągnę za sobą Chińczyków, ty zaś z resztą karawany skryjesz się tymczasem w górach, a potem z wypoczętymi już zwierzętami ruszysz tam, gdzie pozostała broń masz oddać!

— A jeśli nas Chińczycy złapią i zobaczą, że niema broni, to znów wrócą za śladem i odkryją karawanę Darchaczyna — ozwał się Janek.

— O to niema obawy. Już my do tego nie dopuścimy! Teraz jednak,

Darchaczynie, daj nam dwa karabiny i paczkę naboju, bo nasze strzelby myśliwskie niezbyt daleko niosą. Każ również objuczyć sierścią najsilniejsze wielbłądy. Sarłyki nasze zostaną u ciebie, odprowadzisz je do Ulasutaju, albo...

W tej chwili wpadło w wąwóz kilku Mongołów na spienionych koniach. Już zdaleka potrząsali trzymanemi w rękach długimi żerdziami, a dopadłszy obozowiska, zeskoczyli spiesznie z siodeł i krzycheć jęli do Darchaczyna:

— Uciekajcie! Kitajcy idą waszym śladem. Konie mają zmęczone, bo *ułaczeni* (pastuchy) ugnali z urtonu co najlepsze wierzchowce i wielbłądy w step, ale nim słońce wzejdzie na południe, będą tutaj! Gomini tak się zezłościł, nie znalazłszy świeżych koni na urtonie, że zbili *taszurami* (kijami z bambusu, oplecionymi rzemieniem) *dzangina* (pułkownika) prawie na śmierć!

— Ilu Chińczyków jedzie? — zapytał Stach jednego z przybyłych.

— Dwa dziesiątki Kitajów i dziesiątek Czacharów<sup>2</sup>). Ale Czacharowie pojechali łowić konie na tamtą stronę Changaju i przyjechać tutaj mogą dopiero wieczorem. Ułaczen, który ich przyprowadził, opowiada, że Czacharowie mają jechać do Ułankomu, więc pewno nie zechcą nakładać takiego kawała drogi.

Stach odprowadził na bok Darchaczyna, który po krótkiej rozmowie, pobiegłszy do karawany, szybko wydał rozkazy swym ludziom. Paki z bronią i amunicją najuczono na oba sarłyki Zaniewskich i kilka słabszych wielbłądów, a lekkie juki przytroczono do siodeł zwierząt najlepszych i najbardziej wypoczętych. Potem uzbrojono wszystkich Mongołów w broń palną i wkrótce część karawany wraz z przybyłymi ruszyła w kręte wąwozy Changaj. Stach zaś z Jankiem i jednym

Mongołem pozostali z drugą częścią karawany na dawnym obozowisku, będąc gotowi każdej chwili do drogi.

Czekali długo, leżąc na wysokim wzniesieniu i pilnie bacząc na dolinę. Wreszcie po kilku godzinach zobaczyli wdali ciemną grupkę, zbliżającą się powoli od strony zachodniej, śladem wybitym w nocy przez karawanę Darchaczyna.

— To Kitaje — szepnął Mongoł, mający jak każdy mieszkaniec stepów wzrok niezmiernie bystry.

— Jedziemy! — skomenderował Stach i, pociągając za sobą Janka, zbiegł szybko z pagórka ku swym wielbłodom.

Nie upłynęło dziesięciu minut, a już mała karawaną wyszła, z wąwozu i wolno dążyć poczęła ku południowi. Wypoczęte wielbłądy szły rażno pod lekkimi jukami, a młode wielbłądzice, na których jechali Zaniewscy, raz po raz z powolnego kroku zrywały się w długi kłus. Mongoł Dendyb, towarzyszący chłopcom, jechał wtyle karawany, nucąc jakąś monotonną piosnkę stepową.

Gdy oddział Chińczyków zbliżył się o tyle, że gołem okiem można było policzyć jeźdźców, Stach karawanę zatrzymał na chwilę, potem zwrócił ją ku góróm, a po jakimś czasie znowu w dolinę, przynaglając wielbłądy do szybkiego biegu. Manewr ten, wykazujący niepewność ruchów, tak znakomicie był wykonany, że Chińczycy dali się wciągnąć w pułapkę i co tchu w koniach gonić poczęli za uchodzącą karawaną.

Gonitwa trwała dość długo. Chińczycy, mając widocznie bardzo zmęczone konie, nie mogli dopędzić uciekających. Tropili jednak tak wytrwale zbiegów, że Stach począł się niepokoić, juczne bowiem wielbłądy nieprzyzwyczajone do kłusu, męczyły się coraz bardziej, potykały i zaczęły ustawać.

— Żeby tylko wytrzymać do wieczora! Przez ten czas odciągniemy pogoń w step daleko i Darchaczyn spokojnie ujdzie z bronią.

— Powiedz mi, Stachu, dlaczego wdałeś się w tak niebezpieczną grę. Czyż Mongołowie samiby sobie nie poradzili? — zapytał Janek.

— Wątpię! Widziałeś przecie, że Darchaczyn stracił zupełnie głowę. Chińczycy byliby nas schwytali wraz z karawaną i rozstrzelali wszystkich bez sądu. Zresztą Mongołowie chcą walczyć o wolność swej ojczyzny, a my mamy obowiązek im w tem pomóc!

— A jeśli Chińczycy nas dogonią?

— To się stać nie powinno! Musimy wodzić prześladowców do wieczora po stepie. Konie ich już pewno ledwo dyszą, więc w nocy ścigać nas nie będą. Damy Darchaczynowi całą dobę czasu, a myślę, że to powinno wystarczyć, bo Mongołowie z tamtej strony Changaju przyjdą mu z pomocą.

Tymczasem oddział chiński zbliżał się do zbiegów coraz bardziej, wielbłądy zaś Stacha poczęły wypluwać z pysków żółte płyty piany — znak ostatecznego zmęczenia — i zwalniać biegu, Wierzchówki Zaniewskich rwały naprzód, ale chłopcy stosowali ich krok do kroku zwierząt jucznych, zachowując siły wielbłądzic na wypadek bliskiego niebezpieczeństwa. Stach, jadąc teraz z tyłu karawany, pilnie obserwował ruchy pogoni. Kilku Chińczyków, mających widocznie lepsze konie, wysforowało się naprzód i zbliżyli się tak, że widać było ich błękitne mundury, okrągłe czapy futrzane, a nawet lufy karabinów, sterczących za plecami.

— Jeszcze pół godziny i już nas mieć będą w rękach — pomyślał chłopiec, postanawiając za wszelką cenę przedłużyć pościg do wieczora. Wstrzymał wielbłąda zdjął karabin z pleców i podniósł go do oka, Ruch

ten nie uszedł uwagi bystrych oczu żołnierzy, bo natychmiast zdarli wędzidłami rozpędzone rumaki i, zatrzymawszy się w miejscu, zeskoczyli z koni, poczęli spiesznie zdejmować karabiny i ładować je. Stach zwrócił swoją wierzchówkę do ucieczki, a Chińczycy, dawszy kilka nieszkodliwych strzałów za zbiegiem, znowu poczęli się gramolić na siodła. Nie szło to im łatwo, bo przestraszone hukiem konie stepowe stawały dęba i biły tylnymi nogami, Gdy chłopiec dopędził karawanę, Chińczycy połączyli się już w jeden oddział. Ale widocznie groźna postawa zbiega nauczyła ich rozsądku, nie jechali bowiem dalej w zbitej gromadzie, jeno utworzywszy długą tyraljerę i puściwszy konie wskok, pognali za uciekającymi.

W tejże prawie chwili Dendyb wybuchnął radosnym śmiechem i wskazał chłopcom przed siebie w step, wołając:

— Prędzej! prędzej! Tam nasz ratunek!

Zaniewscy poszli wzrokiem za śladem wyciągniętej ręki Mongoła, ale oprócz kilkunastu ogromnych gryfów czyli jastrzębi mongolskich, zataczających w powietrzu szerokie koła, oraz gromady wrzaskliwych kawek czerwodziobych nic nie zauważyli.

— Tam, tam, tam jemany! dużo jemanów! — krzyczał uradowany Dendyb, zmuszając uderzeniami taszura wielbłądy do biegu.

Zwierzęta, dobywając ostatnich sił, pomknęły jak wichry. Przebiegłszy prawie kilometr, zobaczyli olbrzymie stado j emanów, przecinające z wolna dolinę ze wschodu na zachód. Zwierzęta szły w tak wielkiej ilości, że zajmowały przestrzeń prawie kilometr długą, a dobre pół szeroką. Nad zbitą lawiną tej ruchliwej rzeszy przelatywały z żalostnym kwileniem gryfy, upatrując widocznie słabsze sztuki, gromady kawek bezceremonjalnie siadały na białych grzbietach kozłów, skubiąc

czerwonemi dziobami gęstą sierść, bokami przemykały małe popielate wilki stepowe, wysoko w powietrzu pławiły się olbrzymie orły, gdzieś zdała przylatywały czarne sępy. Step ożył, zabrzmiał wrzaskliwymi głosami ptaków, radujących się w przeczuciu uczyty.

Dendyb tak zręcznie przeprowadził karawanę, że wielbłądy przebiegły drogę jemanom prawie w chwili, gdy Chińczycy zbliżyli się na jakieś dwieście kroków do stada. Między uciekającymi a pogonią stanął żywy mur, o którego przebyciu nie mogło być nawet mowy, gonitwa zaś naokoło stada była wprost nie do pomyślenia. Czy Chińczycy nie znali zwyczajów jemanów, czy też za wszelką cenę postanowili karawanę osadzić na miejscu, a może poprostu przebić się chcieli przez tę żywą zaporę, dość że nie namyślając się długo, dali do jemanów jedną, drugą i trzecią salwę. Stado zakołysało się, poruszyło gwałtownie jak fale morza wzburzone silnym wichrem — i nagle w największej panice runęło na niefortunnych strzelców niby olbrzymia lawina. Konie mongolskie przeczuły snąć niebezpieczeństwo, lub też poprostu przestraszone strzałami zawróciły na miejscu i gnać poczęły z kopyta, unosząc na grzbietach jeźdźców, bezradnie wymachujących rękami. Wkrótce majaczyły tylko sylwetki koni rozproszone po stepie, a jemany, pozostawiwszy po sobie kilkaset trupów, zatrzymały się po pewnym czasie, poczem zwróciwszy się ku zachodowi, iść poczęły zwolna w poszukiwaniu pastwisk.

— No, teraz mamy już spokój! — zawołał uradowany Dendyb. — Kitaje szczęśliwie uszli przed jemanami, ale ich konie nie pójda już daleko. Był to ostatni wysiłek, po którym nic już koni do biegu nie zmusi! Piechotą pójda gomini przez całą noc do urtonu, bo nie mieli ze sobą jucznych koni z żywnością ani *majchanami* (namiotami), a sądząc po ich nierozważnem zachowaniu się z jemanami, nie znają stepu i bać

się będą pozostawać w dolinie na noc.

— A cóż my teraz zrobimy? — zapytał Janek.

— Musimy dać odpocząć wielbłądom, bo na to rzetelnie zarobiły, a samym też wypada się posilić. Trzeba wziąć jednego z tych zabitych kozłów, bo do wieczora sępy i wilki wszystko nam zjedzą.

Już po niedługiej chwili wielbłądy wolne od juków pasły się, objadając cierniste krzaki karagany, rosnącej w dolinie w wielkich ilościach, a chłopcy zajęli się przygotowaniem pieczystego z tęgiego kozła, Dendyb zaś ścinał łądygi karagany, podniecając ogień tym niezwykle żywicznym krzewem.

Wdali na stepie ucztowały w tym samym czasie sępy i wilki, a gdy już wieczór począł zapadać, ptaki ociężałe poleciały do górskich kryjówek, pozostawiając resztki dla drapieżników nocnych.

— Trzebaby nasze wielbłądy przygonić tu bliżej do ognia, by wilki ich nie porozdzierały — szepnął Janek, wsłuchując się w głośnie wycia, które dochodziły ze stepu.

— Niema się czego obawiać — odparł Dendyb. — Wilki mają zbyt wiele roboty koło jemanów, by rzucać się na *temeny* (wielbłądy), których się nawet obawiają. Nasze wilki stepowe to wielkie tchórze! Napadają wielkimi gromadami na stada koni, owiec i *chulanów* (dzikich osłów) tylko wtedy, gdy tam znajdują się młode i gdy człowieka niema w pobliżu. Do wielbłąda, nawet bardzo słabego, boją się zbliżyć i czekają, aż zginie.

— A więc i tym Chińczykom, co tam pozostali w stepie, nie zagraża niebezpieczeństwo — westchnął z ulgą Janek, a po chwili dodał: — Nie chciałbym jednak, by z naszej przyczyny mieli zginąć!

Dendyb patrzył na Janka, jakby nie mogąc zrozumieć myśli ukrytej w

jego słowach, a wreszcie krzyknął:

— Miękkie masz serce, młody nojonie, boś jeszcze nie widział, co Chińczycy u nas robią! Nie widziałeś, jak gomini katują Mongołów taszurami, jak zakuwają ich w dyby i rzucają do lochów, gdzie szczury żywcem pożerają więźniów! Nie wiesz, ile głów spadło za to tylko, że Mongołowie śmieli myśleć o wolności swego narodu! Ojca mego, chociaż był tośłykczi-tajdzi<sup>3</sup>), wywieźli do Pekinu i tam stracili za to, że nie chciał na swój *choszun* (księstwo) nałożyć nadmiernych podatków. Zabrano nam tabuny koni i bydła, matkę moją otruto, a ja ocalałem tylko dzięki Dża-łamie, który wykradł mię z rąk gominów i oddał na wychowanie do swojego przyjaciela, mieszkającego w okolicach Kosogołu! Więc mam może teraz oszczędzać Kitajów? Niech tylko śniegi znikną ze stepów, niech się tylko trawa pokaże, a zobaczycie, co Mongołowie potrafią!

To powiedziawszy, Dendyb wstał i ruszył ku zbyt daleko odchodzącym w step wielbłodom, a Stach w zamyśleniu szeptał do brata:

— Patrz, jak podobne losy do naszej ojczyzny przeżywa Mongolja! Nas gnębili Moskale i Prusacy, więzili i wieszali dobrych patryjotów, setki wysyłali na Sybir, męczyli, torturowali, a tu w tym dzikim kraju to samo robią z Mongołami Chińczycy. Tylko gdy ojców naszych do walki zagrzewały świetne tradycje, poczucie wyrządzonej krzywdy, tu tradycje osłonięte zostały mrokiem zapomnienia, krzywdy przyjmowano ze wschodnim fatalizmem i trzeba było dopiero obcych ludzi — boć przecie Dża-łama jest Kałmukiem — by w tych koczownikach obudzić chęć do walki, chęć do zrzucenia obcego jarzma, by im wbić w ciemne otumanione lamaizmem głowy, że są przecie narodem, z którego wyszedł najgenjalniejszy wojownik świata, twórca największego



państwa, jakie kiedykolwiek istniało, wielki Czingis-chan.

## ROZDZIAŁ XVI. W SZPONACH BURANU.

Różowy świt zastał karawanę Stacha w stepie daleko od miejsca nocnego obozowiska. Szeroka dolina zwężała się coraz bardziej, aż wreszcie rozdzieliła się w cały szereg obszernych wąwozów okolonych wysokimi wzgórzami, rzadko tylko tu i tam porośniętymi nikłymi laskami sosnowymi. Im bardziej pofałdowana wzniesieniami była okolica, tem częściej pokazywały się grupy jurt, ustawione już to w głębiach wąwozów, już na południowych stokach wzgórz, zasłonięte od silnych i mroźnych wiatrów północno-wschodnich, które w tej okolicy najuporczywiej przeciągały.

Wraz ze stadami owiec, grzebiących śnieg na stokach, widzieli wędrowcy niewielkie stadka ogromnych burych *kaczkorów*<sup>1)</sup>, baranów górskich, różniących się od argali innem nieco osadzeniem olbrzymich rogów, a kilka razy spostrzegli spore stada chułanów, które z niesłychaną zwinnością wbiegały na dosyć znaczne wzniesienia i tu bez żadnej obawy mieszały się z tabunami koni.

Stach nie chciał początkowo zajeżdżać do jurt. Nastawał nawet, by karawanę zwrócić więcej na wschód w okolicę bardziej górzystą, a więc pewno mniej ludną, ale Dendyb odradzał stanowczo, dowodząc, że właśnie w zimie Mongołowie chętniej z dolin ściągają w góry, bo z nich wiatry zwiewają śniegi. Powtóre, okolica, którą przejeżdżali, była dosyć

daleko od traktu urtońskiego, ten bowiem znajdował się po prawej stronie łańcucha Changajskiego. Tutaj też nie należało obawiać się pogoni, Chińczycy bowiem w zimie niezbyt chętnie oddalali się od traktów.

Mimo tak przekonywających argumentów karawana omijała nadal siedliska ludzkie i nocowała pod gołym niebem, aż wreszcie wyczerpujące się zapasy żywności zmusiły ją do zatrzymania się w bezpośrednim sąsiedztwie bogatych jurty. Ogromne, czarne, kudłate psiska niezbyt gościnnie przywitały wędrowców, skacząc wielbłdom do gardzieli, ale wnet z jurty wybiegło kilku mężczyzn, którzy odpędziwszy brytany, zdjęli z siodła juki, odgarnęli śnieg i na trawie ułożyli wielbłądy, poczem Zaniewskich i Dendyba zaprosili do obszernej i czystej jurty.


— Zostawcie taszury u siodła! — upomniał Dendyba swych towarzyszy, widząc, iż ci z batami chcą wejść do wnętrza. — U nas wejście do jurty z taszurem oznacza nieprzyjazne zamiary względem gospodarza. Karabiny wziąć można ze sobą, ale trzeba je zaraz oprzeć o ścianę, a nie trzymać w rękach, inaczej bowiem nic tu nie dostaniemy.

Zaniewscy zastosowali się do rady Dendyba i weszli do jurty. Była ona bardzo obszerna i czysta, świadcząc o dobrobycie mieszkańców. Przy okrągłej ścianie naprzeciw drzwi wejściowych stał *burchanai-szire*, czyli ołtarzyk domowy, wymalowany jaskrawymi farbami, a na nim widać było niewielki posążek Buddy otoczony mnóstwem mosiężnych czarek. Z ołtarza zwisało kilka błękitnych *chodaków*<sup>2</sup>), a w szerokich brązowych kadzielnicach tliły pęki świeczek ofiarnych. Wokoło ścian z prawej strony ołtarza stały rzędem niewielkie, czerwono malowane skrzynie, z lewej zaś strony stało niskie łóżko mongolskie z wałkami

zamiast poduszek, a za łóżem, bliżej ku drzwiom, widać było statki gospodarstwa kobiecego, a więc: kotły, czajniki, skórzane wory na kumys i mleko. Zamiast podłogi— zaścielały ziemię grube wojłoki, a w samym środku jurty stał ozdobny żelazny tagan (trójnóg), pod którym tlił ogień z argału. Przy taganie siedział stary Mongoł, ćmiąc długą fajkę, koło kotłów krzątały się dwie kobiety, a obok nich bawiło się kilkoro dzieci zupełnie nagich mimo panującego w jurcie przejmującego zimna.

— Sajn bajnu! — powitał Stach obecnych.

— Sajn bajna! — odparł poważnie stary Mongoł, wskazując chłopcom miejsce obok siebie. Po prawej stronie Stacha zasiadł Janek, a dalej Dendyb, Wedle bowiem zwyczaju mongolskiego najpocześniejszy gość zajmuje miejsce naprzeciw drzwi wejściowych tuż pod burchanai-szire, inni zaś stosownie do swych godności zajmują miejsca dalsze aż do drzwi. Kobiety zasiadają przy ognisku z lewej strony jurty w tak zwanej części kobiecej, przez którą obcym przechodzić nie wolno.

Stach podał gospodarzowi kamienną tabakierkę, którą od pobytu w churje Działchyńdza-chutuchtu stale nosił przy sobie, i wkrótce z pomocą Dendyba nawiązał zwykłą rozmowę, wypytujac o stan zdrowia tabunów. Gospodarz odpowiadał grzecznie, ale goście zauważyli, że wciąż spoglądał ukradkiem na karabiny, stojące pod ścianą. Gdy kobiety postawiły czajniki z herbatą na węglach ogniska, Dendyb cybuchem swej fajki rozgarnął popiół i narysował na nim znak  powtarzający się często w mongolskich motywach ornamentacyjnych.

Na widok tego znaku gospodarz jurty roześmiał się radośnie i krzyknął do kobiet:

— Podajcie do czaju urum i masło, a niech-no która skoczy na dwór, by parobcy przywieźli tłustego barana!

Młodsza kobieta wybiegła spiesźnie, dzwoniąc srebrnymi zausznicami. I wnet posłyszano donośny jej głos, wzywający kogoś. Starsza zaś, postawiwszy koło ognia niewysoką skrzynkę, włożyła na nią i od prętów, okalających na powale otwór dymowy, jąta odwiązywać żołądki wielbłądzie, w których Mongołowie przechowują zwykle masło i ostry twaróg, zwany *taryk*. Stary Mongoł podszedł tymczasem do Dendyba i zapytał o coś szeptem, na co tenże odpowiedział przytakującym skinieniem głowy.

— A to doskonale! — śmiał się gospodarz, siadając na swoje miejsce,  
— Toście doskonale wybawili Darchaczyna z opałów!

Chłopcy ze zdziwieniem spojrzeli na Mongoła, a ten śmiejąc się mówił dalej:

— No tak! My tu już wiemy o wszystkim! Ho, ho! W Mongolji wieści idą lotem strzały! Nie wiedziałem tylko, że to wy właśnie tak zgrabnie urządziliście Kitajów. Dopiero ten znak, narysowany przez Dendyba, powiedział mi, że i wy należycie do wtajemniczonych. Jesteście najmilszymi gośćmi! W jurcie starego Tuguna nic wam nie zagraża.

— Skądże wy jednak wiecie o Chińczykach i Darchaczynie? — zapytał Stach.

— Nie znasz widocznie Mongolji, młody nojonie! Dla Mongoła step nie ma żadnych tajemnic. Jeśli tylko ktoś zobaczy coś godnego uwagi, wnet wiadomość poniesie do najbliższego sąsiada, ten poda ją dalej, i tak w przeciągu kilku dni cały kraj wie o wydarzeniu, Ale Mongołowie wiedzą, co komu można powiedzieć, i tajemnicy nigdy wrogowi nie zdradzą. Darchaczyn jest moim przyjacielem jak również Dża-lama...

— To doskonale się składa! — zawołał radośnie Janek — bo my

będziemy mogli pozostawić tu juczne wielbłądy i sami prędzej pojedziemy do Ulasutaju.

— Oczywiście! — rzekł gospodarz — chociaż radbym takich gości zatrzymać u siebie dłużej. Zostawicie juki i wielbłądy tutaj, a Darchaczyn odbierze je, kiedy zechce. Mogę wam dać z moich tabunów takie wierzchówki, że za dwa lub trzy dni będziecie w mieście. Musicie jednak zajechać tam we dnie, bo przez całą noc gominowie strzegą bram miasta i każdego obcego prowadzą na przesłuchanie do twierdzy. Dam wam zresztą dobrego przewodnika...

— Ja z nimi pojedę — wtrącił Dendyb — znam dobrze drogę, bo często bywałem w Ulasutaju.

— A więc rzecz załatwiona! Rozgośćcie się jak najwygodniej, ja tymczasem dopilnuję, by juki złożono w jednej z jurt moich, oraz dam polecenie, by o świecie przygotowano dla was wielbłądy.

Rzekłszy to wyszedł Tugun wraz z Dendybem na dwór, chłopcy zaś przyglądali się z ciekawością ludziom, wchodzącym do jurty. Mężczyźni byli przeważnie średniego wzrostu, krępi, silnie zbudowani, ale jakoś niezbyt, pewnie trzymali się na kabłąkowatych nogach; widać było, że lepiej i bezpieczniej czują się w siodłach, na których spędzają prawie całe życie. Ale kiedy strój mężczyzn w niczem nie różnił się od stroju Sojotów, ubiory Mongołek daleko odbiegały od skromnych szat Sojotek. Kobiety zamężne nosiły tutaj długie, do kostek sięgające jedwabne terłyki obszyte u dołu i na rękawach szerokimi pasami haftowanego brokatu, włosy zaś miały ułożone po bokach głowy w dwa skrzydła, spięte trzema szerokimi klamrami ze srebra. Końce tych skrzydeł, splecione w warkocze, zwisały wzdłuż ramion i schowane były w długie czarne woreczki, ozdobione również srebrnymi broszkami. Na głowach

miały męzatkanę ciężkie srebrne czepce, sadzone turkusami i koralami, a w uszach nosiły kolczyki, składające się z całego szeregu długich srebrnych łańcuszków, zakończonych wisiorkami, wydającymi za każdym ruchem głowy przyjemny dźwięk maleńkich dzwoneczków.

W przeciwieństwie do bogatych strojów męzatek dziewczęta nosiły skromne terłyki, zrobione z jednolitego materiału, mające za całą ozdobę jedynie szerokie pasy jedwabne. Włosy dziewcząt były uczesane gładko i splecione w warkocze spadające na plecy. Zarówno mężczyźni jak kobiety i dziewczęta, a nawet dzieci, palili długie fajki mongolskie, raz po raz napełniając je drobno siekanym chińskim zielonym tytoniem.

Wszyscy wchodzący do jurty Mongołowie witali chłopców uprzejmie „Sajn bajnu”, a w czasie wieczornego posiłku najlepsze i najtłustsze kąski składali na ich drewnianych miseczkach.

Ciemno jeszcze było na dworze, gdy na drugi dzień rano zbudził Dendyb Zaniewskich. Przy jasnym świetle ogniska kobiety przyrządały już śniadanie, a stary Tugun napełniał żywnością podróżne sakwy gości. Chłopcy wybiegli na dwór śniegiem wytrzeć twarze, (wody bowiem w jurcie nie było, a czaj gotowano ze śniegu) i wnet ze wszystkich stron otoczyli ich Mongołowie, patrząc ze zdumieniem na tę czynność. Zaniewskich nie zdziwiło to zbytnio. Już w pierwszych dniach podróży z Darchaczynem zauważyli, że Mongołowie nie tylko nigdy się nie myli, ale owszem przed drogą nacierali twarze i ręce tłuszczem baranim, twierdząc, że w ten sposób chronią się od odmrożenia. Darchaczyn opowiadał im również, że Mongołowie nigdy, nawet w czasie największych letnich upałów nie piją zimnej wody, nigdy też prawie nie zażywają kąpieli w rzekach czy jeziorach, chyba zmusi ich do tego jakaś niezwykła okoliczność. Zwykle pierwszą i ostatnią kąpielą Mongoła jest

kąpiel w rosole baranim lub w mleku, stosowana przez matkę po urodzeniu się dziecka. Po takiej kąpeli wynoszą dziecko nawet w najsilniejszy mróz na godzinę na dwór, a potem zawijają je w baranie skórki, wyścielone wysuszonym nawozem wielbłądzim, i w tych „pieluszkach” dziecko spędza zwykle pierwszy rok życia. Po wyjęciu z pieluszek dziecko prawie do pięciu lat, a czasem i dłużej, biega zupełnie nago latem i zimą, przyzwyczajając się do zmian temperatury i hartując ciało na spiekotach i zimnach. Po skończonych pięciu latach chłopcy uczą się jazdy konnej i przechodzą pod opiekę męską, dziewczęta zaś poczynają przyzwyczajając się do gospodarstwa domowego, pod stałą opieką kobiet. Spartańskie wychowanie dzieci, przebywających wciąż na łonie natury, wydaje takie wyniki, że tylko dzieci silne i zdrowe zachowują się przy życiu, wyrastając czasami na ludzi odpornych na wszelkie dolegliwości, znoszących cierpliwie głód, mrozy i najsilniejsze nawet bóle fizyczne. Dzieci chorych i słabych niema w Mongolji. Te bowiem, nie będąc w stanie znieść ciężkich warunków koczowniczego życia, umierają zwykle już w pierwszym roku.

Równy ze wschodem słońca wyruszyli Zaniewscy w dalszą drogę, żegnani serdecznie przez Tuguna i jego ludzi. Doskonale odżywione wielbłądy szły tęgim kłusem, kołysząc się lekko na boki, jak łodzie kołysane równomiernym ruchem fal. Dendyb gnał na przedzie maleńkiej karawany, prowadząc ją pewnie i śmiało przez szerokie wąwozy i wzgórza wprost na południe ku Ulasutajowi. Mimo silnego wichru wschodniego, siekącego po twarzach lodowem tchnieniem, młodzi wędrowcy nie zwalniali biegu, chcąc jak najprędzej dotrzeć do miasta, by wreszcie zobaczyć się ze swym wujkiem i wspólnie obmyślić plan dalszej podróży do Chin, a stamtąd do Polski.

Koło wieczora przycichł nieco wicher, pozwalając podróżnym rozbić



nikły majchanik i rozpalić ognisko z karagany. Wraz z ustaniem wichru, zelżał nieco mróz, powietrze zwilgotniało, a roziskrzone gwiazdami niebo poczęło powoli zaciągać się czarnymi zwałami chmur. Nad stepem rozciągnęła się grobowa cisza, ciężka, tajemnicza, dławiąca przeczuciem czegoś złego, co wkrótce miało się tu rozpętać.

I oto nad ranem poprzez wąwozy i wzgórza przeleciał lekki wiaterek, musnął śnieżną powłokę stepu, zaszeleściał między zielonemi zawsze lodygami karagany, wstrząsnął lekkim dreszczem poółkłe trawy złoćące się na nagich stokach i — zamarł nagle, jakby zdjęty strachem, że ośmielił się naruszyć ciszę. Ale już po chwili od wysokich szczytów Tarbagataju runął w doliny i wąwozy w niepowstrzymanym pędzie wicher, zakręcił tumanami pyłu śnieżnego, zaświstał przeraźliwie na uszczelach skalnych, zachichotał na wiszarach, przeleciał po wąskich żlebach, przycichł na chwilę, jakby szukając drogi, a potem uderzył jak taran w stęp i rozpoczął na nim straszliwe płąsy, zdzierając zeń śnieg i lekko przymarzłe lotne piachy.

Już pierwszy silniejszy podmuch wichru zerwał sznury, przytrzymujące namiocik Zaniewskich, i lekkie płótno porwane orkanem zakręciło się w powietrzu jak biały motyl i zniknęło gdzieś daleko na białych śniegach stepu. Chłopcy, zbudzeni z twardego snu, z trudem tylko zdołali uratować sakwy i derki pod siodła, a Dendyb, spojrzawszy na świt matowy ledwo widoczny z pod ołowianych chmur, zdających się pełzać po szczytach gór, zakrzyknął z trwogą w głosie:

— Siodłajcie co rychlej wielbłądy! — *Buran* idzie stepem i zginiemy, jeśli tu nas zaskoczy! Niedaleko stąd jest chutor kolonisty rosyjskiego, musimy doń się dostać jak najprędzej!

Nie upłynęło i ćwierć godziny, a już gnali wąwozami jak duchy.

Wielbłądy przeczuwały widocznie niebezpieczeństwo, bo nawet nie poganiane taszurami rwały naprzód w dzikim pędzie, strzygąc niespokojnie małemi uszkami i wydobywając z gardzieli chrapliwe poryki.

A buran nadciągał coraz bliżej. Czuć było jego wilgotne tchnienie, widać było grozę, którą wzbudzał w zwierzętach stepowych. Antylopy dzerenie, poniechawszy swego zwyczaju przebiegania podróżnym drogi, zmykały w szalonych susach, by dopaść bezpiecznych kryjówek; gromady wilków uciekały w popłochu, a tuż za nimi rwały z kopyta stadka chułańców; nawet lisy porzuciły swe tereny myśliwskie i zdążyły ku rozpadlinom skalnym, nie zwracając najmniejszej uwagi na stada kurobatew *salg*, zakopujących się w śniegu.

Nagle ściemniło się prawie zupełnie. Z nisko pełzających chmur sypnął śnieg tak gęsty, że zakrył wszystko przed oczyma podróżnych. A wichur, niosąc tumany dużych płatów, siekł nimi, zasypywał twarze, wciskał je w każdą szczelinę ubrania, układał je grubą warstwą w każdym fałdzie szub, na siodłach i w gęstej sierści zwierząt. Wielbłądy oślepione i duszone śniegiem poczęły się potykać, zwalniać biegu, rzucać to w tę to w inną stronę, wreszcie idący na przedzie wierzchowiec Dendyba pośliznął się i padł na kolana, wyrzucając jeźdźca z siodła o kilka kroków dalej na step. Na szczęście upadek ten zauważył Stach i wstrzymał swoją i Janka wierzchowkę, Dendyb, z trudem wygramoliwszy się z zasy, przewracany siłą orkanu, ledwo dobrnął do leżącego zwierzęcia, Odpiąwszy od siodła długi arkan, przewiązał nim siebie i towarzyszy tak, jak to. czynią turyści, wdrapujący się na wysokie i niebezpieczne szczyty.

— To nas uchroni od rozbiegnięcia się w tej ciemnicy! — wołał ile sił

w gardle, chcąc przekrzywić ryk burzy. — A teraz w drogę Nie żałujcie taszurów, bo jeśli przed wieczorem nie zdążymy do chutoru, to nas buran docna zasypie!

I znów gnali dalej naoślep, nękani wichrem, dławieni śniegiem. Buran zamiast ucichać rozszalał się na dobre, sypał śniegiem coraz obficie, dał wichrem coraz silniej, ryczał i chichotał jakby z radości, że maleńka karawana, którą złowił w stepie, ująć mu nie zdoła.

Jakoż wielbłądy szły coraz wolniej, potykały się coraz częściej, coraz szybciej robiły bokami. Wreszcie wielbłądzica Janka zachwiała się kilką razy, jęknęła rozpaczliwie i runęła jak długa w śnieg. Chłopak, czując chwianie wielbłąda, zdołał wczas jeszcze oswobodzić nogi ze strzemion i tylko w ten sposób uniknął zgniecenia potężnym cielskiem zwierzęcia. Arkan wstrzymał towarzyszy Janka. Zeskoczyli co rychłej z sodeł, by pomóc podnieść wierzchówkę, ale zaledwo spojrzeli jej w oczy, opuścili bezradnie ramiona. Z dużych czarnych, rozpaczliwie smutnych oczu zwierzęcia płynęły strugi łez srebrzystych, spadając nakształt dużych pereł na śnieg.

— To śmierć! — przemknęła im jednakowa myśl.

Tak! Był to niechybny znak śmierci, bo wielbłąd ostatnią chwilę swojego życia żegna łzami. Mongoł wie dobrze, że w takim wypadku niczem już pomóc nie można i niema już dla zwierzęcia środków ocalenia.

Szybko zdjęli sakwy, przełożyli je na wierzchówkę Stacha, poczem obaj chłopcy usadowili się między garbami zwierzęcia, i wielbłądy ruszyły w dalszą drogę. Buran szalał coraz zawzięciej, wieczór zbliżał się szybko, a z chutoru nie było nawet śladu. Zbłądzili widocznie, o co zresztą nie było trudno, wiatr bowiem, zmieniając się co chwila, mylił

kierunek, a przez gęstą nawałnicę trudno było zobaczyć coś o kilka kroków przed sobą.

Naraz wielbłądzica, niosąca chłopców, potknęła się na czemś, upadła na kolana, i Zaniewscy wylecieli z siodła jak z procy, grzęznąc głęboko w śnieg. Przy gwałtownym upadku pękł arkan, wiążący ich z Dendybem, Mongoł jednak nie odczuł tego, gdyż nie wstrzymując wierzchowca, popędził dalej. Chłopcy, gramoląc się z zasy, spostrzegli z przerażeniem, że wielbłądzica ich podniosła się szybko z ziemi, zachrapała bojaźliwie, dała ogromnego susa w bok, a potem jak strzała pomknęła w step. Zostali sami w bezludnym stepie wśród szalejącego burami, bez sakw, bez pożywienia, zdani tylko na łaskę Opatrzności.

Janek w pierwszej chwili chciał biec za wielbłądem, ale zaledwo zrobił kilka kroków, zarył się znów po pas w zaspę. Zamiast jednak wydobyć się z niej, począł gorączkowo rozkopywać śnieg, raz po raz przyzywając brata do siebie. Gdy Stach nadbiegł, Janek nachylił mu się do ucha i krzyknął:

— Człowiek jakiś leży tu pod śniegiem! Odkopmy go prędzej. Może jeszcze żyje!

Nie bacząc na straszne niebezpieczeństwo, zagrażające im od rozszalałego buranu, wzięli się z nim za bary, by mu wydrzeć ofiarę. Kopali zaspę bez wytchnienia rękoma i, mimo że wicher zasypywał ich ciągle śniegiem, bił ich z wściekłością mokremi płatami po twarzach, przewracał i szarpał odzież, zdołali wreszcie wyrwać z pod zasy jakiegoś człowieka, zawiniętego z głową w ogromną szubę. Był bezwładny, ale życie tliło w nim jeszcze wątłą iskierką.

— Nacieraj go, ile sił śniegiem! — krzyknął Stach do brata. — Ja poszukam w zaspie... może tam kto jeszcze leży!

Jakoż niedługo natknął się na wielbłąda objuczonego ciężkimi pakami, a potem na kilku chińskich żołnierzy, leżących bez życia koło zmarzniętych już koni. Wszelkie próby ratunku okazały się bezskuteczne, to też Stach zawrócił do brata, gdzie spostrzegł z radością, że odnaleziony najpierw człowiek odżył i próbuje powstać na nogi. Szło mu to początkowo opornie, lecz wkrótce nabrał tyle sił, że podtrzymywany za ramiona przez swych wybawców, mógł, wolno coprawda, iść naprzód.

Uratowany był Chińczykiem i, jak wskazywały złote epolety na ramionach jego pięknej jedwabnej kurmy (krótkiej bez rękawów kurtki) podszytej sobolami, musiał być wojskowym wyższej rangi. Nie wyglądał jednak zbyt wojowniczo, chociaż u pasa zwiślał mu duży pistolet mauzerowski, był bowiem niezwykle wąły i drobny.

— Prędzej! prędzej! — naglił Stach. — Nie zatrzymywać się ani na chwilę. *Buran* już słabnie, ale może nas jeszcze zasypać, jeśli usiądziemy!

Tymczasem ściemniło się zupełnie. Brnęli w zaspach naślęp, przewracali się co chwila, ledwo podnosząc drętwiejące od zmęczenia nogi. Znużenie ogarniało ich coraz więcej, ruchy stawały się powolniejsze, sen morzył powieki. Wreszcie Stach poczuł, że ramię Chińczyka wysunęło mu się z ręki, i teraz dopiero ze zgrozą spostrzegł, że Janka nie było. Rzucił się jak oszalały wstecz i poomacku jął szukać rękami po śniegu. Po kilkuminutowym poszukiwaniu natknął się na bezwładnie leżące ciało brata, potrząsnął nim ze wszystkich sił i wtedy poprzez ryk burzy usłyszał słaby szept:

— Zostaw mię, Stachu! Ratuj się sam, ja już nie mam sił...

Rozpacz chwyciła chłopca kościstą dłonią za gardło. Porwał brata na

ręce jak dziecko i począł biec z nim, aż natrafiwszy na leżącego Chińczyka, potknął się na nim i runął z drogim ciężarem w śnieg. Wygramoliwszy się, począł szarpać ich za ręce, trzeć śniegiem, przemawiać najczulszemi słowami, chciał ich zmusić do wstania, ale równocześnie czuł, że siły opuszczają go zupełnie, że ręce stają się ciężkie jak ołów, a piersiom poczyna brakować tchu. Zerwał się ostatnim wysiłkiem, spojrzął z rozpaczą przed siebie i nagle zamarł w przerażeniu... poprzez nawałnicę błyskały ku niemu okrągłe ślepie, nikły na chwilę i pokazywały się to dalej to bliżej, mrugając szyderczo.

— Wilki! — przemknęła błyskawiczna myśl, sięgnął ręką za plecy i teraz dopiero przypomniał sobie, że karabin przytroczony był do siodła zbiegłej wielbłądzicy. Rzucił się więc bezradnie na ciało brata, chcąc je sobą zasłonić przed kłami zwierząt, gdy wtem natrafił ręką na kolbę pistoletu zwisającego u pasa Chińczyka, Drżącemi rękami otworzył drewniany futerał, kocim ruchem wyciągnął zeń broń, przyklęknął, zmierzył i posłał kulę w najjaśniejsze błyszczące ślepie.

Nie zgasło! Świeciło dalej urągliwie, świeciło, chociaż wystrzelał w nie wszystkie dziesięć naboí.

— Ha! kolbę jeszcze będę się bronił — wyszeptał, zaciskając kurczowo broń w rękę, Ale już po chwili pociemniało mu w oczach, zachwiał się i runął bez czucia na ciała towarzyszy.

A buran wył i ryczał radośnie, nakrywając troskliwie swe ofiary całunem śnieżnym, Stach ocknął się raz jeszcze, słysząc nad sobą ujadanie psów; w otwarte szeroko oczy uderzył dziwny blask jasno świecącej latarni, przy której zobaczył kilka kosmatych cieni, posłyszał jeszcze gorączkowe krzyki ludzi, a potem już jak przez sen czuł, że ktoś go podnosi, gwałtem rozwiera kurczowo zaciśnięte zęby, poczuł w

ustach piekący smak wódki, ale już w następnej chwili doznał uczucia, że leci w przepaść ciemną i bezdenną.

## ROZDZIAŁ XVII.

### U KSIĘCIA MONGOLSKIEGO.

Minęły dwa miesiące. Piękne słoneczne dni marcowe budziły w stepach przecucie zbliżającej się chyżo wiosny. Nieomylnymi jej zwiastunami były liczne rzesze ptactwa, przylatujące gromadami i kluczami gdzieś od południa. Osiadało ono gwarno na oparzeliskach i wąskich strugach potoków, uwalniających się powoli z lodowych okowów zimy. Śniegi przygrzane ciepłem promieni słonecznych potęgujących się z dniem każdym traciły biel dziewczą, kurczyły się, mięły, nabierały brudno-szarej barwy, odsłaniając coraz więcej żółtą pierś stepu, z której nieśmiało tu i owdzie blada zieleń kiełkujących traw dawała znać, że matka ziemia ocknęła się już z długiego snu.

Ogromne tonie Cagan-noru zdawały się spać spokojnie jeszcze pod grubą warstwą szarych lodów, nakrywających jezioro jakby płytą cmentarną, ale powtarzający się co chwila huk pękającej, powłoki, głębokie szczeliny, przez które natychmiast wytryskały strugi spienionej wody, rozlewającej się w szerokie kałuże, które gęstniały wkrótce nasycone wchłoniętym w siebie śniegiem, wskazywały, że i tu wre walka na śmierć i życie, a ponura, złośliwa zima ulec musi młodziuchnej bogince wiośnie, roześmianej beztrósko tysiącem promieni słonecznych.

Janek Zaniewski stał w gęstwinie wysokich żółtych szuwarów nadbrzeżnych, patrząc na stada różnobarwnych gęsi, kaczek i nurów,



które nie zwracając zupełnie uwagi na niego, wesoło i gwarliwie pływały się w szerokiej strudze, wytworzonej już na jeziorze między brzegiem a lodami. Patrzył, żegnając wzrokiem rozległą dal jeziora otoczoną ciemniejszymi uwałami, dalekie stopy i szare kontury zabudowań chutoru, stojące niedaleko na zachodnim brzegu Cagan-noru.

Dwa miesiące upłynęły od chwili, kiedy podczas strasznego buranu zwałił się prawie bez życia w śnieg, wycieńczony walką z rozszałą żywołem i żmudną pracą nad odkopywaniem ofiar nawałnicy. Teraz przebiegał myślą to, co przez te dwa miesiące się zdarzyło.

Ocknął się w dużym, jasno oświetlonym pokoju. Ze zdumieniem spostrzegł, że leży na szerokim łożu przykryty miękkimi puchowemi kołdrami chińskimi. Ktoś wlał mu w usta jakieś mdłe lekarstwo, poczem chłopiec znów zapadł w stan bezwiedzy, jakiegoś odrętwienia, w czasie którego miał rzadkie przebłyski świadomości, co się wokół działo. Dopiero po paru tygodniach wyzdrowiał. Wtedy dowiedział się, że znajduje się na chutorze kolonisty rosyjskiego Boczkarowa, który wydobył ich z zasy utworzonej na płocie, otaczającym chutor. Strzały Stacha, mniemającego, że strzela do wilków, oddane były w wycięcia okiennic domu, i to właśnie spowodowało gospodarza do zobaczenia, co się dzieje na dworze, i spuszczenia psów, które prawie dogorywających wędrowców znalazły i wyciem a szczekaniem sprowadziły ludzi z chutoru. Ale mimo natychmiastowej pomocy chłopcy drogo opłacili walkę z buranem. Janek bowiem rozchorował się i długo walczył ze śmiercią, Stach silniejszy zmógł chorobę, ale rana, - otrzymana w pasiece Andrzeja, otworzyła się pod wpływem przemarznięcia i długo nie chciała się goić.

Znalezione w stepie Chińczyk najlżej przypłacił spotkanie z

nawałnicą, bo już po dwu tygodniach mógł opuścić chutor, udając się do Ulasutaju, gdzie był wysokim urzędnikiem przybocznym *ambana*<sup>1</sup>). Li-nian-fu na wyjeździe dziękował ze wzruszeniem Stachowi za uratowanie go od pewnej śmierci i przysiągł chłopcom dozgonną wdzięczność, obiecując solennie zawiadomić inżyniera Raczyńskiego o miejscu pobytu swych wybawców. Obietnicę tę spełnił o tyle, że przez umyślnego posłańca doniósł chłopcom, iż wysłał do Urgi zawiadomienie o ich pobycie u Boczkarowa, krewny ich bowiem wyjechał przed miesiącem w stronę stolicy. Chcąc ułatwić Zaniewskim wyjazd do Urgi, Li-nian-fu przysłał im równocześnie z listem glejt na wolny przejazd przez Mongolję.

O wyjeździe jednak mowy być nie mogło. W tym czasie Janek zbyt był jeszcze słaby, by znieść trudy dalekiej podróży, a potem nastąpiły w Mongolji tak niespokojne czasy, że Boczkarowie ani słyszeć nie chcieli o wypuszczeniu gości, do których nietylko przyzwyczaili się, ale pokochali jak własne dzieci.

Na stepach wrzało. Mongołowie, którzy przyjeżdżali do chutoru, przewozili przeróżne wieści, często tak sprzeczne, że niewiadomo było, czemu wierzyć. Mówiono o walkach w Urdze, o straszliwych bitwach, w których wyginęło moc Chińczyków, Mongołów i Czacharów, mówiono, że *dao-taj* (namiestnik) dzungarski wiedzie do Mongolji ogromną armję na pomoc Chińczykom; opowiadano o rozruchach, panujących w zachodniej części kraju, o coraz liczniejszych napadach band kulisów, Sojotów i bolszewików na pograniczne osady mongolskie i churje. Aż wreszcie niedawno wpadł do chutoru na spienionym koniu Dendyb (który od czasu śnieżycy gdzieś zaginął), i witając Zaniewskich, zawołał radośnie:

— Urga wzięta! Chińczycy pobici na głowę uciekają! Mongołja wolnem jest państwem, a Bogdo-gegen jest jej cesarzem!

Boczkarowie, będący wielkimi przyjaciółmi Mongołów, przyjęli tę wieść z niebywałą radością, i Dendyb mimo zmęczenia długą podróżą musiał opowiadać wszystkie zdarzenia, które wstrząsnęły stepami.

Mówił więc z zapalem, jak to *dziandzin* (generał) baron Ungern dwa razy bezskutecznie zdobywał Urgę, jak Mongołowie, bojąc się gniewu bogów, nie chcieli podnieść broni na święte miasto, w którym mieszkał najwyższy ich kapłan. Aż wreszcie baron, przedarłszy się przez świętą górę Bogdo-Uła z trzydziestu tylko żołnierzami, porwał Bogdo-gegena z pośród chińskiej straży i dwunastotysięcznej armji, jak potem nastąpił szturm ostatni, w którym brali udział Mongołowie błogosławieni przez porwanego gegena, opowiadał o zwycięstwie, o ucieczce Chińczyków, o ogromnych skarbach w broni, pieniądzach i skórach, które zwycięzcy znaleźli w mieście.

A potem rozwodził się nad wspaniałemi uroczystościami w Urdze z racji obwołania Bogdo-gegena cesarzem, o nadaniu zdobywcy miasta generałowi Ungernowi godności chana, o licznych posłach, którzy przybywali z różnych zakątków Azji Środkowej z podarkami od swych władców i zapewnieniami, przyjaźni dla nowego cesarza.

Chłopcy słuchali tych opowiadań w milczeniu, ale radośnie, bo przecież przyczynili się do tej wolności. Był tu już Darchaczyn i kilku świetnych urzędników mongolskich, dziękując Zaniewskim za ocalenie transportu broni; która ważną odegrała rolę w oswojeniu zachodniej części kraju od jarzma chińskiego.

Już późno w nocy opowiadał Dendyb, w jaki sposób wyratował się w czasie buranu, jak przypadkowo natknął się na grupę jurt prawie pod

samym Ulasutajem, które były rezydencją *sita* (namiestnika) Czultun-Beilego, jak księżę wysłał go później z ważnymi listami do jednego z wysokich urzędników, mieszkającego w pobliżu Urgi, jak wreszcie brał udział w zdobywaniu miasta. Teraz znowu posłano go ze stolicy do Ulasutaju z jakimiś ważnymi rozkazami, i tam dowiedziawszy się od Darchaczyna o miejscu pobytu chłopców, przybył tu niezwłocznie, by się ich widokiem nacieszyć i towarzyszyć im w dalszej podróży.

Dża-lama, który kilkakrotnie w podróży wstępował na chutor, wystarał się już dawno o *dzarę* (prawo jazdy) dla chłopców. Nie wyjechali jednak dotychczas, bo liczne bandy kulisów tak bezczelnie grasowały wkoło Ulasutaju, iż w mieście musiano zorganizować straż do obrony mienia mieszkańców. Boczkarów z żoną tak polubili Zaniewskich, że nie chcąc ich wystawiać na niebezpieczeństwo spotkania się z taką bandą, wymyślali coraz to nowe powody, odraczające dzień wyjazdu.

Przyjazd Dendyba i wieści przez niego przywiezione tak zelektryzowały Stacha, że postanowił niezwłocznie wyruszyć, i termin wyjazdu nazaczył na dzień jutrzejszy. Janek skorzystawszy z zamieszania, wywołanego w chutorze przygotowaniem do podróży, wymknął się nad jezioro, by je pożegnać i objąć wzrokiem tę okolicę, chcąc ją na zawsze wbić sobie w pamięć; wiedział bowiem, że do tego gościnnego domu, do ciepłych oddanych serc gospodarzy już nie powróci.

Słońce zaczęło zniżać się na zachodzie, gdy od strony chutoru zabrzmiał gromki okrzyk:

— Janku! Janku!

— To Stach woła — pomyślał chłopak, rzucił okiem raz jeszcze na ogromną przestrzeń jeziora, wydobyl się szybko z szuwarów i pobiegł do chutoru.

Między zabudowaniami kręciło się kilkunastu Mongołów, przenosząc ogromne wory z sierścią. Inni zbierali rozłożone na czysto wymiecionem podwórzcu skóry owcze i bydłęce, a Dendyb oglądał z gospodarzem świeżo z urtonu przywiedzione konie, pokazując ułacenom jakieś niedokładności w uprzęży. Janek wbiegł szybko do domu i w pokoju, oddanym im przez kolonistów, zobaczył brata, układającego rzeczy z pomocą gospodyni w worki skórzane. W czasie nawałnicy stracili wprawdzie wszystko, co mieli, ale stratę tę wynagrodziły im liczne podarki Mongołów, uważających chłopców za swych serdecznych przyjaciół.

— Wołałeś mię, Stachu? — zagadnął Janek.

— Tak! Trzeba prędzej skończyć z tem pakowaniem, bo zaraz po północy wyruszamy w drogę. Mamy przed sobą zaledwo cztery urtony, chciałbym jednak wcześniej zajechać do miasta i znaleźć dom pana Andrejewa, któremu poleca nas pani Boczkarowa.

W nocy wyjechali chłopcy z chutoru w towarzystwie Dendyba i trzech ułacenów, żegnani ze łzami przez uprzejmych gospodarzy. I oni mieli łzy w oczach, żal im było opuszczać ten spokojny i tak gościnny dom, tych ludzi, którym zawdzięczali ocalenie, ale z drugiej strony cieszyli się, że wreszcie ruszają z miejsca i może wkrótce dojadą do Uрги, gdzie spodziewali się znaleźć swego krewnego.

Ale jakkolwiek mieli do miasta zaledwo sto kilometrów, przybyli tam dopiero koło południa. Nie było w tem nic dziwnego, gdyż sąsiadujące z miastem urtony nie miały dobrych koni, te bowiem zabierały wciąż

różne oddziały wojskowe, które się uganiały za wałęsającymi się tu i tam bandami kulisów.

Miasto robiło dziwne wrażenie. Wiedzieli dobrze, że na całej ogromnej przestrzeni Mongolji są zaledwo trzy miasta, a to: Urga, Ulasutaj i Kobdo. Spodziewali się przeto zobaczyć coś nadzwyczajnego, miasto podobne przynajmniej do wielkich miast Europy. Tymczasem to, co mieli przed oczyma, mogło zasługiwać najwyżej na miano lichej, ubogiej wioski.

Wjechali w niską, z gliny zrobioną bramę i natychmiast znaleźli się w długiej, wąskiej uliczce, mającej po obu stronach szeregi niewielkich baj szyno w, wybudowanych już to z krąglaków, już z gliny zmieszanej ze słomą. Na większości tych domków wisiały długie wywieszki czerwone lub czarne z wymalowanymi na nich złotą farbą hieroglifami chińskimi. Były to sklepy, o czym świadczyły wystawy pełne przeróżnych towarów. Na uliczce było dość ludno. Migwały barwne terłyki mongolskie, przechodzili spiesznie uzbrojeni Europejczycy; czasem tylko jak cień przemknął Chińczyk w długim czarnym chałacie i maleńkiej czapeczce na głowie.

Dendyb znał widocznie dobrze mieszkańców Ulasutaju, bo bez wahania poprowadził, Zaniewskich do dość obszernego zabudowania, mieszczącego się w tyle dużego podwórza. Był to dom kolonisty Andrejewa, który przybyszy przyjął równie gościnnie jak jego stary przyjaciel z chutoru.

Gdy jednak kolonista przeczytał list Boczkarowa i dowiedział się żeń o ciężkich przeżyciach, i niebezpiecznych przygodach chłopców, oraz o chęci ich jak najrychlejszego wyjazdu do Urgi, zatroskał się silnie, poczem zaprowadziwszy gości do odległego pokoju, szeptem począł

mówić:

— Z całej duszy radbym wam pomóc wyjechać natychmiast, ale wobec gorących poleceń mego przyjaciela, gdzieście te kilka tygodni spędzili, muszę was ostrzec, byście narazie o tem nie myśleli,..

— Ależ my w Urdze chcemy się spotkać z naszym wujkiem! — zaoponował Janek.

— Dlatego właśnie radzę wam zatrzymać się tutaj czas jakiś! — zawołał żywo Andrejew. — Jestem pewny, że w obecnej chwili nie przejdziecie nawet połowy drogi! Nie mówię już o kulisach, których pełno jeszcze wszędzie, ale. nawet nasi żołnierze rosyjscy są niebezpieczni. Kto tylko może, ten tu tworzy oddziały nibyto dla walki z kulisami, w rzeczywistości zaś oddziały te napadają na churje, nakładają na osady kontrybucje, a nawet często zabijają podróżnych. Mongołowie już nawet nas starych kolonistów uważają za współników i nie chcą dawać ani dzar ani koni...

— My przecież mamy dzarę wydaną przez księcia Czułtun-Beilego, mamy też glejty od Li-nian-fu...

— Och! Tych lepiej teraz nikomu nie pokazywać! Co zaś do księcia Czułtun-Beile, to myślę, że to samo wam powie, co i ja.

— Dendyb miał udać się do saida i zapytać, kiedy możemy ruszyć dalej — rzekł Stach.

W tej chwili rozległ się za oknami tętent kilku koni, a wkrótce wbiegł do izby Dendyb, odświętnie ubrany, i zawołał zdyszonym głosem:

— Sait prosi was do siebie w jakiejś ważnej sprawie! Przysłał tu swoje konie! I was także chciałby widzieć dzisiaj u siebie — dodał, zwracając się do Andrejewa.

Na dziedzińcu kilku Mongołów trzymało za uzdy cztery doskonałe

wierzchowce w bogatych rzędach, błyszczących od srebrnych ozdób i guzów. Wąskie siodła mongolskie miały wysokie łęgi malowane na czerwono i spoczywały na długich, prawie do ziemi sięgających purpurowych czaprakach.

— Ho! ho! — zaśmiał się Andrejew z podziwem. — Jedziemy jako honorowi goście saita, w barwach książęcych — rzekł, wskazując czapraki.

— Czemu? — zapytał Stach.

— Aksamitny purpurowy czaprak jest przywilejem saita i nikt inny używać go nie śmie. Czultuh-Beile, przysyłając konie z takimi czaprakami, chce pokazać, jak wysoko was ceni i jak miłymi będziecie mu gośćmi!

Ruszyli szparko przez ulicę, przebiegli koło niziutkich domków rzemieślników chińskich, minęli wysoką drewnianą bramę, wybudowaną w chińskim stylu, i wypadli na dość szeroką drogę, wiodącą do twierdzy, która się rysowała posępniemi czarnymi murami, niespełna półtora kilometra od miasta. Przebiegłszy połowę drogi, znaleźli się nad brzegiem niezbyt szerokiej, ale bardzo wartkiej rzeczki Czingiltu-goł.

W miejscu, gdzie z ogromnych płyt kamiennych była wybudowana kapliczka, poświęcona bóstwu tej rzeczki, przebyli jej burzliwe nurty dosyć wygodnym brodem, a potem równym już stepem pomknęli ku sporej grupie ogromnych białych jurt, nad którymi powiewały buńczuki z ogonów końskich. Zaledwo konie, ściągnięte wędzidłami, wstrzymały się, już z jurt wybiegło kilku ludzi i, pomógłszy przybyłym zsiąść z sodeł, poprowadzili ich do bardzo obszernej i wysokiej jurty, której dach przykryty był niebieskiem płótnem, pięknie wyszywanem w biały deseń.



Przed jurtą na wysokiej żerdzi trzepotała długa, wąska chorągiew, ozdobiona dwoma czerwonymi buńczukami.

W progu jurty oczekiwało dwóch dygnitarzy, ubranych w jasne jedwabne terłyki, z wysokimi czapkami na głowach, zakończonemi koralowemi gałkami i pękiem pawich piór wetkniętych w jaspisowe tulejki, osadzone prostopadle do gałek w ten sposób, że końce piór spadały prawie na plecy.

W jurcie zobaczyli chłopcy kilku poważnych : Mongołów, stojących w pozach głębokiego uszanowania przed roslým, szpakowatym już mężczyzną, siedzącym na dużym fotelu przed stolikiem. Na drugim mniejszem nieco krześle siedział Dża-lama, przybrany w kosztowny czerwony terłyk.

— Sajn bajnu! — przywitał obecnych Stach.

Twarze stojących Mongołów zwróciły się ku przybyłym z wyrazem najwyższego zdumienia i przestachu, chłopiec bowiem nieświadomie naruszył ceremonjał mongolski, nakazujący milczeć tak długo, aż *sait* raczy przywitać *gości*. Ale Czultun-Beile uśmiechnął się wesoło i zawołał:

— Sajn bajna! Witajcie, mili goście, i raczcie zająć miejsca tu obok mnie!

Z pod ścian jurty podano natychmiast trzy stołki, usadowiono na nich gości, a równocześnie z drugiej jurty przyniesiono fajeczki napełnione tytoniem, aby niemi dopełnić ceremonjału powitalnego, poczem na stoliku ustawiono piękne chińskie filiżanki z doskonałą herbatą kwiatową i kryształowe półmiski pełne ciastek, cukru i rodzyneków.

Czultun-Beile skinieniem ręki oddalił obecnych w jurcie Mongołów i, nachyliwszy się lekko ku chłopcom, począł mówić poprawnym językiem

rosyjskim:

— Poprosiłem was tutaj do siebie, by osobiście podziękować za wyratowanie transportu broni, co, jak słyszałem, omal nie przypląciliście życiem...

— Ach, książę, to drobnostka, o której nawet nie warto mówić! — przerwał Stach.

— O nie! To nie była drobnostka! W paczkach z amunicją były bardzo ważne wskazówki i rozkazy dla poszczególnych rodów! Sam Darchaczyn nie wiedział, że rozkazy te podpisane były moją ręką. Gdyby ten transport był się dostał w ręce Chińczyków, nie miałbym przyjemności powitać was tu u siebie, bo na pewno strutoby mię dawno, ja bowiem z obecnym tu i świątobliwym Dża-łamą byliśmy inicjatorami powstania w tej części Mongolji.

— Tem bardziej cieszę się, że mimowolny uczynek nasz wybawił cię, książę, od kłopotów — rzekł dworsko Stach, — Większa jednak zasługa Darchaczyna, iż zdołał skryć się w górach...

— Opowiadano mi już dokładnie, jak to tam było — przerwał z uśmiechem sait — widzę przeto, że skromność wasza nie mniejsza jest od odwagi i szybkiej decyzji. Cieszy mię to niezmiernie, bo cnoty te rzadko chodzą w parze.

Zaniewscy zarumienili się po uszy, a sait, zwracając się do Andrejewa, dodał:

— Słyszałem od Dendyba, że ci dzielni chłopcy zamieszkali u ciebie, stary przyjacielu.

— Tak! Ale widzisz, saicie, oni jutro już chcą jechać...

— Dokądże? To niemożliwe! — krzyknął Czultun-Beile z przestachem. — Musisz ich zatrzymać przynajmniej tydzień! Dzisiaj

dostałem z Urgi wiadomość, że najmiłościwszy Bogdo-gegen i waleczny chan Ungern przysyłają tu większą ilość wojska mongolskiego, a dla Rosjan nowego komendanta, który ma skończyć z tym bezładem, panującym w Ulasutaju. Ot, wczoraj znowu przyjeżdżali ze skargą Mongołowie, że gdzieś za miastem zabrano im tabun koni, dzisiaj przybył przeor klasztoru z zawiadomieniem, iż jakiś oddział rosyjski nałożył nań kontrybucję. Chińczycy wciąż się żalą, że kozacy rozbijają i rabują im sklepy, a przecież wedle naszej umowy kupcy mieli pozostać nienaruszeni.

— Źle się dzieje! — szepnął smutnie Andrejew.

— Mam nadzieję, że skończymy wkrótce z anarchją! — rzekł z mocą sait, a zwracając się; z uśmiechem do Zaniewskich, dodał: — Wtedy będziecie mogli spokojnie przebyć długą drogę do Urgi. Dendyb będzie wam w drodze towarzyszył, a teraz zajmie się, by wam na niczem nie zbywało. Wolałbym, abyście mieszkali tu u mnie w jurtach, ale u przyjaciela mego Andrejewa mieć będziecie więcej wygod, do jakich ludzie na Zachodzie nawykli. O krewnego nie obawiajcie się, dzisiaj bowiem do listów, wysłanych do Urgi, dołączyłem pismo do księcia Cecen-chana z prośbą, by go odszukał w mieście i powiadomił o waszym tutaj pobycie. Chłopcy wzruszeni dziękowali saitowi za pamięć, poczem późnym już wieczorem powrócili do miasta.

## ROZDZIAŁ XVIII.

### WESELE.

Śniegi zniknęły już, całkowicie wchłonięte przez spragnioną ziemię i piaski. Step pokrył się modrym dywanem traw miękkich, przetkanym bukietami kwiecia, mieniacego się w słońcu tęczową grą barw, a bezkresny namiot nieba lśnił przejrzystym lazurem, niezmaconym najmniejszą chmurką, najlżejszym obłoczkiem. Na tej lśniącej kopule widać było tu i tam ogromne orły stepowe i czarne gryfy, pławiące się prawie w bezruchu skrzydeł, a czasem z wyżyn podniebnych ozwał się skrzypiący klangor żórawi lub płaczliwy krzyk czapli.

Przez step, rozciągający się w dolinie rzeki Terchet, mknęła na doskonałych koniach grupka jeźdźców mongolskich, dążąc na wschód ku ledwo widnym na krańcach horyzontu konturom łańcucha górskiego Töljin-cagan, Spieszyli się widocznie bardzo, bo nie zwracali zupełnie uwagi na stada kuropatew salg, wrywających się w popłochu z pod kopyt koni, ani na ogromne dropie, snujące się spokojnie między niewielkimi grupkami dzereni. Czasem tylko któryś z jeźdźców baczniej spoglądał na tabuny koni, pasące się bez żadnego nadzoru, na ogromne stada owiec i krów, lub na pojedynczo brodzące po stepie wielbłądy, chude niezmiernie, z poobwisanymi workami garbów, wycieńczone pracą zimową, o nagiej szarej skórze, bo gęsta sierść rudawa spadała z niej całymi płatami, Konie, pędzące galopem,

zwalniały niekiedy biegu, by przebyć drobne strumienie lub szerokie a płytkie zalewy i wtedy na srebrnym świecących toniach powstawał przeraźliwy gwar, szum i łopot skrzydeł: to kaczki, gęsi, łabędzie i kuliki pierzchały z brzegów, z pośród sitowia i trzcin. Ale gdy rzesza skrzydlata uspokajała się wnet po pierwszym popłochu, z wody zrywały się duże czerwone kaczki i, krążąc długo nad głowami jeźdźców, wydawały głosy gniewne, swarliwe, jakby kłócąc się z ludźmi za ich brutalne wtargnięcie w królestwo ptasie.

Krzyki jednej z nich, a prędeż jeszcze niesłyszana wprost śmiałość, z jaką biła na głowy przejeżdżających, rozgniewały snąc jeźdźca, bo w chwili gdy rozkrzyczany ptak, zatoczywszy nad gromadką szerokie koło, runął na nich, zamachnął taszurem i omal nie zbił ptaka ze skrzydeł, Kaczka, wrzasnąwszy przeraźliwie, poszybowała ku widniejącym zdała rozpadlinom skalnym i za chwilę ze skał tych nadleciało duże stado takichże kaczek, które z nieopisaną wrzawą poczęły krążyć nad jeźdźcami, bijąc im do oczu szerokiemi purpurowymi dziobami. Konie, przestraszone niezwykłym hałasem, pomknęły jak wicher, a ptaki na widok wrogów, uchodzących w pośpiechu, wrzasnęły triumfalnie i zawróciły ku skałom.

— A cóż to za licho zajadłe! — ozwał się najmłodszy z jeźdźców, ubrany w piękny jedwabny terłyk i wysoką czapkę mongolską.

— To, Janku, jest święty ptak mongolski, zwany dla czerwonego upierzenia *lama*. Kacze tej żaden Mongoł krzywdy nie robi, nawet cudzoziemcy boją się do niej strzelać, bo łamowie nasi srogo karzą za taki czyn.

— Ależ, Dendybie, czyż miałem pozwolić, by mi kaczka oczy wybiła?

— Kaczka-łama ma ten nieszkodliwy zwyczaj. Pokrzyczy trochę i zaraz wraca do kamienistych rozsypisk, do swego gniazda, gdzie składa jaja.

— A cóż robi z kaczetami? — zapytał trzeci jeździec, w którym mimo doskonałego przebrania mongolskiego łatwo było poznać Stacha. — Przecież z tych rozsypisk do wody zbyt daleko, by szły one, zanim nauczą się latać.

— Tu właśnie trzeba podziwiać zmyślność tych ptaków! — zawołał Dendyb. — „Łama” wczesnym rankiem piskłęta przenosi w dziobie na wodę, a wieczorem w ten sam sposób odnosi je do gniazda. Teraz właśnie jest czas łęgu, więc kaczki krzykiem swym chciały nas odstraszyć z tych stron, gdzie mają gniazda. Zresztą sposobu tego używają nie tylko na ludzi, którzy im nigdy nic złego nie robią, ale i na zwierzęta, jak lisy, gronostaje, i to zawsze z dodatnim skutkiem. Jak tylko wejdziemy w góry, pokażę wam jedno bardzo ciekawe zwierzę, które znowu świstem ostrzega towarzyszy o niebezpieczeństwie...

— Czy daleko jeszcze do Urgi? — przerwał Janek.

— Ho! ho! Dopiero trzy dni, jakeśmy opuścili Ulasutaj, a ty już pytasz o Urgę — zaśmiał się Dendyb. — Dzisiaj wieczorem zajedziemy do Telin-urto. Jutro przebędziemy przełęcz Dzun-modo, a stamtąd do Urgi mamy jeszcze dziesięć dni drogi. Trochę za długo siedzieliśmy w Ulasutaju...

— Te trzy tygodnie pobytu w mieście mimo serdecznej opieki Czultun-Beilego i Andrejewa znudziło mi zupełnie! — zawołał Janek.

— A jednak ja tego siedzenia w Ulasutaju nie żałuję — ozwał się Stach. — Teraz już wiemy na pewno, że wujka w Urdze niema, bo przez Kałgan wyjechał do Chin, więc nie mamy się czego spieszyć. Chciałbym

zobaczyć stopy w lecie, obejrzeć te różne ruiny starych miast, o których tyle opowiadał nam Andrejew, chciałbym widzieć chirchis-ury, zobaczyć sławną pustynię Gobi. Dopóki śniegi leżały i bandyci włączyli się po stepach, było to niemożliwe.

Teraz już kwiecień się kończy i wiosna w całej pełni, wody po większej części spłynęły, drogę mamy wszędzie otwartą, a dzięki uprzejmości saida korzystać możemy nietylko z urtonów, ale i *urgi!*<sup>1)</sup>

— Jeżeli chcesz zobaczyć ciekawe ruiny, to już najlepiej pojedziemy z Dzun-modo na południe do rzeki Orchon, nad którą znajdują się pozostałości starej stolicy mongolskiej Karakorum, nazwane przez nas Chara-bałgasun t. j. czarne mury. Na tej drodze znajdziemy też najwięcej chirchis-urów, a ponieważ stopy tamtejsze należą do najżyźniejszych, więc nie zbraknie nam dzikiej zwierzyny ani dostatecznej ilości koni.

— Niezmiernie zaciekawia mię Urga jako stolica Mongolji — przemówił Janek, — Bo przyznam się, że Ulasutaj w zupełności zawiódł moje nadzieje. Cóż tam jest właściwie? Te kilkadziesiąt domów handlowych rosyjskich i chińskich, kilkaset domków, w których mieszkają kulisi, dwie *kumirnie* (kapliczki buddyjskie) ubogie i zupełnie opuszczone i twierdza! Żeby ta twierdza przedstawiała się jakoś należycie! Ale te mury gliniane, otoczone częstokołami, wałą się już prawie ze wszystkich stron, a wewnątrz budowane wszystko bez ładu i składu jak stragany jarmarczne. Strasznie nieprzyjemne wrażenie zrobił na mnie ów loch więzienny, gdzie podobno Chińczycy trzymali więzionych Mongołów zakutych w dwie ogromne, ciężkie belki na nogach. Również barbarzyństwem wydaje mi się karanie ludzi przez nakładanie im ciężkiej deski na szyję, bo przecież ludzie ci nie mogą rękami włożyć jadła do ust. Podobno Chińczycy, nakładając dyby na

nogi i szyję, na deskę tę kładli kawał mięsa lub chleba; wówczas więzień, mając prawie przed samymi ustami jedzenie, umierał z głodu, bo nie mógł go w żaden sposób przybliżyć do ust. Urga ma być ponoć dużym miastem zupełnie odmiennym od Ulasu-taju, prawda, Dendybie?

— O, tak! Urga ma mnóstwo wspaniałych świątyń, wiele pałaców i bajszynów, sami zresztą zobaczycie.

— A czy tam jest również taki „wawóz umarłych” jak w Ulasutaju?

— Tak, tylko trochę większy!

— To jednak jest straszne! — zawołał Janek. — Rzucac trupy ludzi do wawozu, gdzie gnieźdzą się setki dzikich psów, czekających tylko na ten żer, to przecież ohydne!

— To tylko zwyczaj — zauważył spokojnie Dendyba. — W stepach nie rzuca się to w oczy, ale w Ulasutaju i Urdze zbyt wielu ludzi umiera, by ich wywozić w stepy. Trzeba było siłą rzeczy stworzyć takie cmentarzyska.

— Czyż nie lepiej zakopać trupa do ziemi?

— Grzech! Grzechem jest w Mongolji kopać ziemię, dlatego też nietylko grobów nie kopujemy, ale nie uprawiamy roli, jak to czynią Rosjanie i Chińczycy.

Podczas rozmowy nie zauważyli zupełnie, że konie ich, idąc śladem dwóch przewodników mongolskich, opuściły dolinę Terchetu i poczęły się wspinać w górę ku sporemu łańcuchowi górskiemu, przecinającemu im drogę z północy na południe. Wierzchowce, idące poprzednio galopem, zwolniły teraz znacznie biegu i stąpały nadzwyczaj ostrożnie, jakby szukając wygodnej i bezpiecznej drogi. Nagle koń Janka potknął się gwałtownie, skoczył w bok i przednimi nogami zapadł się tak głęboko w ziemię, że chłopak, nie chcąc narazić zwierzęcia na złamanie



nóg, musiał zleźć z siodła. W tej chwili rozległ się ostry świst, i kilkadziesiąt niewielkich zwierzątek w szybkiej ucieczce schroniło się do nor, czerniejących wokół ciemnymi otworami.

— A cóż to znowu takiego? — zawołał Janek, wyciągnawszy z pomocą Mongoła konia z pułapki.

— To tarbagany, świstaki mongolskie — odparł Dendyb. — Koń twój zapadł się w norę wyrytą zbyt płytko. Patrzcie, jaka masa tych jam!

Prawie cały stok góry pokryty był małymi kopcami wygrzebanej ziemi, podobnymi nieco do dużych kretowin; zewsząd widać było setki i tysiące otworów, w których tu i tam zauważyć można było okrągłe główki zwierzątek, patrzących bacznie na intruzów czarnymi perełkami oczu. Za każdym żywszym poruszeniem się jeźdźców rozlegał się ostry świst, jakby sygnał, po którym zwierzątka chowały się spieszenie do jam, by za chwilę znów wychylić ciekawie głowy.

— Sprowadźcie konie wdół — zawołał Dendyb do przewodników, a gdy ci oddalili się nieco z wierzchowcami, zwrócił się do chłopców: — Skryjmy się za te kamienie, zaraz zobaczycie coś ciekawego!

Przebiegli szybko kilkanaście kroków i usiedli za stosem kamieni, powstałych z odłamu zwietrzałej skały, patrząc przez szczeliny na kolonję świstaków. Tarbaganów przez dłuższą chwilę nie widać było zupełnie, a wreszcie z jednej nory wychyliła się główka. Zwierzę ciekawie oglądnęło się wkoło, potem wysunęło do połowy wałkowate ciało, zlustrowało okolicę raz jeszcze, a nie widząc nikogo, niezgrabnym skokiem opuściło jamę i, siadłszy na tylnych łapkach, świsnęło zcicha. Wnet na sygnał ten w większości jam pokazały się tarbagany i już po chwili poczęły szmyrać tu i tam, wygrzebując z ziemi soczyste korzenie traw, lub też barszkując swawolnie na ogrzonym przez słońce piasku.

— Patrzcie teraz uważnie — szepnął Dendyb do towarzyszy, pokazując im na odległej skale olbrzymiego gryfa, który odwrócony tyłem do świstaków zdawał się być pogrążony w głębokiej zadumie.

Chłopcy wyteżyli wzrok, W chwili gdy świstaki uspokojone już zupełnie oddaliły się dosyć daleko od nor, gryf wykonał nieprawdopodobny skok w górę, przewrócił koziołka w powietrzu i spadł jak kamień na jedno z najbliższych zwierząt. Przerażliwy świst rozdarł powietrze i tarbagany w popłochu rozbiegły się po norach, napadnięty zaś momentalnie przewrócił się na grzbiet, wyciągnął przed siebie łapki uzbrojone w ostre pazurki i nim gryf zdołał się opamiętać, chwycił go zębami za nogę powyżej szponów. Wywiązała się straszliwa walka. Gryf starał się uderzeniami skrzydeł oszołomić świstaka, to znów dziobem palnąć go między oczy, ale tarbagan, mimo niezdarnego, baryłkowatego wyglądu, zręcznie omijał ciosy, odtrącając od siebie napastnika silnymi uderzeniami nóg, chwytając go zębami za łapy, rwąc z niego pióra. Nagle rozległo się przeraźliwe kwilenie ptaka, i w tej samej chwili świstak, odskoczywszy w bok, począł spiesznie uchodzić do nory, raz po raz przystając i odwracając się w stronę wroga, który podskakując na okaleczonych łapach, bezradnie machał jednym skrzydłem.

— Tarbagan wygrał! — zawołał Dendyb. — Zdołał uchwycić gryfa za skrzydło i przegryźć je. Ho, ho! stary to musi być bojownik i silny, jeśli takiemu olbrzymowi dał radę, zwykle bowiem w takim pojedynku ptak zwycięża.

— Mongołowie widocznie nie polują na tarbagany, kiedy ich taka masa? — zapytał Stach.

— Był czas, że kupcy rosyjscy płacili za skórkę świstaka rubla srebrem i wtedy w przeciągu jednego roku zabito w Mongolji przeszło

półtora miliona tych zwierząt. Wybito je tak dokładnie, że ledwo tu i owdzie zdołały się zachować. Teraz od kilku lat nikt na nie nie poluje i znowu się rozmnożyły. Mongołowie bardzo chętnie jedzą mięso tarbaganów, ale teraz wstrzymują się od masowych polowań, gdyż podobno świstaki są roznośicielami dżumy. Podanie głosi, że bogi zatrwały im sierść tą straszną i chorobą za karę rycia ziemi.

Napatrzywszy się dowoli świstakom, wędrowcy ruszyli dalej i jeszcze przed zachodem słońca stanęli na urtonie, składającym się z kilkunastu jurtt. Gospodarz powitał ich radośnie, a gdy Dendyb pokazał dzarę, zaopatrzoną dużą czerwoną pieczęcią saita, bardzo unieżenie poprosił gości do jurty. Zastali w niej kilku odświętnie ubranych Mongołów oraz dwóch .duchownych. Jeden z nich czytał coś półgłosem z dużej księgi, drugi zaś spalał na węglach ogniska czysto z mięsa obraną łopatkę baranią. Tuż przed taganem stała młoda dziewczyna mongolska, patrząc z ciekawością na obu duchownych. Zaledwo goście zajęli miejsca przy ognisku i zamienili się z obecnymi tabakierkami, łama, trzymający księgę, zapytał gospodarza:

— W którym księżycu i roku urodziła się twoja córka?

— W pierwszym letnim księżycu dwunastego roku, okresu tygrysa<sup>2</sup>).

— A w którym księżycu i roku urodził się twój brat,. Dzaganie? — pytał dalej łama, zwracając się do jednego z Mongołów.

— W trzecim zimowym księżycu siódmego roku tegoż okresu co i dziewczyna.

Łama rozszerzył dłoń i począł liczyć na palcach:

— Pierwszy rok: myszy, drugi: krowy, trzeci: tygrysa, czwarty: zająca, piąty: smoka, szósty: żmii, siódmy: konia, ósmy: owcy, dziewiąty: małpy, dziesiąty: kury, jedenasty: psa, dwunasty: świni.

Latami miękkimi są lata: myszy, krowy, zająca, żmii, owcy, małpy i kury, reszta to lata twarde czyli silne, — Dziewczyna urodzona w roku świni, a więc w roku twardym, a chłopak w roku konia, należącym także do lat twardych. Świnia jednak boi się konia i jest słabsza od niego, przeto nie widzę żadnych przeszkód co do małżeństwa, tem bardziej, że chociaż urodzeni są oboje w okresie tygrysa, to jednak dziewczyna ujrzała świat przy końcu tego okresu, a na początku okresu miękkiego, bo okresu zająca. Zresztą księga wróżbiarska stawia dla małżeństwa tego dobre widoki, ale wesele odbyć się powinno za dwa dni. Wszak macie już wszystko przygotowane do tej uroczystości?

— Tak, tak! Jak tylko przynieśli swatowie dobrą wróżbę od rodziców Dzagana, natychmiast przystąpiliśmy do przygotowań — odparł skwapliwie gospodarz rozpromieniony usłyszaną wróżbą.

Tymczasem drugi łama wyjął z ognia przepaloną łopatkę baranią i, wodząc pałeczką po licznych pęknięciach i rysach powstałych na niej, drugą ręką kreślił na popiele jakieś znaki. Wreszcie przemówił:

— Szczęście pójdzie w ich jurte, jak zgłodniały wielbłąd biegnie do krzaku karagany, Stada ich koni, bydła i owiec rozmnożą się jak źdźbła *deresunu*<sup>3</sup> na piaskach Gobi, jak kwiaty na łąkach wiosennych nad Selengą. Nic im nie zrobi ani zaraza, ani głód, ani buran, ale każdego roku konia muszą ofiarować w naszym churje po pięć sztuk rocznych baranów, by przebłągać rok świni!

Mongołowie, słuchając w skupieniu wróżb, aż pokraśniali z zadowolenia, dziewczyna z radością wybiegła z jurty, a kilku obecnych, będących swatami, wnet pożegnało się, by zawieźć wesołą nowinę rodzicom narzeczonego.

— Co to właściwie znaczy? — zapytał Janek Dendyba, korzystając z

zamieszania, powstałego przy wyjściu swatów.

— Gospodarz tutejszy wydaje córkę za mąż. Wróżby te są konieczne, bo przecież muszą wiedzieć, czy małżeństwo będzie szczęśliwe. Będziemy musieli pozostać aż do końca uroczystości weselnych, bo wyjazd nasz byłby dla młodych złą wróżbą.

— Czy jednak Stach zgodzi się na to?

— Owszem, bardzo chętnie; ciekawią mię zwyczaje mongolskie, więc z przyjemnością mogę tu parę dni pozostać — odparł Stach, słysząc zapytanie brata.

W jurcie tymczasem przygotowywano do wesela. Kobiety warzyły w kotłach mięso baranie, nakładały na drewniane talerze urum i tarak, mężczyźni zaś zlewali ze skórzanych worków *arich*, t. j. wódkę zrobioną z mleka. Widocznie jurta narzeczonego nie była daleko, bo prawie po dwu godzinach swatowie zajechali znowu na urton i, zasiadłszy przy taganie, poczęli się z gospodarzem umawiać o posag i wykup. Gospodarz urtonu musiał należeć do ludzi bogatych, bo za córkę dawał 20 krów, 200 owiec i 10 wielbłądów, swatowie zaś w imieniu rodziców narzeczonego dawali jako wykup za dziewczynę dziesięć jamb srebra wartości 700 *lanów*<sup>4</sup>). Po długich targach wykup i posag zostały ostatecznie uzgodnione. Poczem swatowie, wypaliwszy fajki i wypiwszy po czarce *arichu*, ruszyli w step do jurt narzeczonego. Na urtonie zaś poczęła się zabawa, przeplatana grą na długich skrzypcach o jednej strunie z końskiego włosia i piszczałkach wyrobionych z kości.

Na drugi dzień przed jurtą gospodarza urtonu postawiono stół z mięsem i napojami, przy którym zabawiali się Mongołowie, zjechawszy jako goście weselni z jurt okolicznych, Ale gdy tylko od strony, w której mieszkał narzeczonego, pokazał się liczny i wspaniale ubrany orszak,

biesiadnicy spiesznie opuścili stół i skryli się w jurtach. Jeźdźcy, przybywszy do urtonu, przywiązali do żerdzi konie, sami zaś zasiedli koło stołu, nic jednak z potraw nie ruszając. Po dziesięciu minutach z jurty ojca dziewczyny wyszło kilku Mongołów i, zbliżywszy się do zasiadłych przy stole ludzi, spytali:

— Kto jesteście? Skąd i dokąd jedziecie? Czemu przywiązaliście konie do żerdzi, gdzie nie wolno ich przywiązywać? Czemu siedliście za stół nie dla was przygotowany?

Swatowie odpowiedzieli:

— Słyszeliśmy, że tu w tej jurcie znajduje się klejnot, jakiego u nas próżnoby szukać. Opowiadał nam o tem stary Darchacz, który pasie dziesięć tysięcy owiec. Przyjechaliśmy do was w gościnę, a widząc na piasku ślady nóg ludzkich, siedliśmy za stołem!

Dwóch Mongołów pospieszyło z odpowiedzią do jurty, a po chwili wyszli znowu, zapraszając tym razem narzeczonego wraz z całym orszakiem do domu. W jurcie narzeczonego witał się z każdym z osobna, poczem składał obrzędem przepisane podarki: ojcu dziewczyny podał głowę i kręgosłup ugotowanego barana, matce: udo i dwa żebra, pęk świeczek ofiarnych z sitowia; czarkę arichu i cztery przednie żebra, złożył przed posążkami bóstw na burchanai-szire, a wszystkim dostojniejszym gościom dał po czarce arichu, kobietom zaś i młodzieży po czarce kumysu. Teraz dopiero zaczęła się wesola zabawa, śpiewy i muzyka. Ale już po chwili młodzież wybiegła przed jurty, bo tu z okazji uroczystości weselnej miały się odbyć ulubione przez Mongołów mocowania i strzelania z łuków, owej tradycyjnej broni tego narodu.

Zawodników do zapasów było wielu, ale każdy z nich uległ prawie bez walki olbrzymiemu Batorowi-Beise, który aczkolwiek bardzo

młody, dla swej niezwyklej siły został zamianowany przez chana *ajmaku*<sup>5}</sup> *mejrinem*, t. j. generałem. Bator-Beise bez trudu wielkiego pokonywał w górach dziczale jaki i teraz uraczył zebranych niezwykle widowiskiem.

Kilku tęgich ułazców przyproawdziło przed jurtę olbrzymiego czarnego sarłyka, rwącego się zapalczywie na długich rzemiennych arkanach. Bator, zdjąwszy z siebie terłyk, siadł na koń i dał znak. Dwóch konnych ułazców w pełnym galopie podbiegło ku sarłykowi i szybkimi jak okamgnienie uderzeniami noży przecięło krępujące zwierzę arkany. Sarłyk, poczuwszy się wolnym, oglądnał się wkoło, postąpił parę kroków, zniżył łeb i nagle jak burza runął na zebranych przed jurtą. Zaledwo jednak zwierzę przebiegło kilkanaście kroków, koń Batora, tresowany specjalnie do tego rodzaju łowów, w kilku szczupakach znalazł się przed groźnemi rogami sarłyka, przyjmując atak na siebie. Ale w chwili, gdy głowa jaka znalazła się prawie pod brzuchem wierzchowca, wykonał on gwałtowny skok w bok, a rogi napastnika uderzyły w próżnię. Sarłyk stał chwilę oszołomiony, jakby nie mogąc pojąć, gdzie zniknął wróg, który powinien był już leżeć z wyprutemi jelitami; chrapał gniewnie, bijąc wściekle długim ogonem po bokach, a potem znów z całą furją skoczył ku Batorowi. Widzowie stali bez ruchu, podziwiając niezwykle zręczność konia i zimną krew jeźdźca. Można było sądzić, że człowiek i zwierzę mają jedną myśl, stanowią nierozdzielna całość, tak świetnie i niechybnie harmonizowały wszystkie ich ruchy. A sarłyk szalał. Rzuczał się jak odłam skalny trącony burzą, wyrzucał z pod nóg grudy ziemi i piachu, skręcał w niespodzianych zwrotach, mając przed sobą tylko jeden cel: wywijającego mu się z pod rogów konia, płaśającego jakby odniechcenia, przeskakującego lekko niby na stalowych sprężynach przez olbrzymie cielsko mocarza gór

mongolskich. Aż w pewnej chwili, gdy zgromadzonym przed jurta gościom weselnym zdawało się, że sarłyk już dopadł konia i straszliwym uderzeniem wbił mu w bok róg ostry, Bator zachwiał się w siodle, skurczył i, nim zdołano krzyknąć z podziwu, siedział na grzbiecie jaka, trzymając w ręku grube postronki pęt.

Zdawało się, że sarłyk oszalał, czując na sobie ciężar człowieka. Rwał naoślep w niezgrabnych podskokach, wierzgał tylnymi nogami, lub wyprężywszy grzbiet w łuk, podskakiwał w górę, a potem spadał ciężko na ziemię wszystkimi łapami naraz. Ale usiłowania, by zrzucić nieznośny ciężar, były bezowocne, Bator, trzymając się jedną ręką kudłów na garbie, siedział jak wrosły, tylko strugi potu, spływające po jego miedzianych prawie plecach, świadczyły, iż pod pozornym spokojem kryje się usilna praca mięśni. Gdy wreszcie jak, zmęczony bezskutecznym wierzganiem, zatrzymał się na chwilę w miejscu, Bator momentalnie przechylił się w bok, szybkim jak błyskawica ruchem założył pęto na przednią nogę zwierzęcia tuż u nasady racy, potem równie szybko przerzucił sznur pod brzuchem sarłyka, chwycił koniec lewą ręką i zeskakując na ziemię, szarpnął z całej mocy. Sarłyk grzmotnął o ziem całym ciężarem swego potwornego cielska, lecz zanim zdołał powstać, już Mongoł sznurem skrępował mu przednie i tylne nogi. Założenie drewnianego kółka w nozdrza zwierzęcia było dziełem jednej minuty. Głośne oklaski i radosne okrzyki widzów nagrodziły męstwo i zwinność Batora, który ocierając z potu piersi, podobne do dwóch tarcz, i ręce wyglądające jak dwa grube sękate pnie uśmiechał się dobrodusznie.

Po niedługiej chwili przystąpiono do dalszego programu widowiska, do zawodów strzeleckich. Kilkunastu zawodników stanęło w równej linii, trzymając w rękach duże, z cienkich deseczek bambusowych sklejone łuki, oraz po pięć długich strzał. Na odległości 50 kroków



ustawiono rodzaj pomostu z żerdzi, na których wisiało kółko od mongolskiej uźdżienicy, w kółku zaś tem włożona była mała srebrna fajeczka, długością nie przenosząca mysikrólika.

Dano znak. Pierwszy z brzegu zawodnik podniósł szybko łuk, zmierzył, i strzała z głośnym świergotem przeleciała tuż pod kółkiem, dotykając go brzechwą. Głuche milczenie widzów było odpowiedzią na „puďło”, i niefortunny strzelec zniknął co prędzej w jurcie. Znowu sygnał! Młodzietki syn gospodarza naciąga łuk aż po brodawkę lewej piersi, puszcza strzałę i równocześnie z żalonym jej świstem fajeczka wybita z kółka z głośnym dźwiękiem pada na ziemię. Długo niemilkące brawa, a potem z piersi widzów wyrывa się *maktal*, t. j. uroczysty hymn pochwalny. Fajeczkę wkładają znowu w kółko i znów sypią się strzały jedna za drugą z różnym szczęściem, nagradzanem w razie celności strzału *maktalem*.

Zawody nie kończą się jednak na tej próbie. Młodzież bierze kilka żerdzi, kawałek starego wojłoku, na którym wyrysowano półmetrowej średnicy czerwony krąg, i ustawia go w odległości 200 kroków od jurt. Zawodnicy stają w szeregu i ponawia się strzelanie. W tych zawodach zwycięstwo osiąga Bator-Beise, wszystkie bowiem jego strzały tkwią w samym środku tarczy.

Wesoła zabawa, śpiewy, a potem rozdanie nagród zwycięzcom, zakończyły ten dzień. Nazajutrz rano o godzinie oznaczonej poprzednio przez łamę-wróżbitę, swatowie poszli do jurty dziewczyny, ubrali ją w długi płaszcz czerwony, tak by kapuza szczelnie okrywała jej twarz, następnie posadzili ją na koń i powieźli do rodziców pana młodego. Tutaj oczekiwał już orszak krewnych i znajomych. Dziewczynę zdjęto z siodła i zaprowadzono do nowej zupełnie jurty, w której odbyła się

uroczystość czesania, polegająca na rozpleceniu narzeczonej warkoczków i sklejeniu ich w dwa wachlarze, takie jakie noszą kobiety zameżne w księstwie Chałcha.

Gdy fryzura była gotowa, dziewczynę owinięto znowu szczelnie w płaszcz i zaprowadzono do jurty rodziców narzeczonego, gdzie musiała modlić się przed burchanai-szire, przed ogniskiem, rodzicami przyszłego męża i swoją matką. Ojciec wedle zwyczaju pozostaje w tym czasie w swej jurcie i przyjeżdża do córki dopiero w kilka dni po ślubie, przez trzy dni zrzędu, przywożąc za każdym razem gotowanego barana. Następnie panna musiała składać pokłony przed każdym krewnym, powtarzając modlitwy, które w tym czasie czytał jeden z łamów. Po tych modlitwach dziewczyna poszła do swojej nowej jurty, by zmienić odzienie dziewicze na strój mężatki, a goście zabawiali się aż do wieczora.

Zaniewscy, mając już przygotowane konie, ruszyli na noc w stronę Dzunmodo, chcieli bowiem przełęcz przebyć wczesnym rankiem.

## ROZDZIAŁ XIX.

### ZWALISKA „CZARNYCH MURÓW” .

Krętą, wąską ścieżyną wspinała się karawana Zaniewskich ku szczytom Bugun-szara. Potężny ten łańcuch górski poczyna się w zlewisku rzek: Dzapchynu i Bujantu o kilkaset wiorst na południe od Ulasutaju i ciągnie się wszere Mongolji na przestrzeni blisko półtora tysiąca wiorst na północny-wschód, łącząc się na pograniczu Syberji z krańcami wschodnich Sajan, a dalej na północy z Jabłonowemi grzbietami. Ścieżyna wiła się licznemi serpentynami przez wysokie uwały, ginęła w grząskich morenach, przechodziła w połacie pokryte lasami, a później znaczyła się ledwo widocznie na kamienistej posadzce turni, po których leniwo pełzały mgły poranne, otaczające szaremi smugami samotne karłowate pnie kosodrzewiny i nakrywające jakby ze wstydem skąpe kępki trawy, wśród której tu i owdzie wystrzelały jasnozielone łodygi dzikiej cebuli i czosnku.

Szczyty leżały w. śniegu. Słońce wiosenne nie miało jeszcze czasu stopić twardej zlodowaciałej skorupy, ale w otchłaniach huczały już wąskie strugi, wypływające z pod śniegów. Stokami zbiegały wdół modre tasiemki potoczków. Łącząc się w wąwozach w wartkie rzeczki, mknęły one wdół, spienione, by złączyć swe wody na zachodniej stronie z Chututem, a na wschodniej z Orchonem i z niemi popłynąć do Selengi, a potem do Bajkału.

Już słońce wytoczyło wysoko na firmament ognistą tarczę, gdy karawana stanęła na przełęczy werżniętej głęboko między dwa potężne masywy szczytów. Na ziemi, pokrytej dość grubą warstwą rzadziejącego śniegu, widać było twardo ubity szlak karawan; obok znaczyły się szerokie tropy, wydeptane przez stada kaczkorów, bunów i marałów, Z obu stron ścieżki wznosiły się dwa obo; jedno, ułożone z kamieni i chróstów, obwieszane szmatkami i końskim włosiem, poświęcone było bóstwu gór, drugie, misternie ułożone z ogromnej ilości rogów zwierzyny górskiej, było znakiem dziękczynienia myśliwych za dobre łowy. Dendyb, ułaczeni i stary lama, który przyłączył się w nocy do karawany Zaniewskich, przywiązali na obo dziękczynne ofiary za szczęśliwe przebycie drogi, i wnet karawana cała ruszyła wdół ku ogromnej kotlinie, na której przeświecała daleka srebrna nitka Orchonu, pławiąca się w zielonem morzu traw, Hen, hen daleko, ledwo widocznie znaczyły się ciemne budynki klasztorów, przedstawiające się z przełęczy jak maleńkie zabawki dziecinne, w dalekich rozłogach bieleły się niby stokrocie grupki okrągłych jurt, a na jasnej zieleni stepu odbijały ostro ogromne stada białych owiec, lub mieniły się złotem długie wydmy lotnych piachów.

Łagodne stoki gór pozwalały na szybką jazdę, to też ułaczeni popędzali konie, by, jak to jest w zwyczaju mongolskim, galopem zajechać na urton, który miał znajdować się gdzieś niezbyt daleko, jak o tem świadczył zresztą ostry dym z palącego się argału.

Jakoż wkrótce znaleźli się w szerokim wąwozie, gdzie na brzegu nikłego potoczka stało kilka starych, dziurami przeświecających jurt. Zeskoczyli szybko z siodeł, ale nikt nie wyszedł na ich spotkanie, tylko dwa ogromne kudłate kundysy, leżące obok żerdzi rozrzuconej zagrody, zaszczeakały chrapliwie i wnet skryły się za jurty, trwożliwie podwijając

pod siebie, ogony. Stach ruszył ku zamkniętym drzwiom najokazalszej jurty, ale gdy miał je pchnąć, by wejść do środka, ze zdziwieniem spostrzegł, że drzwi te przywiązane były sznurkiem do kołka wbitego przed jurta. Już miał zerwać sznurek, gdy wczas chwycił go za rękę stary łama, wołając z przestachem:

— Co robisz, chłopcze? Czy chcesz, by nam konie odebrano, a nas samych taszurami przepędzono w step? Czyż nie wiesz, że nie wolno obcemu przestąpić progę jurty w ten sposób zamkniętej?

Nie zdołał chłopiec na słowa te odpowiedzieć, bo z za pagórka ukazała się grupka ludzi, spieszenie zdążających ku jurtom. Na czele lej grupki szło dwóch duchownych w czerwonych szatach, z dziwnymi rogatemi czapkami na głowach, trzymających w rękach krótkie piszczałki oprawne w srebro i małe okrągłe bębenki. Za nimi postępowało kilku mężczyzn, prowadząc na długim *czamburze* (rzemieniu) wielbłąda zaprzężonego w dwukołową *arbę*, skrzypiącą przeraźliwie drewnianymi osiami kół, zbitych nieforemnie z grubych tarcic. Na uboczu szło kilka niewiast, trzymających za ręce nawpół gołe dzieci. Mongołowie, nie zwracając pozornie uwagi na karawanę Zaniewskich, podeszli do jednej z jurty i poczęli rozwiązywać sznury, wiążące wołokowe ściany. Po rozwiązaniu sznurów unieśli ztyłu jurty wołok w górę, odsunęli *chan* (siatkę drewnianą) i przez dziurę w ten sposób w jurcie powstała — weszli do środka.

Po chwili ukazali się znowu na dworze, ale tym razem dźwigając ciało zmarłego Mongoła, owinięte w kawałek bardzo zniszczonej *dalemby* (bawełnianego niebieskiego gałgana). Przy i wtórce piszczałek i biciu w „bębenki jedni układali trupa na arbę, drudzy zaś szybko naprawiali rozebraną ścianę jurty. Gdy wszystko było gotowe, orszak ruszył

ku miejscu, skąd przyszedł, odprowadzany żalonym skrzypem arby.

— Źleśmy trafili — przemówił Dendyb do chłopców. — Gotowe jeszcze jakieś лихо przyczepić się do nas i szkodzić w podróży!

— Czemuż to? — zapytał Janek.

— Widzisz przecież, że to pogrzeb! W takim miejscu zawsze pełno złych duchów się kręci! Teraz pewno rozumiesz, dlaczego *chałga* (drzwi jurty) zamknięta?

— Nie, jak również nie wiem, czemu trupa wynosili przez tylną ścianę.

— Drzwi zamknięte dlatego, by złe duchy nie miały przystępu do jurty, a trupa wynoszono przez tylną ścianę, aby duch nie mógł wrócić do jurty i niepokoić mieszkańców — wtrącił stary łama. — Zresztą nie powinno nam nic grozić, bo jak widzieliście, łamowie, obecni na pogrzebie, mieli piszczałki zrobione z ludzkich kości, a bębenki ludzką skórą obciągnięte, a wiadomo, że narzędzia takie najskuteczniej odganiają złe moce! Zupełnie bez obawy możemy iść i zobaczyć cały obchód pogrzebowy.

Ruszyli śladem orszaku i wkrótce zdołali go dopędzić, tem bardziej, że Mongołowie zatrzymali się już na stepie i poczęli rozwijać mały namiocik, przed którym ustawili wysoką żerdź, obwieszoną długimi skrawkami papieru, zapisanemi jakimiś znakami tybetańskimi.

Gdy namiot był już rozpięty, Mongołowie zdjęli trupa z arby, położyli go pod namiotem i nakryli dalembą, którą na czterech rogach przyłożyli kamieniami. Duchowni przez ten czas bili z całych sił w bębenki i grali na piszczałkach, wykonywając przytem ruchy taneczne.

— Patrzcie — mówił szeptem stary łama do Zaniewskich, zasłaniając ręką usta. — To jest namiot śmiertelny, który po ukończeniu modlitw

zostanie zabrany, a ta żerdź nazywa się *mani*. Na niej bowiem znajdują się te skrawki papieru, zawierające buddyjskie zaklęcia: „Om mani padme hum”. Zadaniem tych zaklęć jest odstraszenie złych mocy, a zwabienie zwierząt i ptactwa, które powinny jak najszybciej zjeść ciało zmarłego, by duch jego wyzwolony z więzów cielesnych mógł pójść przed sąd Erlik-chana, władcy piekieł, i stosownie do uczynków w przeszłym życiu przejść w człowieka, zwierzę lub owada! Stach otworzył usta, by o coś zapytać, ale łama ruchem ręki nakazał mu milczenie, szepcząc:

— Pamiętaj, że w takich miejscach trzeba zawsze usta zakrywać ręką, bo złe duchy najchętniej ustami wchodzi w człowieka!

Tymczasem skończyły się modlitwy. Mongołowie zwinęli namiot, żona zmarłego przywiązała do mani chadak, i cały orszak ruszył szybko w stronę jurt. Stach obejrzał się w połowie drogi i zobaczył, że koło trupa zebrało się już kilka psów, a jeden z nich, widocznie najśmielszy, zerwał nawet dalebę.

— Bogobojny to musiał być człowiek — zauważył spokojnie łama, idący obok chłopca — bogowie nie pozwolą długo duszy jego czekać na sąd.

Natychmiast po powrocie z pogrzebu Zaniewscy ruszyli z towarzyszami w dalszą drogę, nie mając ochoty uczestniczyć w stypie, którą mieszkanki jurt poczęły przygotowywać. Mając dzarę na urtony i urgę, opuścili trakt i jechali naprzelaj przez stopy w kierunku południowo-wschodnim, aby jak najprędzej dostać się do Karakorum. Tu i ówdzie napotykali zwaliska dawnych klasztorów, zarośnięte teraz bujną trawą lub krzewami karagany. Czasem widzieli stare burchany, zżarte już dobrze zębem czasu, a bliżej Orchonu Dendyb zwrócił im

uwagę na stare mogiły chirchis-ury, których tutaj było szczególnie wiele.

Zaniewscy z ciekawością patrzyli na te prastare pozostałości po dawnych mieszkańcach Mongolji, tem bardziej, że mogiły, rozsiane tutaj w niezwykłej ilości, przeróżne miały formy. Jedne oznaczone były wysokimi kamiennymi płytami, na których zachowały się jeszcze dosyć wyraźnie znaki „runicznego” pisma, inne miały resztki posągów tak już zniszczonych, że trudno było rozróżnić ich formy. Najwięcej mogił miało kształt dużych kół lub kwadratów gęsto otoczonych kamieniami. We wnętrzu tych kół i kwadratów widać było z kamieni ułożone figury, przypominające zupełnie plany miast czy fortec, przy innych znów grobach stały rzędami płyty kamienne, niby szeregi wojska.

Chirchis-ury ciągnęły się nieprzerwanym prawie pasem przez step daleko na zachód i wschód. Widać było, że nikt tych grobów nie ruszał, nikt nie zmącił spokoju tych, co w nich przed wiekami legli.

Zaniewscy oglądali ciekawie płyty i kamienie, a stary łama mówił:

— Te chirchis-ury, które tu widzicie, są tylko małą częścią ogromnej ilości mogił, jakie widzieć można w Mongolji. Na północnej połaci naszego kraju ciągną się one od gór Kentej poprzez stopy i lasy hen ku zachodowi. Jedna część przechodzi na północ koło Chubsugul-noru (Kosogołu) i gubi się w tajgach, druga wzdłuż Tesin-gołu przechodzi aż do Urjanchaju. Niektóre z tych mogił, większe i znaczniejsze, rozkopywali uczeni z Europy, inne rabowali Chińczycy. Znam dobrze prawie wszystkie te miejsca, bo nieraz towarzyszyłem różnym wyprawom, które badały mogiły i ruiny miast...

— Jakto! —przerwał zdumiony Stach — duchowny mongolski brał udział w rozkopywaniu ziemi? Przecież to wedle waszych wierzeń ciężki grzech!



— Ja też nigdy sam ziemi nie kopałem — odparł spokojnie łała. — Zawsze jednak nęciło mię poznanie starych dziejów mojego kraju, to też mimo przeróżnych kar, nakładanych na mnie przez władze duchowne, jak tylko usłyszałem o nowej wyprawie badającej Mongolję, rzucałem klasztor i spieszyłem połączyć się z uczonymi. Byłem obecny przy badaniu różnych chirchis-urów, spędziłem długie tygodnie w Chara-bałgasun (Karakorum), byłem też przy rozkopywaniu Chara - choto (Martwe Miasto) w Ordosie jako tłumacz pułkownika Kozłowa, który kierował tą wyprawą. Dużo wtedy słyszałem, i jeśli chcecie, mogę wam cos o tych mogiłach opowiedzieć.

— Z całą przyjemnością posłuchamy cię, łało! — zawołali Zaniewscy.

— Mogiły te pozostawili po sobie nie Mongołowie, ale Ujgurowie, szczerp turecko-ałtajski, który Mongolję zamieszkiwał przed wiekami. Ujgurowie mieli wysoką kulturę, własne pismo, budowali miasta wspaniałe i rządzili się bardzo mądrze. Ale ze wszystkich stron otaczały ich dzikie szczepy mongolskie, które żyły przeważnie z rozbojów. Ujgurowie tęgimi byli wojownikami; świadczą o tem te rzędy kamieni i figur przy różnych mogiłach, mające przedstawiać ilość zabitych wrogów przez tych, którzy leżą w tych mogiłach, Ale na świecie wszystko ma swój koniec, Ujgurowie ulegli sile i zniknęliby bez znaku, gdyby nie te napisy na pomnikach, które uczeni zdołali odcyfrować i dawną przeszłość z nich przeczytać. Ile jednak cennych napisów zniszczyli nasi łamowie przez swoją głupotę? Ot, patrzcie na ten kamień! Prawie cały napis zniszczony, bo jakiś łała wyrył na nim słowa; „Om mani padme hum” . Kto wie, czy głupiec ten nieświadomie nie zniszczył jakiegoś ciekawego epizodu z życia zmarłego spoczywającego pod tym kamieniem.

Przy ciekawej gawędzie łamy karawana, chyżo posuwała się naprzód i wraz z zapadającym mrokiem dotarła do Orchonu. Rzeka nadzwyczaj wartka, o wodach czystych jak kryształ, płynęła tak głębokim korytem, że spostrzegano się ją, nadjechawszy prawie nad sam brzeg. W miejscu, gdzie karawana się zatrzymała, rzeka rozdzielała się na dwa koryta, obejmujące dosyć dużą wyspę zarośniętą topolami, Naprzeciw tej wyspy, na ogromnej piaszczystej wydmie znajdował się duży klasztor o kilku, wspaniałych świątyniach, z których z zapadnięciem nocy rozległ się basowy głos trąb długich, wzywający łamów na nocne modlitwy do bóstwa księżyca, wychodzącego w tę właśnie noc w pełni na firmament.

Noc będzie piękna i jasna, zamiast więc nocować tu w dusznych jurtach klasztornych, jedźmy do ruin Chara-bałgasun, znajdujących się o kilka wiorst na południe! — zauważył lama.

Zaniewscy z radością przyjęli propozycję, nie zważając na protesty Dendyba, który gorąco dowodził, iż lepiej i bezpieczniej zatrzymać się w murach klasztornych.

Ruiny Chara-bałgasun rozciągają się na dosyć znacznej przestrzeni w oddaleniu zaledwo piętnastu minut drogi od Orchonu. Mury, otaczające ruiny, zachowały się jeszcze wcale dobrze i dla ciemnej barwy otrzymały nazwę „Chara-bałgasun” t. z. Czarne mury. Szerokie otwory w murach, zwrócone na cztery strony świata, były prawdopodobnie bramami miasta, strzeżonymi przez duże bastjony, z których teraz pozostały tylko gruzy, zarośnięte obficie trawą. We wnętrzu przestrzeni, zamkniętej murami, znajdują się zwaliska pałacu, kilku potężnych przedtem budowli, liczne ślady ceglanych domów, podwórza wybrukowane ogromnymi płytami kamiennymi i kilka znaczniejszych kopców, będących prawdopodobnie bur chanami.

Zaniewscy, zostawiwszy konie z Dendybem i ułaczehami nad brzegiem Orchonu, poszli pieszo wraz z łamą do ruin obejrzeć je przy świetle księżyca. Burchany i liczne zwaliska granitowe rzucały na ziemię wydłużone fantastyczne cienie, a z zarośniętego trawą olbrzymiego tarasu pałacowego zerwało się kilkanaście zgrabnych sylwetek antylop dzereni, które spłoszone widokiem przybyszów, pomknęły ku bramie zachodniej i wnet zniknęły poza murami.

Lama usiadł na złomie granitowej kolumny i począł mówić przyciszonym głosem:

— Jesteście w murach miasta, gdzie przez długie lata panowali najpotężniejsi władcy świata. Miasto to zbudował na ruinach dawnej stolicy Ujgurów najukochańszy syn wielkiego Czingis-chana, potężny i łagodny Ugedej. W tem oto miejscu znajdował się jego pałac, w którym zebrane było wszystko, co najpiękniejszego i najcenniejszego niezmierzone państwo jego mieć mogło.

Tysiące niewolników i niewolnic snuło się między temi kolumnami, a zwyciężeni monarchowie różnych narodów zginali dumne karki przed chanem, prosząc o łaskę i pokój. Te mury patrzyły na najdzielniejszych wodzów mongolskich, na niepokonanych bagatyrów, którzy jeszcze z Czingizem zdobywali dalekie kraje, bogate miasta i warownie potężne.

Z tego miasta rozbiegali się gońcy na wszystkie strony świata, niosąc rozkazy do wodzów niezliczonych armij, które od morza Chińskiego na wschodzie do dalekich krajów europejskich na zachodzie, od dzikich puszczy syberyjskich na północy aż po lazurowe tonie oceanu Indyjskiego na południe, walczyły zdobywając coraz to nowe prowincje, roznosząc sławę potężnego wówczas narodu mongolskiego.

Ileż to świetnych poselstw widziały te mury! Ileż karawan słońi i

wielbłądów przechodziło przez te bramy, dźwigając cenne podarki i jassaki dla chanów! Iluż to mędrców, wróżbitów i kupców z całego świata pchało się do wrót tego miasta!

A teraz? Z dawnej świetności i potęgi zostały tylko gruzy, na których spokojnie pasą się dzerenie! Rzadko który Mongoł wie, czyją pamiątką są te ruiny; rzadko który zna imię twórcy tego miasta; zaledwo ten i ów wie coś o Czingizie.

W ostatnich słowach starca drgała nuta takiej goryczy, że obaj bracia nie śmieli przerwać milczenia, które po nich zapanowało. Długą chwilę siedzieli, obserwując bezszelestny lot olbrzymiego puhacza stepowego, krążącego tuż prawie nad ziemią. Wreszcie gdy łama wstał i poszedł do otworu w murze, przez który widać było daleki blask ogniska, rozłożonego przez Dendyba, ruszyli bez słowa za nim. Nie przebyli nawet połowy przestrzeni, dzielącej ich od obozowiska, gdy nagle step zawrzał straszliwym zgiełkiem. Od strony klasztoru ozwało się najpierw zdławione odległością ujadanie psów, potem krzyki ludzkie, między które wmieszały się suche trzaski wystrzałów. Równocześnie prawie z zabudowań klasztornych buchnęły w górę wąskie języki płomieni, zginęły na chwilę w czarnym obłoku dymu, a potem rozlały się w morze ognia.

Zaniewscy stanęli jak wryci, spoglądając na coraz bardziej srożący się pożar, ale wnet z osłupienia wyrwał ich przeraźliwy krzyk łamy:

— Do koni!

Pobiegli co tchu do obozowiska. Dendyb zwinął już podróżny majchan, poczem gotującą się herbatą zalał ognisko. Stach pobiegł w miejsce, gdzie przedtem stały konie, wierzchowców jednak nie było, wraz z nimi zniknęły również ułaczeni.

— To na pewno banda kulisów napadła na churje! Musimy schronić się gdzieś, zanim te łotry opuszczą zgliszcza! — zawołał łama.

— Nawet bronić się niema czem, gdyż wszystkie naboje były w torbach przy siodłach — dodał Janek, przeglądając karabinki.

Dendyb spojrział wokoło, jakby szukając miejsca, gdzieby można najlepiej się schronić, poczem jął mówić przyciszonym głosem:

— Nie mamy innego wyjścia jak tylko skryć się w ruinach, Noc zbyt jasna na ucieczkę w step, zresztą piechotą niedaleko zajdziemy, Orchonu zaś w tem miejscu przepłynąć nie można, tu bowiem są niezwykle zdradliwe wiry, a bród znajduje się naprzeciw klasztoru...

— A więc do ruin! — przerwał łama, — Zabierzcie ze sobą te rzeczy, bo jak je bandyci spostrzegą, to na pewno szukać będą ich właścicieli!

Juki były ciężkie, ale mimo to czwórka podróżnych wnet chwyciła je na plecy i szybko zdążać poczęła ku ruinom. Nie zdołali jednak przebiec kilkuset kroków, gdy od strony płonącego churje pokazało się kilkanaście koni, pędzących w szalonym popłochu wprost na ruiny. Stadko to prowadził prześliczny biały ogier, który głośnym rżeniem zdawał się kierować biegiem idących za nim koni. Tuż prawie za stadem mknęło na zwrotnych gobijskich wierzchowcach kilku ludzi, trzymających w rękach długie żerdzie urg. Na widok czterech postaci, biegnących do ruin, jeźdźcy wydali gromki okrzyk i pochylili się w kulbakach, wyciągając urgi jak lance do ataku.

Stach rzucił z pleców worek i chciał biec do brata, by w chwili napadu być blisko niego, ale nagle poczuł bolesny ścisk w piersiach i gwałtowne szarpnięcie. W tej samej chwili otrzymał tak straszne uderzenie w głowę, że świat cały zakręcił mu się przed czyma, i chłopak jak wór piasku runął bezprzytomny na ziemię.

Świtało już, gdy Stach, ocknąwszy się z długiego omdlenia, otworzył oczy i mętnym jeszcze wzrokiem powiódł dookoła.

Leżał na trawie poza kręgiem kilkunastu dogasających ognisk, przy których uwijało się około stu ludzi, ubranych w jakieś fantastyczne stroje, a uzbrojonych od stóp do głów. Nieco na uboczu pał się duży tabun wysokich i zgrabnych koni gobijskich, osiodłanych wysokimi kulbakami, przy których sterczały pękato wypchane torby skórzane. Z lewej strony stał niebieski majchan, a przed nim siedział olbrzymi Mongoł, ubrany we wspaniałą jedwabny strój i białą papachę kozacką, nadającą twarzy jego wygląd okrutny. Mongoł ten musiał być wodzem bandy, bo wszyscy jego ludzie zwracali się doń z oznakami prawie niewolniczej uległości, spełniając każdy jego rozkaz z niezwykłą szybkością.

Po prawej stronie obozowiska zobaczył Stach sporą gromadkę łamów klasztornych, a wśród nich Janka, Dendyba i starego łamę, towarzysza podróży. Wszyscy byli silnie skrępowani sznurami i przywiązani do ciężkich płyt kamiennych, których pełno leżało wokoło.

Na rozkaz, wydany przez wodza bandy, kilkunastu ludzi rzuciło się ku więźniom i, szybko odmotawszy sznury od płyt, pociągnęli ich przed majchan. Zbyt daleko było, aby Stach mógł dokładnie usłyszeć, co mówił dowódca, zresztą na nicby się to nie przydało, bo z kilku oderwanych zdań, które doń doleciały, zrozumiał, że rozmowa prowadzona jest w nieznanem dlań narzeczu. Po długich rozhovorach, wyglądających na jakieś targi, łamowie odeszli z grupą zbójów i w stronę zgliszcz klasztornych, a na majdanie pozostali tylko trzej towarzysze Stacha, otoczeni zwartem kołem straży. Po chwili jednak koło to rozprysło się nagle na wszystkie strony, i Stach ze zgrozą

zobaczył, że jakiś drab z gołą szablą w ręku odprowadza Janka na środek majdanu, zrywając po drodze terłyk z ramion chłopca, by obnażyć mu szyję. Mimo ogromnego bólu w głowie Stach wyteżył wszystkie siły, by podnieść się z ziemi, ale teraz dopiero poczuł, iż ręce i nogi ma skrępowane długim arkanem z sierści wielbłądziej. Chciał krzyknąć, by zwrócić na siebie uwagę i tym sposobem przewlec chwilę stracenia brata, lecz w tejże chwili rozległ się tak głośny i beztroski śmiech starego łamy, że bandyta, wiodący Janka, odwrócił się i jął spoglądać w największym zdumieniu wkoło.

A łama, zanosząc się wprost od śmiechu, mówił coś urywanymi zdaniami do wodza, tenże zaś pod wpływem tych słów i śmiechu zerwał się jak oparzony z przed majchanu, w kilku skokach dopadł kata, wyrwał mu szablę i jednym cięciem ostrza rozciął sznury, krępujące ręce chłopca.

Z nadmiaru wzruszenia i bólu Stach stracił znów przytomność, ale gdy się obudził, zobaczył nad sobą twarz starego łamy, który delikatnie przewiązywał mu głowę. Starzec, widząc otwarte oczy chłopca, pochylił się do jego ucha i cicho wyszeptał:

— Jesteśmy w niewoli u Czacharów. To resztki wojsk czacharskich rozbitych przez Ungerna. Chcieli was stracić, myśląc, żeście szpiegami generała... Ha! Krucho już z Jankiem było... użyłem podstępu i śmiejąc się powiedziałem temu drabowi, co jest ich wodzem: Ci chłopcy są synami bardzo bogatego no jona mieszkającego w Kitaju. Jeżeli ich zabijesz, to stracisz znaczny okup, który mógłbyś otrzymać od ojca! Podstęp się udał, bo Czachar łakomy widocznie na pieniądze... Niech będzie wielki Budda chwalony po wieki i niech nie policzy za grzech mojego kłamstwa!

## ROZDZIAŁ XX.

### BANDA CURUNA. SPOTKANIE.

Oddział Curuna (tak zwał się dowódca Czacharów) szedł przyspieszonym marszem w kierunku południowo-zachodnim, wiodąc ze sobą pod silną strażą Zaniewskich i ich towarzyszy; Pochód Czacharów był nieprzerwanym łańcuchem nagłych .napadów na bogate jurty mongolskie i liczne churje. Banda rabowała wszystko, co tylko przedstawiało jakąś wartość, zabierała tabuny koni, a na każdym postoju raczyła się obficie mięsem baraniem, wybijając ze stad mongolskich co najtłustsze sztuki.

Niedługo jednak trwały te żniwa; Mongołowie bowiem roznieśli szeroko wieść o grasującej bandzie, i mieszkańcy stepów spiesznie zwijali swe jurty, ładowali dobytek na najszybsze konie i uchodzili w góry, a pastuchowie zaganiali stada aż po Ulasutaj, dokąd Curun ze względu na silny garnizon regularnych wojsk mongolskich nie śmiał się posunąć.

Zaniewskim powodziło się naogół nieźle. W pierwszych dniach, kiedy Curun kazał im jeszcze wiązać ręce, cierpieli strasznie, tem bardziej, że oddział gnał zwykle galopem, później jednak, prawdopodobnie wskutek rozmów starego łamy z dowódcą, zdjęto im pęta z rąk, przepasując tylko wpół ciała arkanami, które dwaj Czacharowie zawsze trzymali. Ale już- po tygodniu i ten środek



ostrożności był tylko czczą formalnością i obaj bracia prawie cały czas spędzali z łamą i Dendybem, od których ich początkowo oddzielono.

Lama Miczik, tak kazał się starzec nazywać, był zawsze w doskonałym humorze, dbał o to, by Zaniewskim nie skąpiono dobrego jadła, a często w ostrych słowach robił wyrzuty Curunowi, jeśli ludzie jego dla chłopców nie przygotowali należytego noclegu, Miczik, opowiadając niestworzone rzeczy o rzekomych bogactwach ojca Zaniewskich, potrafił w Czacharach wyrobić mniemanie, że okup za obu chłopców równać się będzie setkom tysięcy łan, a tem samem uzyskać dla swych pupilów nietylko wiele ustępstw, ale ogólny szacunek tych półdzikich rozbójników.

Miczik, władając doskonale językiem rosyjskim, mógł bez obawy zrozumienia przez strażę czacharskie udzielać chłopcom wszelkich wiadomości i spostrzeżeń, a czynił to tem chętniej, że pod troskliwą jego opieką Stach coraz szybciej przychodził do zdrowia i stawał się coraz: weselszy.

— Masz, chłopcze, wielkie szczęście — mówił do Stacha, przewiązując mu bandażę na głowie — że szabla tego draba, co cię zdziesiął w głowę tam pod ruinami Chara-bałgasun, zwinęła się na metalowem okuciu wierzchołka czapki. Dobrze, że tylko skórę rozciął! Przyznać jednak trzeba, że sił masz wiele, skoro z taką raną możesz odbywać tak męczącą podróż...

— Ech, co tam moja rana! Chwała Bogu, iż Jankowi nic się nie stało! Ale gdzie my właściwie jesteśmy i dokąd zdążamy?

— Ho, ho! Nasz Curun dobrze się chce w Mongolji obłowić, zanim powróci do domowych pieleszy! Jedziemy wprost na rzekę Bajdarik! To przecież najbogatszy w złoto zakątek Mongolji! Na Bajdariku nietylko

Mongołowie przemywają złoto, ale nawet i Rosjanie mają tam swoje płóczkarnie. Zresztą może się myłę, może Curun dąży na południowy trakt kara wanny, łączący Kałgan z Ulasutajem, ale przecież dlatego nie potrzebuje iść w kierunku południowo-zachodnim, lecz wprost na południe!

Przypuszczenia Miczika sprawdziły się, ale tylko w połowie, bo gdy Czacharowie doszli do traktu, jedna część oddziału ruszyła traktem na południe, druga zaś pod wodzą Curuna poszła wprost na Bajdarik. Rozdzielenie się oddziału było dla Zaniewskich niespodziewanym ciosem, banda bowiem, zdążająca traktem, zabrała ze sobą Miczika i Dendyba, chłopcy zaś iść musieli z Curunem.

Przed rozstaniem się znalazł łama jeszcze tyle czasu, by szepnąć Stachowi:

— Nie wiem, czemu nas rozdzielają, ale to zły znak,.. Kto wie, czy Curun nie domyśla się, iż go okłamywałem..., w każdym razie pilnujcie się dobrze, a przy pierwszej dogodnej sposobności uciekajcie wprost na północ! Zachowajcie dobrze wasze dzary: mongolską od saida Czultun-Beilego i chińską od Li-nian-fu. Bardziej jednak strzeżcie waszego talizmanu, bo to lepsze niż wszystkie dokumenty! Ja będę się starał także uciec, chociaż wolałbym dostać się do-Chin, bo tam w Hong-kongu mam brata przełożonego klasztoru. Dawna się doń wybierałem, No, bywajcie zdrowi, bo widzę, że już mnie te zbójce szukają!

Dendyb chciał także pożegnać się z chłopcami, ale pilnujący go Czachar ściągnął arkan, którym Mongoł był wpół związany, kazał mu sięść na konia, i wkrótce oddział, -puściwszy w cwał wierzchowce, zniknęła w tumanach, piaszczystego pyłu na trakcie.

Obawy Miczika-łamy były zupełnie bezpodstawne, Curun święcie wierzył, że więźniowie jego są synami jakiegoś nababa i, strzegąc ich jak żrenicy oka, dbał o ich wygodę i dobre pożywienie.

Z rozmów z Curunem, prowadzonych w łamanym języku mongolskim, a w większej części na migi, dowiedział się Stach, że pierwszy oddział ruszył do Kałganu, Miczika zaś i Dendyba zabrał dlatego, by przez nich przed powrotem Curuna wynaleźć ojca chłopców i omówić z nim kwotę okupu.

Wiadomość ta tak zasmuciła Stacha, że postanowił jak najszybciej uciekać, zanim Curun dowie się, iż opowiadania Miczika były tylko wytworem fantazji. Działać trzeba było jednak bardzo ostrożnie, by najmniejszym gestem nie wzbudzić podejrzliwości baczących na wszystko Czacharów, Zresztą po dokładnem rozważeniu sprawy doszedł do wniosku, iż zbyt ni pośpiech mógłby wszystko popsuć.

— Z Bajdariku do Kałganu jest w prostej linii przeszło tysiąc wiorst — szeptał w nocy do Janka, leżąc na wojłokowem posłaniu. Miczik przybędzie tam najrychlej za dwa tygodnie, bo przecież Czacharowie nie pójda przez bezwodną pustynię Gobi naprzelaj, lecz muszą się trzymać traktów, na których są studnie. Jakie to szczęście, że w Ulasutaju dostałem od Andrejewa mapę Mongolji; w razie ucieczki nie będziemy błądzili!

— A jeśli Miczik ucieknie wcześniej i Czacharowie dadzą znać o tem Curunowi? — zapytał z obawą Janek.

— Miczik zbyt jest mądry, by nie wybadał Czacharów, dokąd jadą; jeśli ucieknie, to gdzieś w pobliżu Kałganu, bo, jak sam mówił, chciałby się dostać do Hong-kongu. W razie gdyby go nawet przywieźli do Kałganu, to przecież muszą mu dać trochę czasu do skomunikowania się

z naszym rzekomym ojcem. Ech! — żeby to Dendyb opowiedział Miczikowi o naszym wujku, tenby na pewno potrafił go znaleźć w Chinach.

— Ha! Miejmy oczy i uszy otwarte, by nie przegapić sposobności ucieczki. Starajmy się też zdobyć jaką broń, bo bez. niej zginiemy w stepach! — zakończył rozmowę Janek, gdyż w tej chwili strażnik wszedł do ich majchanu. Wysokie góry przechodziły stopniowo w uwały, step zaś pokryty był takim mnóstwem drobnych kamieni, że można było mniemać, jakoby został niemi umyślnie wysypany. Coraz częściej widać było góry lotnych piachów, które wiatr przesypywał z miejsca na miejsce. Okolica stawała się prawie bezludna, zato na stokach pokrytych dość bujną trawą widziało się liczne stada argali i dzereni. Czacharowie polowali zawzięcie na te zwierzęta, brali tylko mięso i skóry, a prześlicznie skręcone rogi baranów górskich odrzucali jako balast zupełnie niepotrzebny.

Wreszcie jednego dnia dotarli do Bajdariku. Rzeka płynęła między niewysokimi uwałami, przedzierała się przez piaszczyste połacie i ginęła w szerokiej kotlinie, wpadając do ogromnego jeziora Bouncagan-nor. Curun rozdzielił oddział na kilka mniejszych i rozpoczął łowy na przemywaczy złota. Łowy te nie były zbyt trudne. Banda napadała zwykle na maleńkie jurty poszukiwaczy, rabowała je, a potem za śladem dobierała się do ich właścicieli, zajętych pracą na rzece lub potokach do niej wpadających.

Łup zabrany u Mongołów, przemywających złoto, był bardzo mizerny z tej przyczyny, że przemywaczy było nadspodziewanie mało i praca ich prowadzona była w sposób niezmiernie pierwotny. Leżał taki poszukiwacz całymi godzinami na brzuchu w wodzie i, grzebiąc palcami

w piasku, wyszukiwał co większe grudki szlachetnego kruszcu, chowając je potem do skórzanego woreczka zawieszzonego na szyi. Lepiej już obłowili się bandyci u kilku Rosjan, prawdziwych przemywaczy złota, ale i tu widocznie zdobycz nie była tak wielka, bo Curun, pieniąc się ze złości, już na trzeci dzień całą swoją bandę pchnął wprost na wschód.

Przybywszy nad rzekę Narim, Curun skierował swój oddział ku jezioru Cagan-nor, dokąd dotarł po czterodniowym marszu, a potem ruszył traktem urtońskim na południe, wprost na pustynię Gobi.

Zaniewscy, słysząc tak wiele o pustyni Gobi, byli widokiem jej rozczarowani. Pustynia ta bowiem bardzo mało przypominała prawdziwą pustynię. Nazwa „Szamo” t. z. „Morze piasków”, była zupełnie uzasadniona, bo rzeczywiście piaski pustyni przedstawiały się jak wzburzone fale morza, tak były pofałdowane wydrami, ale wydmy te nie były zupełnie bezpłodne, owszem rosły na nich dosyć gęsto rozłożyste krzewy saksaulu i karagany, gęste zarośla charakterystycznego dla Gobi deresunu, a nawet w niektórych miejscach bujne łąki, na których pasły się stada koni urtońskich. Zaniewscy, czytając opisy Sahary, wyobrażali sobie, że i Gobi powinna być bezwodną i bezpłodną. Tymczasem oddział trafiał co kilkanaście wiorst na doskonałe studnie, a często na małe potoczki, przy których zieleniała tak bujna trawa, że konie płały się w niej po brzuchy. W tych okolicach widzieli niezmiernie ilości antylop, tak jednak doskonale barwą sierści dostosowanych do tła pustyni, że spostrzegano się je dopiero w chwili, kiedy spłoszone zbliżeniem się jeźdźców ruszały pełnym biegiem w zbawcze zarośla karagany.

Oddział Curuna zatrzymywał się przy studniach tylko dla napojenia

koni i nabrania wody w wory skórzane, które troczono na juczne, zwierzęta. Dłuższy odpoczynek następował dopiero wieczorem i wtedy ludzie gotowali stawę, a konie puszczano na paszę.

A jednak im bardziej na południe posuwała się banda Czacharów, tem okolica stawała się dzikszą, jednostajniejszą i jakby zamarłą, Skąpa trawa nabierała koloru prawie żółto-popielatego i trudno ją było zdaleka odróżnić od takiegoż tła piachów, kamienistych rozsypisk i wzgórzy. Deszcze w tych okolicach musiały być rzadkością, bo mimo wiosny ziemia w miejscach wolnych od piasków była twarda i spękana. Gdzie niegdzie wdali od traktu widziało się ogromne brudno-szare koliska, były to ślady wyschniętych już jezior, na których dnach osiadła grubą warstwą skryształizowana sól.

Musiała jednak ta dzika pustynia być niegdyś żyznym krajem, bo kilkakrotnie spotykali napół piaskami zasypane ruiny klasztorów, czy miast, a w okolicy dosyć wysokiego łańcucha gór Churchu znaleźli chłopcy olbrzymią, bo prawie półtora metra długą czaszkę prastarego dwurogiego nosorożca\*), zachowaną zupełnie dobrze przez niezwykle suchy, prawdziwie kontynentalny klimat Gobi. W parę dni później zobaczyli Zaniewscy na warstwach rozsypujących się skał zupełnie wyraźny odcisk olbrzymiego przedpotopowego jaszczura\*).

Mimo coraz cięższych warunków drogi, oddział Curuna szedł równie szybko jak na stepach, Gobijskie konie Czacharów zadowalały się skąpą trawą, schudły nieco, sierść ich straciła jedwabisty połysk, a jednak, mimo że przebyły ogromną przestrzeń, szły tak ogniście, jakby wczoraj dopiero zostały wzięte pod siodła.

Zaniewscy próżno wyczekiwali sposobności do ucieczki; mimo pozornej wolności, jaką mieli w dzień podczas marszu, pilnowano ich

bacznie, a w nocy w czasie postoju w majchanie ich czuwało zawsze dwóch uzbrojonych Czacharów, zmieniających się co kilka godzin.

W ten sposób przybyli aż do urtonu Norin, leżącego już na pograniczu posiadłości Urotów. Curun miał zamiar skierować oddział swój na Bülügün-szara, duży urton leżący na głównym trakcie Kałgan-Urga, a oddalony od Norinu zaledwo ośmdziesiąt wiorst, gdy nagle przednia straż dała znać, że ku urtonowi zbliża się duża karawana kupiecka, W jednej chwili Curun bandę swoje rozdzielił na dwie części i zapadł w wąwozach dosyć znacznych kamienistych wzgórz tej okolicy.

W niespełna godzinę potem Czacharowie po nader krótkiej walce z kilkudziesięciu Mongołami zdobyli karawanę stosunkowo bardzo znaczną, bo liczącą około dwustu głów jucznych wielbłądów. Wnet cała banda rzuciła się do rabunku. Rozrywano juki, wyrzucając na stos zwoje przeróżnych materyj, od zwykłych *daleb* i *culemb* począwszy, a skończywszy na najpiękniejszych jedwabiach i brokatach. Zdejmowano z grzbietów wielbłądów paki z tytoniem i dzyzanem, worki z najpiękniejszą mąką chińską, skrzynie z cukrem, naczyniami, przeróżnymi cennymi drobiazgami tak chętnie kupowanymi przez Mongołów, Ale największą radość wzbudził w Czacharach widok ogromnych koszy, wylepionych wewnątrz nieprzemakalną masą, w których znajdował się „chara-arich” spirytus chiński.

Bandyci, nie zważając na krzyki i zakazy Curuna, wnet otwarli kilka takich koszów, i pełne czarki poczęły krążyć między ludźmi oddziału, roztaczając wkoło silny zapach alkoholu. O dalszej podróży nie było mowy. Czacharowie zbyt byli zajęci przeglądaniem bogatego łupu, zbyt wreszcie podnieceni wódką, by słuchać swego wodza. Wiedzieli dobrze, że do ich koczowisk pod wielkim murem chińskim nie pozostało nawet

tygodnia drogi. Każdy przeto chciał jak najwięcej rzeczy załadować na swoje konie, a także dosyta uraczyć się wódką, którą i tak musiano pozostawić w stepie, zbyt bowiem ciężka była, by objuczone nią wielbłądy mogły robić spieszne marsze.

Zaniewscy, pozostając w czasie zdobywania karawany pod silną strażą w głębokim wąwozie, słyszeli tylko wystrzały, krzyki ludzkie, chrapliwe wrzaski przestraszonych wielbłądów i kwik gryzących się koni. Po skończonej walce strażnicy powiedli ich na pole potyczki i tam dość długo trzymali na uboczu. Ale widok bogatego łupu, a więcej może chęć rabunku nie dawały strażnikom spokoju, bo po krótkiej rozmowie związali silnie arkanami obu chłopców, położyli ich na ziemi, a sami skoczyli co tchu między towarzyszy.

— Uciekajmy! — szepnął Stach do Janka. — Patrz, tam na piasku leży porzucony nóż... starajmy się doń przybliżyć!

Stach przesuając się całym ciałem po kilka centymetrów, zdołał po długiej jak wieczność godzinie dostać się wreszcie na miejsce, gdzie leżał nóż. Chwycił go zdrętwiałymi od powrozów palcami, ale zamiast rozcinać więzy, ostrze noża wsunął powoli w ubranie. I znów godzinę całą leżał bez ruchu, patrząc na Czacharów, którzy, rozdzielwszy już łup między siebie, rozpalili ze skrzyń ogniska i poczęli piec w popiele baraninę, często w międzyczasie sięgając po spirytus.

Stach leżał spokojnie, bacznie notując w pamięci, co się działo wkoło. Widział, jak dobrze już chwiejący się na nogach Czachar z trudem wygramolił się na siodło i, odgoniwszy nieco konie od obozowiska, zamiast je spętać, puścił wierzchowce wolno, a sam powrócił, zataczając się do ognisk, widział, że bandyci pozdejmowali z siebie broń, widział, jak ten i ów walił się bezprzytomnie na ziemię. Wódka powoli robiła



swoje, a na to właśnie najwięcej liczył Zaniewski.

Zmierzch już zapadał, gdy na stepie zamiast niedawnych krzyków, zgiełku i śpiewów zapanowała cisza przerywana tylko pijackim majaczeniem i głośnym chrapaniem Czacharów. Stach z wolna wysunął z ukrycia nóż i począł nim rzezać krępujące go postronki. Była to praca bardzo ciężka, ręce bowiem miał skrępowane na plecach, ale po wielu wysiłkach zdołał wreszcie uwolnić się z więzów. Teraz rozcięcie pęt Janka było dziełem jednej chwili.

— Czołgaj się, Janku, w stronę tabunu i chwyć te dwa konie, na których jeździ Curun i jego pomocnik. To są najlepsze wierzchowce w całym stadzie i żaden inny nie dorówna im w biegu. Ja podkradnę się do obozowiska, aby zabrać jakąś broń i trochę żywności, boć przecie traktem uciekać nie możemy!

Janek, czołgając się jak wąż na brzuchu, ruszył w stronę tabunu, a Stach, udając pijanego Czachara, zataczając się i wymachując rękoma, szedł do przygasających już ognisk. Przy pierwszym z nich przysiadł i kocim ruchem podciągnął do siebie dwa krótkie karabinki niemieckie, w które Czacharowie byli uzbrojeni- Równie cicho i delikatnie zdjął z głośno chrapiącego bandyty pas pełen naboí, poczem już miał się oddalić, gdy nagle strzeliła mu do głowy psotna myśl. Począł z leżących wkół karabinków wyjmować zamki i wkładać je w gorący popiół ogniska. Czynił to szybko i tak cicho, że najwprawniejsze ucho nie zdołałoby chwycić jakiegoś stuknięcia czy zgrzytu stali.

Zajęty tą pracą nie zauważył, że z nad jednego ogniska podniosła się jakaś postać, baczenie przyglądnęła się czynności chłopca, a potem poczęła skradać się cicho jak kot ku niemu. W pewnej chwili w ręku tej postaci błysnęło coś jakby nóż. Już kilka tylko kroków oddzielało

tajemniczą postać od Stacha, gdy tenże, przeczuwając instynktownie niebezpieczeństwo, odwrócił się nagle.

Do ucieczki było już za późno, bo w tejże chwili tajemnicza postać olbrzymim susem skoczyła ku chłopcu i chwyciła go z całej siły za kark. Przy słabem świetle żarzących się węgli poznał Stach wykrzywioną wściekłością twarz Curuna. Czachar, korzystając z chwilowego osłupienia chłopca, chciał rękojeścią noża uderzyć go w pierś, ale Stach, widząc błysk stali, momentalnym chwytem *dżiju-dżicu* skrzył Curunowi rękę, aż chrupnęła w łokciu, a potem uderzył napastnika tak silnie pięścią pod brodę, że Czachar mimo niepospolitej siły zachwiał się i upadł na ziemię, wyjąc z bólu. Stach nie czekając, aż wróg podniesie się znowu, chwycił szybko karabinki i pas z nabojami, poczem przeskakując jak jeleń między ogniskami, pomknął w stronę tabunu.

W obozowisku powstał tymczasem straszliwy zgiełk i zamęt. Curun ryczał jak raniony sarłyk, a przebudzeni rykiem tym bandyci chwycili za broń i poczęli palić beładnie na wszystkie strony. Część ludzi, oprzytomniawszy, skoczyła co tchu do koni, inni poczęli rozdmuchiwać pogaste ogniska i dorzucać na nie deski ze skrzyń, inni. wreszcie ze zdumieniem oglądali karabinki, u których brakowało zamków.

Zanim z beładnych słów Curuna, przerywanych co chwila jękami bólu, mogli Czacharowie wywnioskować, co właściwie się stało, i pomyśleć o pogoni, Zaniewscy gnali już jak wiatr na niezrównanych rumakach gobijskich. Noc była ciemna, ale wyiskrzzone gwiazdami niebo wskazywało im północ błyszczącą jak brylant gwiazdą polarną.

Biegli w milczeniu dłuższy czas, aż nagle ogier Curuna, na którym siedział Stach, zarżał rozgłośnie. Zdała jak echo odpowiedziało słabe rżenie, a równocześnie wprawne uszy chłopców posłyszały coś jakby

daleki tętent i uderzenia stali o stal.

— Pogoń! Uciekajmy! — zawołał Janek.

— Stój! Przygotuj broń na wszelki wypadek, ale nie strzelaj, póki nie dam znaku! — odpowiedział Stach, wsłuchując się pilnie w odgłosy stepu.

Rzenie powtórzyło się znowu, ale tym razem już zupełnie blisko. Nie było ono krótkie, ani zduszone wędzidłem, lecz rozlegało się długo i dźwięcznie jak zwykle nawoływanie się koni rozgonionych po stepie.

— To nie pogoń — zauważył spokojnie Stach, zrzucając karabinek na plecy. — Czacharowie nie pozwoliliby koniom swoim na rzenie, boć przecie wiedzą, że mamy broń. Widocznie nie spętali wierzchowców i teraz idą one za źrebce, który był przewodnikiem tabunu!

Jakoż wkrótce pełnym cwałem nadbiegło kilkanaście koni i zarżały radośnie na widok źrebca, który odpowiedział im na to przywitanie krótkim, władcym rzeniem. Stach kazał Jankowi potrzymać swego wierzchowca, a sam począł wyłapywać nadbiegłe konie, wiążąc opuszczone strzemiona, by nie były podczas biegu zwierząt po bokach, ściągnął dobrze popręgi u siodła, a potem powiązawszy konie czamburami, skoczył na siodło, i cała kawalkada ruszyła dalej w step.

Jechali bez wytchnienia aż do rana. Dziwnym trafem zatrzymali się w dosyć szerokiej kotlinie, zarośniętej gęsto deresunem, wśród którego kryła się głęboka studnia pustynna. Woda była powleczone grubym kożuchem pyłu, ale smakowała wybornie zarówno chłopcom jak ich wierzchowcom. Gorzej było z żywnością. Po przeglądnięciu sakw u siodła znaleźli kilka miarek ryżu i prosa, parę puszek z konserwami owocowymi, pochodzących widocznie ze zrabowanej karawany, trochę cukru i zielonego czaju. Ale największą radość chłopców wzbudził

widok kilku przyjemnie bulgocących worków skórzanych z kumysem, przytroczonych do siodła przez zapobiegliwych właścicieli koni. Pod względem majątkowym zawartość sakw przedstawiała dużą wartość. Były w nich jamby srebra, paczki papierowych pieniędzy chińskich, dużo cennych kamieni złupionych w różnych churje, srebrne czepce kobiece, tabakiery jaspisowe i mnóstwo rzeczy, które Czacharowie zrabowali przez czas swej zbójckiej wyprawy w Mongolji.

— My jednak mamy szczęście — mówił Stach do brata, posilając się ryżem, zagotowanym w puszcze od konserw. — Nietylko jesteśmy wolni i uzbrojeni, ale posiadamy dwanaście doskonałych koni, trochę żywności, no i te drobiazgi, za które każdy Mongoł wskaże nam drogę do Urgi, ugości naleyście, a w razie potrzeby sprzeda dobre wielbłądy lub wierzchowce.

— Obyśmy tylko trafili na osiedla ludzkie, bo tu szczerza pustynia; piaski i piaski wkoło!

— Musimy jechać tą ledwo znaczącą się w piaskach drożyną, widocznie jest to jakiś stary trakt, obecnie rzadko używany. W każdym razie powinny być na nim studnie, a jak tylko wyjedziemy z Gobi, to wnet znajdziemy koczowiska mongolskie.

Po trzech dniach uciążliwej jazdy przez bezludne piachy, na których co kilkanaście wiorst znajdowali studnie lub poprostu grząskie kałuże, dostali się do urtonu Charmüktaj-bułuk, zamieszkanego przez kilka rodzin mongolskich. Mongołowie, przerażeni widokiem tak znacznej karawany, umknęli w step, ale wnet wrócili, widząc, że tylko dwóch jeźdźców zsiadło z siodła przed jurtami.

Stach pokazał im talizman Bogdo-gegena, błogosławiąc nim z całą powagą głowy koczowników, a potem zażądał dla siebie i brata obfitego

posiłku, płacąc za wszystko hojnie. Mongołowie, widząc taką hojność, prześcigali się w uprzejmości i opowiadaniu o straszliwej bandzie Czacharów, która niedawno przeszła sąsiednim traktem, rabując wszystko, co się tylko dało.

Już teraz Zaniewscy jechali spokojnie od urtonu do urtonu, mając zawsze doskonałych ułazców i świeże konie, swoje bowiem wierzchowce kazali prowadzić luzem, by zbytnio nie męczyć ich długą drogą. Tak dojechali do głównego traktu, łączącego Urgę z Kałganem. Pozostawało im jeszcze do stolicy około sześciuset wiorst, gdy razu jednego posłyszeli za sobą głuchy warkot motoru automobilowego. Zjechali nieco w bok, aby konie nie przestraszyły się maszyny. Z tumanów kurzu wypadł nagle ogromny Fiat, wiozący w czarnej karoserji kilku wspaniale ubranych Mongołów. Gdy auto miało przebiec koło karawany Zaniewskich, jeden z Mongołów podniósł się z siedzenia, krzyknął coś kierowcy, i maszyna, zatrzymana hamulcami, stanęła prawie w miejscu.

— Dża-łama! — krzyknął radośnie Stach na widok Mongoła, wyskakującego z samochodu,

— Ha! Jak się macie! Skądże wzięliście się tutaj? — wołał Dża-łama, wyciągając do Zaniewskich ręce.

Stach w języku mongolskim powiedział pokrótce przygodę z Czacharami, a Mongołowie słuchali z największą uwagą, przerywając czasem wybuchami szczerego zdziwienia. Najwięcej ze wszystkich dziwił się szpakowaty już łama ubrany we wspaniały strój podróżny.

Gdy Stach skończył opowiadanie, Dża-łama poszeptał coś z owym łamą, a potem zwracając się do Zaniewskich, rzekł:

— Świątobliwy Działchyńdza - chutuchtu, obecny pierwszy minister

rządu mongolskiego, tak zainteresował się waszemi przygodami, że chce, byście z nami jechali autem do Urgi. Jest to wielki zaszczyt, i myślę, że uczynicie zadość temu żądaniu.

— A cóż stanie się z naszymi końmi? — przerwał Janek, patrząc żałośnie na wspaniałe gobijskie rumaki.

Działchyńdza-chutuchtu, on to bowiem siedział w owym wspaniałym stroju podróznym, roześmiał się wesoło i rzekł:

— Widzę, że znacie się dobrze na koniach, skoro nie chcecie ich porzucić. Rzeczywiście takie konie to cały majątek! Siadajcie jednak spokojnie do auta, bo wierzchowce wasze przyprowadzi do stolicy i odda nienaruszone obecny tu dzalan-dzangi.

Na słowa ministra urzędnik, siedzący koło kierowcy, szybko opuścił swe miejsce, złożył przed chutuchtą głęboki pokłon i podszedł do tabunu Zaniewskich. A chłopcy, siadłszy do auta, pomknęli ku Urdze, opowiadając premierowi swoje przejścia od czasu opuszczenia Abakańska.

## ROZDZIAŁ XXI.

### W STOLICY MONGOLJI.

W Urdze wrzało.

Przez ulice stolicy przeciągały ze śpiewami zbrojne oddziały wojskowe, huczały samochody, w pełnym galopie przebiegały dzielne szóstki mongolskich mierzynów, zaprzężonych do lekkich dział polowych, z głośnym turkotem szły wózki karabinów maszynowych, wolno kołyszac się przechodziły karawany wielbłądów, a wszystko to zdążało na ogromny plac między churje a koncesją rosyjską, skąd naznaczony był wymarsz wojsk na wojnę z bolszewikami na pograniczu Mongolji.

Na ulicach, mimo rannej godziny, przewalały się tłumy. Wszędzie migały barwne stroje mongolskie, jedwabne terłyki dziewcząt, szerokie fryzury kobiet, czarne zwichrzone czupryny Tybetańczyków, smagle, przebiegłe lica Sartów, brodate oblicza Rosjan, golone głowy duchowieństwa ubranego w czerwone szaty, a nawet szare, wynędzniałe postacie pielgrzymów, którzy dalekie odbywali drogi, by dotknąć sznura, okalającego pałac Bogdo-gegena. Tłum ten rozstępował się na widok pięknych dwukołowych lektyk, któremi jechali wysocy dygnitarze mongolscy; witał okrzykami popularnych chanów, pędzących na pięknie przybranych koniach w otoczeniu świt barwnych; zatrzymywał się w dużych grupach przed budami różnych kuglarzy,

śmiał się, krzyczał, rozprawiał z iście wschodnią gadatliwością, pchając się zwolna ku szerokiej ulicy. Stąd konna azjatycka dywizja barona Ungerna miała zaraz wyjechać.

Nagle po tłumie przebiegł gorączkowo powtarzany okrzyk: — Jadą! Jadą!

Wnet cała rzesza ludzka rozlała się na dwa potoki, tworząc dwa równoległe szpalery, przez które poczęły wolnym truchcikiem przeciągać poszczególne sotnie, każda znaczone innym proporczykiem, przytwierdzonym do długiej lancy. Na widok żołnierzy tłum zakołysał się jak fale morskie, tu i owdzie ozwały się pożegnalne okrzyki, aż wreszcie zlały się w jeden zgodny wrzask:

— Sajn! Sajn bajnu!

Żołnierze odpowiadali na te okrzyki wesołemi uśmiechami. Ten i ów podkręcił długiego wąsa, tamten znów zesunął zawadjacko papachę na tył głowy. Chwiały się w siodłach zgodnym ruchem zgrabne postacie kozacze, silnemi rękami wstrzymując przestraszone krzykami rumaki stepowe, a za nimi jechały sotnie małych, krępych Japończyków, potem sotnie żołnierzy chińskich, którzy zabrani niedawno w niewolę, przeszli na służbę Ungerna. Następnie szedł dywizjon mongolski ubrany w jednakowe granatowe terłyki, potem znów kozacy, armaty, długi szereg maleńkich wózków, z których sterczały zawsze gotowe do kłosańskie wąskie stalowe pyski karabinów maszynowych, Potem jechały tabory z amunicją i żywnością, a na końcu świetny oddział kawalerji mongolskiej, prowadzony przez bożyszczę tłumy mongolskiego; Burjata Dżambołunia.

Na widok tego oddziału widzowie wzniesli tak głośny okrzyk, że ze śmietnisk porwały się strwożone gromady czerwonodziobych kawek i z



przeraźliwym wrzaskiem poleciały hen ku chińskiemu miastu, zapadając między ciemne, wysokie mury.

Pomiędzy widzami stali i Zaniewscy w towarzystwie młodego inżyniera górnika Kamińskiego, który jako dobry znajomy ich wujka przyjął chłopców gościnnie do swego mieszkania.

— A gdzież generał? — zapytał Janek, widząc, że pochód wojsk już się skończył, i tłum jak lawa rozlał się po ulicach i placach stolicy.

— Baron wczoraj wyjechał na Wan-churje — odpowiedział inżynier. — Wczoraj przed wyjazdem dał mi mnóstwo poleceń, dotyczących moich poszukiwań, a także gorąco polecał was do czasu powrotu inżyniera Raczyńskiego.

— Więc jednak wujek powróci do Urgi? — zapytał Stach.

— Nie tak prędko! — przerwał śmiejąc się Kamiński. — Ungern wysłał go w ważnych sprawach do Chin. Z tego, com słyszał od inżyniera, wnioskować mogę, że powrót jego nastąpi najwcześniej za trzy miesiące. Macie wiele czasu do odpoczynku po waszych przygodach, więc jeżeli chcecie, mogę was zabierać ze sobą na poszukiwania, a tu w Urdze pokazywać wam rzeczy godne widzenia.

— Zgoda! — zawołali uradowani Zaniewscy. — Jeździmy razem z panem!

Z inżynierem Kamińskim poznali się chłopcy w nadzwyczaj prosty sposób:

Zaraz po przyjeździe do Urgi Działchyńdza-chutuchtu zaprowadził ich do jurty, zajmowanej przez generała Ungerna, i poprosił go o zajęcie się młodymi podróżnikami. Generał, dowiedziawszy się o przygodach Zaniewskich i ich pokrewieństwie z inżynierem Raczyńskim, rzekł:

— Mógłbym wam dać zaraz konie i przewodników, byście pojechali

do Chin, za inżynierem Raczyńskim, którego wysłałem tam jako człowieka, znającego wielu dygnitarzy chińskich i godnego zaufania, ale uczynić tego nie chcę, bo wujek wasz jest tam w ciągłych podróżach, i łatwo możecie się z nim rozminąć. Jest j tu jednak młody górnik inżynier Kamiński, Polak, mający od rządu mongolskiego polecenie poszukiwania rud, przeto zamieszkacie u niego, tem bardziej, że jak słyszałem, Kamiński czas jakiś pracował pod kierownictwem waszego wujka. Zaraz każę mu o waszem przybyciu oznajmić.

Inżynier przyjął gości z największą radością, i Zaniewscy stali się prawie nierozłącznymi jego towarzyszami.

Mieszkanie, zajmowane przez młodego górnik, znajdowało się w koncesji rosyjskiej tuż koło sporego gmachu pocztowego, skąd roztaczał się widok na gęsto zabudowaną dzielnicę klasztorną Gandon.

W mieszkaniu inżyniera chłopcy po raz pierwszy zetknęli się z okazami niezmiernego bogactwa kopalnianego Mongolii. W jednym pokoju, służącym za pewnego rodzaju muzeum, widzieli Zaniewscy próbki rud najrozmaitszych kruszców, węgla, azbestu, soli, drogich kamieni, marmurów i t. p.

Kamiński, pokazując próbki te młodym swym gościom,, mówił:

— Macie tu przed sobą tylko drobną część tego, co Mongolja posiada w swem wnętrzu. Ot, patrzcie na te okazy rudy żelaznej! Jest ona w najlepszym gatunku i ciągnie się w złożach, obejmujących setki kilometrów! Albo ta oto ruda miedzi: jest jej w Mongolji tak wiele, że starczyć może na wieki intensywnej eksploatacji! Tu znowu macie próbki węgla; jest to coprawda tylko węgiel brunatny, ale zato najlepszej jakości i leży prawie na powierzchni stepu. Pokładów węgla kamiennego dotychczas nie znalazłem, ale też moje odkrywki były zbyt płytkie, bym

nań mógł natrafić. Tutaj macie próbki siarki; jest jej bardzo wiele, ale więcej bodaj znaczenia dla kraju mają liczne źródła i błota siarczane, bo to są wymarzone miejsca dla przyszłych uzdrowisk, gdzie tysiące ludzi znajdzie pomoc w chorobach.

— Myśmy nad Bajdarikiem widzieli płóczkarnie złota! — wtrącił jeden z braci.

— Och! tego szlachetnego kruszcu ma Mongolia dosyć — odparł Kamiński, — Ot, tutaj w tem pudle macie najrozmaitsze próbki, od dużych bryłek samorodnych do drobnutkiemu piasku złotemu wymywanego w rzekach i potokach! Tu zaś w tej skrzyni z przedziałkami widzicie różne cenne kamienie, macie tu rubiny, ametysty, chryzolity, topazy przejrzyste i dymne, kryształy górskie i turkusy. Wszystko to znalezione w Mongolji prawie zupełnie przypadkowo w rozsypiskach skalnych. W tym woreczku widzicie kulki wielkości orzecha laskowego; to są granaty zebrane na wzgórzach, okalających Bikon-More na zachodzie Mongolji. Jest ich tam tak wiele, że wory możnaby zbierać!

— A to co za kamienie w tej szklanej gablocie? — zapytał z ciekawionym Stach.

— To są agaty, malachity, azuryty i jaspisy. Tu zaś na półkach macie przeróżne marmury, granity i łupki, a w tej skrzyni bryły soli kamiennej i próbki skryształizowanej soli z wyschniętych jezior.

— To wszystko, co tu widzicie, jest tylko przypadkowo znalezione, bo zbyt wiele czasu zajmuje mi kopalnia węgla brunatnego koło Urgi, bym mógł oddawać się długim poszukiwaniom. Widzicie jednak już z tego, jak bogata jest Mongolia?

— Polska jest teraz wolnem państwem, więc też my, Polacy, we

własnym interesie powinniśmy poznawać bogactwa różnych krain, uprzedzać Amerykanów i Niemców, pchać się wszędzie, gdzie tylko można wyciągnąć jakieś korzyści. W ten sposób zubożymy nasz kraj nie-tylko pieniądze, ale damy bogatą literaturę naukową, którą niestety dotychczas w obcych językach musieliśmy ogłaszać. Nadamy przytem naszej emigracji odpowiedni kierunek, zabezpieczymy byt tysiącom naszych inteligentów i robotników.

Ponieważ inżynier miał prócz kopalni węgla kierownictwo w mechanicznych warsztatach, gdzie naprawiano broń i samochody, doglądał robót w garbarni, przygotowującej dla wojska skóry na obuwie i ubrania, miał nadzór nad stacją elektryczną, oświetlającą miasto, i nad radjostacją, jedyną w Mongolji, przeto Zaniewscy często zostawali sami i chwile takie poświęcali na oglądanie miasta i jego okolic.

Urga w porównaniu z Ulasutajem przedstawiała się imponująco. Mongolska nazwa: Da-churje (Wielki klasztor) została w 1913 r. zmieniona na: Nijszlil-churje t. z. „Stołeczny klasztor”. Nazwie tej Urga w zupełności odpowiadała.

Miasto leżało w kotlinie nad brzegiem rzeki Toły, do której tuż pod stolicą wpadała rzeka Selba. Dzieliło się na kilka dzielnic powstałych stopniowo w miarę rozrastania się klasztoru, Najstarszą była dzielnica „Kureń”, w której znajdowało się mnóstwo świątyń, budynków administracyjnych, mieszkań urzędników, bazarów, sklepów chińskich i rosyjskich, Od zachodniej strony przypierała do Kurenia dzielnica „Gandon” równie pełna świątyń, wśród których szczególną uwagę zwracał olbrzymi chram „Ariabolo”, wybudowany w czystym stylu tybetańskim przez łamów, jako ofiara, mająca ślepemu Bogdo-gegenowi przywrócić wzrok. W Gandonie było wiele szkół buddyjskich, mieszkań

bogatych łamów i magnatów mongolskich. Od wschodniej strony Kurenia, oddzielona dużym placem, rozciągała się factorja rosyjska z mnóstwem domów kupieckich, pocztą, cerkwią, szkołą handlową, garbarnią, gmachem konsulatu i składami skór i sierści. O kilka wiorst dalej znajdowało się „Majma-choto” (majmaczyn) chińskie miasto targowe pełne wąziutkich uliczek, wysokich, z gliny ubijanych murów, okalających dziedzińce, w których stały domki kupców chińskich i ich sklepy i składy towarów.

Zaniewscy byli wszędzie. Zwiedzili wszystkie świątynie Kurenia i Gandonu, podziwiali olbrzymi, bo prawie piętnaście metrów wysoki, brązowy posąg Ariabolo, byli w szkołach, zwiedzili Majma-choto, bazyry zawsze pełne ludzi, cmentarzysko chińskie, gdzie w czerwono malowanych, grubych tarcicowych skrzyniach, leżących na ziemi, oczekiwały zwłoki chińskich nieboszczyków na transport do Chin, zwiedzili ruiny starej twierdzy tuż nad brzegiem Toły, byli na prześlicznej lesistej górze Bogdo-uła, wznoszącej się na południowej stronie Urgi. I tu było czem się zachwycać. Bogdo-uła uważana była przez Mongołów za świętą górę i nikt tu nie rąbał drzew, nie kosił traw, nie polował, a nawet w kręgu widzenia tej góry nie wolno było wykonać wyroku śmierci. Las tu był dziewiczy, cichy, niemal uroczysty. Pełno było w nim zwierzyny tak obłaskawionej, że marały, antylopy, barany górskie pozwalały zbliżyć się człowiekowi na kilka kroków i pasły się spokojnie, wiedząc, iż żadne niebezpieczeństwo im nie zagraża.

Po lewej stronie Toły, prawie trzy kilometry od brzegu, znajdowały się dwa piękne pałacyki głowy lamaizmu mongolskiego i chana Mongolji: Bogdo-gegena.

Zaniewscy widzieli, jak codziennie do tych pałaców ciągnęły rzesze

pątników, jak nieprzerwanym prawie łańcuchem dążyli tam różni łamowie, ubrani w żółte, wysokie czapki, podobne do odwróconego garbu wielbłądziego, jak jechały orszaki poselstw z dalekiego Tybetu.

Wiedzeni ciekawością uprosili jednego z wysokich urzędników mongolskich, który często bywał w domu inżyniera Kamińskiego, by im pałace te pokazał.

Zmieszali się z tłumem pątników i wnet stanęli przed zabudowaniami, wśród których roilo się wprost od czerwonych szat duchowieństwa, Wokół jednego z pałaców ciągnął się długi czerwony sznur, ku któremu pątnicy zbliżali się na kolanach, dotykali go z czcią, by potem za małą zapłatą dostać od dyżurnych łamów skrawek czerwonej materji i wąski pasek papieru z modlitwą napisaną pismem tybetańskim. Paski te nakładano natychmiast na ręczne młynki modlitewne.

— Tu widzicie, w jaki prosty sposób udziela Bogdo-gegen błogosławieństwa tym rzeszom pielgrzymów, które codziennie tu z całej Mongolji ściągają. Koniec tego sznura przytwierdzony jest do poręczy fotelu, na którym chan spoczywa, a więc tem samem jest w bezpośrednim kontakcie z jego osobą. Każdy Mongoł powinien choć raz w życiu sznura tego dotknąć, bo błogosławieństwo w ten sposób otrzymane daje pewność zbawienia.

— Ależ tu więcej jest kobiet niżli mężczyzn! — przerwał Stach.

— Tak, bo kobiety mniemają, że przez otrzymanie błogosławieństwa od samego Bogdo-gegena dusza ich po śmierci przejdzie w stworzenie doskonalsze, a więc w mężczyznę...

— Przecież kobieta równa jest mężczyźnie! — zawołał oburzony Stach.

— Tak, u was na zachodzie, u nas jednak uważana jest za twór niżej stojący! — odparł grzecznie, lecz stanowczo urzędnik.

— Czy Bogdo-gegen opuszcza kiedy swoje pałace? — zapytał Stach, pragnąc zmienić temat rozmowy.

— Za młodych lat jeździł często do Kurenia, teraz jest już zbyt stary, (ma bowiem 70 lat) na takie przejażdżki. Pokazuje się tylko podczas wielkich uroczystości tam na werandzie pałacu. Dawni gegenowie odbywali często długie nawet podróże po kraju, ale podróże te tak wiele kosztowały, tak niszczyły ajmaki i choszuny, że rząd chiński zabronił ich już bardzo dawno. Ja myślę, że ta dbałość chińska o kieszeń mongolską pochodziła raczej ze względów politycznych: Chińczycy bali się wpływu bogdo-gegenów na naród mongolski, obawiali się poprostu powstań i zamieszek!

— Czyim chubiłganem jest Bogdo-gegen?

— Taranaty, sławnego apostoła i filozofa buddyjskiego w Tybecie. Obecny Bogdo-gegen jest już 23 chubiłganem wogóle, a ósmym żyjącym w Mongolji — tamtych piętnastu pojawiało się w ciągu wieków w Indjach i Tybecie!

— A jak brzmi oficjalny tytuł Bogdo-gegena?

— Jest ich wiele, najczęściej jednak używany brzmi: „*Szadzin tur chojrig choslon barigczi naran gerelt tumun nasł bogdo chan*” (najjaśniejszy władca chan, mający 10 000 lat, jaśniejący promieniami słońca, dzierzący [w swych dłoniach] sprawy duchowne i świeckie).

— Czy możemy zwiedzić jego pałac?

— Trzeba na to specjalnego pozwolenia. Mógłbym je dostać dla was od Działchyńdza-chutuchtu, bo wiem, żeby wam tego nie odmówił, ale teraz właśnie odbywa się tam rada ministrów, gdyż złe wieści

przywieziono dzisiaj od barona Ungerna.

— Cóż się stało? —..Właściwie to jest narazie tajemnicą, ale i tak wkrótce całe miasto będzie o tem mówić. Otóż wojska Ungerna poniosły dotkliwą klęskę pod Troickosawskiem i kto wie, czy bolszewicy nie wejdą do Mongolji!

— I co wtedy będzie? — zapytali zaniepokojeni chłopcy.

Urzędnik wzruszył ramionami na znak zupełnej nieświadomości tego, co mogło nastąpić.

Inżynier Kamiński wiedział już o klęsce Ungerna i był nią dosyć nawet zaniepokojony.

— Bolszewicy na pewno wejdą do Mongolji i będą starali się ją zająć, bo to zbyt smaczny dla nich kąsek! — mówił do chłopców. — Ungern za mało ma wojska, aby wstrzymać nawałę bolszewicką, i wcześniej czy później musi ustąpić! Gdyby bolszewicy weszli tu do Urgi, toby nam tak przenicowali skórę, żeby nas już nikt nie poznał! Kto wie, czy nie lepiej, byście wcześniej umykali do Chin?

— Przecież już za miesiąc wujek powróci, a może bolszewicy zadowolą się zwycięstwem nad Ungernem i do Mongolji nie wejdą?

— Wątpię o tem! Gdzieżby bolszewicy ominęli sposobność, dającą im bezpośrednie prawie sąsiedztwo z Chinami i przez Tybet z angielskimi Indjami! Co zaś do waszego wujka, to też wątpię, aby przyjechał, bo dzisiaj właśnie wysłałem na jego imię list do Chajłaru, by z przyjazdem zbyttnio się nie spieszył. Znadto dobrze jest znany ze swych wrogich stosunków z bolszewikami, by w razie ich wejścia do Mongolji ktoś go nie zdradził!

— A więc wyjeżdżamy razem i to jak najprędzej! — zawołał Janek.

— Jak tylko moje obawy okażą się słuszne. wyjeżdżamy. Dobrze,



żeście nie sprzedali wszystkich swoich koni, które wam przyprawiono, bo teraz tu w Urdze coraz ciężiej o dobre konie, a moje auto zabrano dla jakiegoś wysokiego urzędnika, który wyjechał do Ulasutaju. Ale prawda! Dzisiaj rano dostałem list od Działchyńdza-chutuchtu. Píše: że ten łama Miczik przysłał o sobie i Dendybie wiadomość... są ponoć w Chinach i donoszą o waszem porwaniu przez Czacharów...

— Widocznie poczciwy Miczik nie wie nic o naszej ucieczce!

— Widocznie tak jest. No, teraz, chłopcy, powoli będziemy pakować nasze manatki, aby w razie potrzeby bez zbyteńnego zamieszania wynieść się z Urgi!

W tydzień po tej rozmowie otrzymał inżynier list od Ungerna, wzywający go natychmiast nad rzekę Selengę, gdzie miał znajdować się obóz wojsk ocalałych w potyczce pod Troickosawskiem. Zaniewscy chcieli koniecznie towarzyszyć inżynierowi, ale ten stanowczo się temu sprzeciwił. Tegoż dnia wieczorem wyjechał, a przy pożegnaniu się z Zaniewskimi rzekł:

— List od Ungerna jest zbyt lakoniczny, bym mógł wiedzieć, poci włąściwie jadę nad Selengę. Mogę tam zabawić krótko, a mogą mię też zatrzymać tam na czas dłuższy. Narazie ogólne wiadomości są pomyślne, chociaż nadgraniczni Mongołowie donoszą o koncentracji wojsk sowieckich koło Kiachty. Nie byłoby w tem nic strasznego. Ale zastanawia mię to, że różni chanowie mongolscy cichaczem wywożą ze swych mieszkań w Urdze cenniejsze rzeczy do swoich koczowisk w ajmakach, To jednak jest bardzo podejrzané i daje mi pewność, że stolicy zagraża coś złego! Wy tu miejcie oczy i uszy dobrze otwarte, a w razie jawnego niebezpieczeństwa siodłajcie konie i rwijcie z kopyta na

wschód nad rzekę Kerulen do tego młodego księcia Secen-chana, który był wczoraj u mnie. Ja będę ze swej strony dowiadywał się o wszystkim i gdybym sam nie mógł przyjechać, pošlę wam list przez służącego.

Prawie bezpośrednio po wyjeździe inżyniera zauważyli chłopcy, że w Urdze zaczyna dziać się coś osobliwego. Gwarne zawsze bazyry i sklepy pełne ludzi opustoszały, na ulicach zbierały się gromadki Mongołów, poszeptujących między sobą tajemniczo, coraz częściej widziało się wyjazdy wysokich dygnitarzy, a między wojskowymi, pełniącymi w Urdze różne funkcje, dawał się zauważyć wyraźny niepokój, rosnący z dniem każdym.

Wreszcie pewnego razu gruchnęła po mieście wieść, że bolszewicy przekroczyli już granicę mongolską i spiesznymi marszami idą na podbój stolicy. W Urdze zawrzało jak w mrowisku. Co chwila przelatywali przez ulice w pełnym galopie jacyś ludzie, roznosząc najfantastyczniejsze nowiny, łamowie opuścili świątynie i, wyległszy na ulice i place, zaczęli każdego wojskowego trwożnymi pytaniami:

— Gdzie jest dziandzin baron? Kiedy przybędzie na odsiecz stolicy?

Nikt na to nie umiał odpowiedzieć, i ta niepewność wyraziła się natychmiast w gorączkowej ucieczce z miasta. Mongołowie uchodzili spiesznie w stopy z całym dobytkiem, a kupcy ładowali najcenniejsze rzeczy na samochody, konie i wielbłądy i opuszczali miasto nocami milczkiem. Nie zważano na to, że sklepy były pełne towarów, że w suszarniach leżało tysiące skór, gotowych do transportu zagranicę, że w płóczkarniach leżały setki tonn wełny i sierści; ludzie przejęci panicznym strachem zostawiali olbrzymie majątki na los szczęścia, a sami uciekali, by chociaż uratować życie.

Zaniewscy dawno już mieli przygotowane wszystko do odjazdu.

Mieli swoje doskonałe konie gobijskie, a kosztowności znalezione w sakwach czacharskich zamienili na srebro, za które mogli w podróży dostatnio wyżyć i dostać przewodników. Zwlekali jednak z wyjazdem, oczekując przybycia inżyniera Kamińskiego.

Tymczasem wieści o zbliżaniu się wojsk bolszewickich były coraz pewniejsze, a im bardziej malało oddalenie ich od stolicy, tem mniej miano nadziei na odsiecz wojsk barona Ungerna. Aż wreszcie jakiś Mongoł przywiózł straszną nowinę: baron zwinął swój obóz nad Selengą i ruszył ku granicy rosyjskiej, oddając bezbronną Urgę w ręce bolszewików, którzy już byli niespełna pięćdziesiąt wiorst od miasta.

W tym samym dniu przed domem inżyniera zatrzymał spienionego konia młody służący Kamińskiego i, oddawszy list Stachowi, zawrócił na miejscu i pognął jak szalony w step.

Chłopiec, szybko rozerwawszy kopertę, wyjął z niej kawałek papieru zapisanego kilku wierszami:

*„Uciekajcie natychmiast! Bolszewicy najdalej za dwa dni będą w mieście. Mnie zatrzymano jeszcze w Wan-churje, więc już do Urgi nie zdążą! Uciekajcie na Kerulen, a potem do Chaj-laru. Ja będę starał się was dogonić.*

*Kamiński”.*

— A więc uciekamy? — zapytał Janek.

— Tak! Dzisiaj wieczorem! Wierchowce trzeba zaraz osiodłać, sakwy przytroczyć na juczne konie i przygotować broń!

## ROZDZIAŁ XXII.

### OSTATNIE PRZYGODY.

Wiść o zajęciu Urgi przez bolszewików doszła Zaniewskich już nad rzeką Kerulen, do której chłopcy dotarli po trzech dniach niezbyt forsownych marszów. Wiadomość tę przynieśli łamowie mongolscy, uciekający spiesznie ze stolicy, i wywołali nią taką panikę, że moc Mongołów zwijała co rychlej jurty, ładowała je na konie i z całym dobytkiem umykała z żyznych okolic Kerulenu na południe w bezkresne, równinne stepy.

Krążyły uporczywe wieści, że bolszewicy po zajęciu stolicy rozesłali mnóstwo mniejszych i większych oddziałów, mających na celu zajmowanie większych osiedli targowych i wyłapywanie wszystkich przeciwników bolszewizmu w Mongolji. Mimo to obaj bracia postanowili jechać wzdłuż Kerulenu aż do siedziby Secen-chana, by tam zasięgnąć informacji o dalszej drodze i pozostawić inżynierowi Kamińskiego list z oznaczeniem kierunku, w którym pójda dalej.

Przewodnik, wzięty w Urdze, odradzał im również porzucenie traktu, wiodącego wzdłuż rzeki, mówiąc:

— Tutaj przy rzece konie mają zawsze doskonałą świeżą trawę, i parogodzinny postój nocny wystarczy im w zupełności do nabrania sił na cały dzień drogi. My mamy tutaj zawsze wodę, mnóstwo zwierzyny, ptactwa i ryb, a dalej za rezydencją Secen-chana mijać będziemy chutory

Burjatów, rolników, gdzie możemy dostać w bród prosa i mąki. Na stepach trzeba liczyć się z brakiem wody, iść więc trzeba tylko wytkniętymi szlakami, na których są studnie. Po drodze często natrafić można na ogromne przestrzenie lotnych piachów. Gorzej jeszcze, gdy spotka podróźnych straszna burza, a właśnie w tym czasie burze najczęściej szaleją nad Szabortaj-Gobi.

Droga wzdłuż rzeki była jedną z najprzyjemniejszych, jakie chłopcy przebyli w Mongolji. Jechali ciągle przez turkusowe morze łąk pokryte tak bujną trawą, że konie tonęły w niej, a nad falującą zielenią widać było tylko głowy wierzchowców. Wzdłuż rzeki ciągnęły się gęste zarośla wiklin i innych krzewów; tu i tam widać było wysokie drzewa topolowe. Czasem, bardzo jednak rzadko, trafiał się potężny pień dębu mongolskiego o szeroko rozrośniętych konarach i gałęziach pokrytych mnóstwem ciemnozielonych liści.

W trawach pełno było zwierzyny. Co chwila wybiegały stadka dzereni i kozłów stepowych, nierzadko przemknął płowy wilk, lisy wyleniałe buszowały bezczelnie wśród traw, płaszcząc ogromne stada kuropatew. Co chwila z pod nóg jeźdźców zrywały się ociążałe dropie, czasami z przeraźliwym krzykiem wlatywały białe i brunatne łabędzie. W licznych rozlewiskach rzeki kipiało wprost od wodnego ptactwa. Zaciszne zatoczki pokryte były taką ilością różnorodnych kaczek, że wody widać nie było. Między sitowiami uwijały się srebrzyste nury i czubate perkozy, nad błotnistymi kałużami skakały i kwiliły długonogie kuliki, a na rzece, w miejscach pozbawionych silnego prądu, poważnie pływały różnorodne gęsi, wiodąc za sobą szeregi niesfornych jeszcze gąsiąt. Jurt w okolicach rzeki było pełno. Stały nietylko pojedynczo lub po kilka, ale tworzyły całe osiedla, liczące nawet kilkadziesiąt sztuk. Wszystkie były bardzo obszerne, o ścianach z białutkiego wojłoku,

dowodząc tem niezwyklego bogactwa mieszkańców. Ale nie tylko obszerność jurty świadczyła o bogactwie keruleńskich Mongołów: na stepach pasły się tak ogromne stada owiec, krów, koni i wielbłądów, jakich bracia w długiej wędrówce przez Mongolję nigdzie nie spotykali.

Mimo tego bogactwa, wykazującego niezwykle żyzność ziemi nad Kerulenem, nigdzie Mongołowie nie zajmowali się rolnictwem. Tu i owdzie zato trafiały się łąny bujnego prosa, leżące tuż koło glinianych fanz (*fan-tse*) Chińczyków i skromnych baiszynów Burjatów. Ci, porzuciwszy koczownictwo, przenieśli się tu w najżyźniejszą okolicę Mongolji jeszcze za rządów chińskich, popierających gorąco wszelkie próby kolonizacji rolniczej tego kraju.

W początkach podróży wzdłuż Kerulenu Zaniewscy chętnie zatrzymywali się w jurtach, ale zrażeni niechlujstwem koczowników woleli swój mały podróżny majchanik i posiłek, sporządzony w czystych zawsze naczyniach.

Brud dla zwyczajnego Mongoła jest, zdaje się, tak niezbędny jak step i koń pod siodło! Wszystkie naczynia: skopce na mleko, czajniki i wysokie mosiężne dzbanki, czarki na czaj, proso i *bołsyńbuda* (prażona mąka) pokryte są grubą warstwą brudu, bo Mongołki nigdy tych naczyń nie myją, mówiąc: — Przez mycie naczyń zmywa się dobrobyt!

Kotły, w których gotuje się zielony czaj z solą, a często i tłuszczem baranim, potem mięso lub mleko, wyciera się tylko wiechem, zrobionym z końskiego ogona, a gdy tego w jurcie niema, poprostu suszonym argałem.

Nadzwyczajna gościnność Mongołów jest dla Europejczyków często bardzo przykra, szczególnie gdy gospodarz własnoręcznie wkłada gościowi do czarki z herbatą kawałek masła i brudne, nigdy niemyte

palczyńska trzyma w płynie tak długo, aż tłuszcz się rozpuści.

A trzeba dodać, że Mongołowie do jurt przyjmują podróżnych o każdej porze dnia i nocy, rozpalając wtedy ogniska, by gościom zgotować czaj.

Wreszcie po kilku dniach zajechali Zaniewscy do obszernej osady, gdzie stał duży klasztor, a obok niego z jednej strony fanzy kupców chińskich, z drugiej kilkanaście pięknych jurt i kilka drewnianych bayszynów zajmowanych przez władcę ajmaku, przez który jechali, Secen-chana, jego rodzinę i świętę.

Młodych podróżników przyjęło dwóch *chja* czyli adjutantów książęcych z niebieskimi gałkami na czapkach, oznaczającymi godność pułkowników, i zawiedli ich do pięknego bayszynu, wyglądem przypominającego bogaty dom rosyjski. W pokoju, zastawionym przeróżnymi sprzętami chińskimi, siedział Secen-chan z młodą kobietą mongolską, w brokatowym stroju mężatki, silnie upudrowaną, z jarkiem rumieńcami na twarzy, mającą z obu stron lic dwie czerwone okrągłe „muszki”, które wolno w Mongolji nosić tylko kobietom, należącym do rodzin książęcych. Była to żona chana, która na widok chłopców powstała ze swego miejsca i przeszła do innej izby.

— Sajn bajna! — powitał Zaniewskich Secen-chan.

— Sajn bajna! — odpowiedzieli przybyli.

— Siadajcie, mili goście, i powiedzcie, co was sprowadza do mego ubogiego domu! A gdzież inżynier Kamiński? Obiecał mi, że z wami tu przyjedzie!

— Wiesz już pewno, książę, że Urga w rękach bolszewików. Inżynier pozostał w Wan-churje, ale przez posłańca polecił nam dążyć do Chajłaru, a tu pozostawić list, wskazujący kierunek, w jakim pójdziemy.

Chcieliśmy również zapytać, czy droga na Dałaj-nor jest bezpieczna? — odparł Stach.

Chan wziął ze stołu długi arkusz papieru, zapisanego pionowem pismem mongolskiem, i uderzając weń palcami, zawołał żywo:

— Patrzcie! Przed godziną niespełna dostałem wiadomość z Bars-choto, miejscowości, gdzie zbiera się corocznie *czułgan* (sejm) mojego ajmaku, że kilka silnych oddziałów bolszewickich idzie ze wschodu w górę rzeki. Najeźdźcy zabierają konie, rabują churje i najdalej za dwa, trzy dni będą w Bars-choto! Nie radzę wam jechać do Dałaj-noru, bo pewno się z nimi spotkacie!

Wiadomość ta wywarła na chłopców bardzo wielkie wrażenie, a chan ciągnął dalej:

— Ja kazałem już zebrać swoje tabuny i gnać je w stepy na południe. Sam zaś z rodziną i urzędnikami dzisiaj wieczorem wyjeżdżam na urton Gaszum, odległy stąd o sto wiorst, nie chcę bowiem spotkać się z najeźdźcami... Jeśli chcecie, jedźcie ze mną!

— Musimy dostać się co rychlej do Chaj-łaru, więc z prawdziwą przykrością musimy odmówić tak zaszczytnej dla nas propozycji!

Chan zamyślił się. Już chłopcy myśleli, że uczuł się dotknięty ich odmową, gdy Secen-chan przemówił łagodnie:

— Rozumiem bardzo dobrze, dlaczego tak pośpiesznie staracie się opuścić Mongolję. Źle było z Chińczykami, ale zdaje się stokroć gorzej będzie teraz, bo bolszewicy nieprędko wyniosą się od nas! Zacznie się w Mongolji to samo, co było w Rosji: bezład, anarchja, przelew krwi, rabunek cudzego dobra! Uciekajcie do Chin! Dam wam dzarę na mój ajmak, dobrego przewodnika, który poprowadzi was przez stepy i Szaborta-Gobi, ale muszę was ostrzec, że podróż jest obecnie bardzo



niebezpieczna, bo letnie upały wysuszyły wodę w jeziorach, a co gorsza powodują burze, w których niejedna karawana ginie.

— Jesteśmy ci, książę, wielce wdzięczni za twą dobroć! Przewodnika tu na miejscu zapłacimy, by w razie jakiego wypadku rodzina jego nie miała do nas żalu, a co do wody... myślę, że kilka worów skórzanych da nam możliwość zabrania większego zapasu.

Secen-chan klasnął w dłonie i wydał odpowiednie rozkazy urzędnikowi, który się zjawił na wezwanie. Sam zaś poprowadził chłopców do *jamynia* (budynku administracyjnego), mieszczącego się w jurcie sąsiedniej, gdzie pisarz ajmaczny pendzelkiem, zamaczanym w tuszu, natychmiast wypisał dzarę.

W dwa dni po opuszczeniu Secen-chana, karawana Zaniewskich wyjechała w równinę, rozciągającą się od urwistego i dzikiego Changaju na zachodzie do groźnego łańcucha gór Chingan na zachodzie, oddzielającego Mongolję od Mandżurji.

Oko podróżnika, który jadąc przez Mongolję, przywykł do gór i zielonych uwałów, próżno szuka tutaj jakiegoś wzniesienia. Płaska równina otacza go ze wszystkich stron, jak tonie olbrzymiego oceanu, zastygłe w bezruchu. Step zdaje się spać. Najmniejszy wietrzyk nie porusza sprażonych spiekotą złotych traw, które oglądane zdała czynią wrażenie beznadziejnie martwych piachów. Nigdzie nie widać bieli jurt, stad baranów lub koni. Lazurowy namiot nieba czysty tu jak kryształ. Próżno szukać na nim obłoków lub chmur. Z ogromnej tarczy słonecznej, lśniącej jak bryła roztopionego złota, leją się na ziemię kaskady gorących promieni, od których pęka powierzchnia stepu, wysychają jeziora, studnie i potoczki, a skóra ludzi i zwierząt pokrywa się; bólesnemi bąblami. Z pod kopyt koni i racic wielbłądów unoszą się

gęste tumany czarnego pyłu, który wciska się w oczy, zalepia nos i usta, kładzie się grubą warstwą na ciele, chłonąc chciwie pot, lejący się strumieniami.

Noc przynosi ulgę, ale równocześnie i inne katusze, bo zamiast spokojnego odpoczynku podróżnik chronić się musi pod zbawczą szubę lub grube wołokowe derki, by przy gwałtownej zmianie temperatury nie zmarznąć.

Niekiedy step kończy się nagle, ustępując miejsca tak pustym piachom, że trudno na nich szukać źdźbła trawy. Leżą ciche, martwe, oślepiając oczy iskrzącym złocistym blaskiem, poskręcane wicherami w długie poszarpane wydmy i załomy, jak ohydne członki martwego polipa wyrzuconego morzem na brzeg skalisty.

Czasami w piersi stepu zobaczy się białe ogromne koło o szarobrunatnych zewnętrznych krawędziach: to wyschnięte jezioro, świecące bielą skryształizowanej soli, którą tak chętnie liżą stada stepowych antylop i *bikonów*<sup>1</sup>). Czasem znów na złotej płaszczyźnie traw lub piasków roztoczy się modra toń jeziora, ale tak cicha, tak spokojna jak tafla olbrzymiej szyby. Z radosnym okrzykiem popędza podróżny wierzchowca, by dopaść co rychlej toni i zeszywniały, kurzem pokryty język zamoczyć w zbawczej wodzie. Gorączkowym ruchem zrywa z siebie ubranie, by rozpalone ciało ochłodzić w nurtach, ale zaledwo spragnione usta nabiorą nieco wody, wnet wypluwają ją ze wstrętem, bo woda ta, przesycona solą, pali gardło i szarpie wnętrze.

Rzadko tylko na złotym tle pokaże się szarozielona ruń, nad którą tu i owdzie pełzają powykręcane gałęzie saksaulu, pokryte drobnouchnymi łuskami. Wśród traw widać liczne ścieżynki, wybite małymi raciczkami antylop. Idąc ich śladem, trafia podróżnik na studnię, gdzie dosyta raczyć

się może słodką wodą, może napoić wierzchowce i napełnić wory skórzane, z których tak prędko zniknęła woda zabrana kilka dni temu w podobnej studni.

Zaniewscy przeszli przez wszystko. Brnęli przez stepy i piachy paleni skwarem i duszeni pyłem, często cierpieli pragnienie i głód, bo wodę wypijał z worów upał, a rzadko mogli ustrzelić jakąś zwierzynę lub ptaka. Wszystko to bowiem przez dzień kryło się przed słońcem, a dopiero w nocy buszowało w trawach lub szło do wodopojów. Ale mimo wszystko cieszyli się, że dążą już do kresu wędrówki, że za kilkanaście dni odpoczną już w Chajłarze, odnajdą wujka, a może i ojca, jeśli zdołał się przedrzeć z Krasnojarska na wschód, i pojedą do Polski, od której odcięła ich zawierucha wojenna. W chwilach największych trudności zaciskali zęby, aby towarzyszący im Mongoł nie mógł poznać, że cierpią, ale równocześnie z radością stwierdzali, że trudy przebytej włości zahartowały ich ciała, mięśnie uczyniły twardymi jak stal, a członki — gibkimi i zwinnymi.

Przeszli dużo, ale poznali ogromny szmat ziemi, nauczyli się wiele i teraz marzyli, że w przyszłości po skończonych studjach w Polsce, zasobni w wiedzę, wrócą do Mongolji, aby w tej niezmiernie bogatej krainie wysoko podnieść sztandar Polski, by każdy: czyto Mongoł, czy Niemiec, czy Amerykanin z czią imię Polski wymawiał, a synów jej cenił i polegał na nich, jak niegdyś polegano na Zawiszy.

Gdy jednego dnia przechodzili właśnie przez olbrzymią przestrzeń pokrytą lotniami piachami, ni stąd ni zowąd zerwał się wietrzyk i jął zmiatać drobnouchne ziarnka piasku. Przesypywał je, snuł z nich tumany leciuchne jak mgła, czał się gdzieś w wydmach jak swawolne dziecko, by po chwili wyskoczyć, zakręcić się, w szalonym piruecie, podnieść

lejkowaty słup piachu i rzucić go z głośnym szelestem na wydmnę. Powietrze stało się tak suche, że wargi podróżnych pękały jakby cięte nożami, a równocześnie ciężkie, dławiące oddech. Całe niebo i step poczęły zasnuwać się żółtym tumanem, który osiadając na skórze, ubraniach, sierści zwierząt, tworzył grubą warstwę najdrobniejszego pyłu piaskowego. Wkrótce tuman ten stał się tak gęsty, że słońce przeświecało przezeń, jak mała lampka naftowa prześwieca przez brudne i okopcone szyby latarni, Zaniewscy dławili się tym pyłem, mieli go pełno w oczach, uszach i ustach. Konie chrapały trwożliwie, a z nosów poczęła im się sączyć brudnożółta piana.

Mongoł-przewodnik, przebijający dotychczas w milczeniu paciorki buddyjskiego różańca, począł niespokojnie spojrzeć w ów tuman, badać kierunek wiatru, zwracać karawanę raz w prawo, to w lewo; szukał głębszych bród między wydmnami, aż nagle z przeraźliwym krzykiem zwrócił się do Zaniewskich, pokazując im wdali słup olbrzymi, który wyrósłszy w okamgnieniu z piasków, wił się stepem, rósł coraz wyżej, zmieniał się w jakiś potworny wał, końcem swym zda się dotykający nieba.

— Uciekajcie! — wrzeszczał Mongoł i, okładając z całych sił konia taszurem, pomknął zpowrotem tą drogą, którą dopiero co przeszli. Zaniewscy chcieli iść w jego ślady, ale w tej chwili gwałtowny wicher zakręcił przed nimi tumanami piasku i począł siec z taką siłą po twarzach, że bezwiednie zawrócili konie na północ i rwać poczęli, aż w koniach zagrały śledziony. Tymczasem wał trąby powietrznej rósł coraz bardziej, miotał się z wichrem po piachach, kręcił je, zbierał ze sobą i szedł z przeraźliwym chichotem i rykiem, zamiatając po niebie szeroką miotłą, która przy nieprzerwanym blasku błyskawic wyglądała na potwornego smoka, siejącego wokół zniszczenie, Z rykiem i świstem

huraganu zmieszał się huk piorunów tak straszny, iż zdawać się mogło, jakoby strop niebios walił się na ziemię.

Chłopcy, nauczeni śnieżycą, w biegu przewiązali się arkanem i gnali coraz to w inną stronę, oślepieni błyskawicami i piachem, bici nim ze wszystkich stron. Nagle tuż za sobą posłyszeli przeraźliwy krzyk, ostry i krótki jak pchnięcie sztyletu. Zawtórował mu rozpaczliwy kwik, straszny, potępieńczy ryk wichru. Jakaś nadprzyrodzona siła zerwała ich z siodła, świat cały zakręcił się im w oczach, potem posłyszeli jeszcze łoskot, jakby sto piorunów uderzyło w step. Poczuli, że lecą w jakąś przepaść, że coś krępuje im ręce i nogi, a na głowę i barki wali się ciężar nieznośny, od którego żebra zdawały się pękać.

Pierwszy ocknął się Janek. Przetarł oczy rękoma, zeskrobał z powiek grubą warstwę kurzu, wypluł z ust kawały piasku zlepionego krwią i błędnie rozejrzał się wkoło. Słońce złoćiło piachy, skrzyło się na drobnutkich kwarcowych okruchach, i tylko leciuchny welon tumanu, układający się lekko na ziemi, świadczył o niedawnej burzy. Janek leżał na stoku ogromnej wydmy, do połowy prawie zasypany piachem. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób znalazł się tu na tej piaszczystej górze, nie mógł zebrać myśli, bo w głowie huczało mu, jakby kto bił w nią obuchem, ale instynktownie starał się wydrzeć zasypane nogi. Szamocąc się, natrafił ręką na wyprężony arkan i nagle zrozumiał... tam w tym wale piachu leżał Stach, brat ukochany!

Zaledwo myśl ta smagneła go błyskawicą przez mózg, już ręce zanurzyły się w piach i rwać go poczęły na wszystkie strony. Nie tak prędko tarbagan, napastowany przez lisa, zagrzebie się w ziemię, jak Janek wdzierał się w zaspę piaszczystą. Nie czuł, że z pod połamanych paznokci sączyła się krew. Nie czuł, że ostry piach ściiera skórę z palców

i rąk, wżerając się w żywe ciało. Kopał wytrwale, aż wreszcie ręka zawadziła o kolbę karabinka, który Stach zawsze miał na plecach. Po kilku minutach niezmordowane ręce Janka dobrały się do głowy brata, odkryły ją z piachu, potem zesunęły go z piersi, brzucha i nóg. Stach leżał bez czucia, ale żył jeszcze, bo gdy Janek począł mu strzępem koszuli obcierać twarz, z nosa chłopca popłynęła cieniuchna struga krwi.

Dużo jednak czasu upłynęło, nim Stach odzyskał przytomność pod wpływem umiejętnie przez Janka zastosowanych ruchów sztucznego oddychania. Nauczył się tego jako harcerz, i teraz widząc, jak brat otwiera oczy, błogosławił chwilę wstąpienia do związku harcerzy.

Chłodna noc, przebyta na piasku, wróciła im sił o tyle, iż rankiem mogli zająć się szukaniem karawany. Niestety, mimo najskrzętniejszych poszukiwań odnaleźli tylko martwe ciało żrebca Cugura, przewodnika; jucznych koni ani wierzchowca Janka nigdzie nie było. Trąba powietrzna, waląc słup piasku na step, przysypała widocznie całą karawanę, a obu braci zaczepiła tylko krajem. Chłopcy patrzyli ze zgrozą i podziwem na step: na tak równej wczoraj płaszczyźnie potworzyły się wysokie wydmy, na których leżał kilkanaście metrów wysoki wał, ciągnący się jak łańcuch gór hen daleko w step.

— Cudem uniknęliśmy śmierci — rzekł Stach — ale teraz już pewno koniec, wierzchowce nasze tam pod tym wałem leżą, a z nimi i wory z wodą. Zginiemy z pragnienia!

— Ech, Stachu! — zawołał żywo Janek — tyleśmy przeszli i Opatrzność zawsze czuwała nad nami! Czyż przy końcu podróży nas opuści?

Stach nic nie odpowiedział, ale gorąca wiara brata przegnała widać złe myśli, bo zwałókł się z zasy i począł przeszukiwać torby u siodła

swego konia. Było w nich srebro, trochę prosa, dzary, glejt chiński i talizman Bogdo-gegena. Chłopiec pozostawił ciężkie *jamby*<sup>2</sup>), zabrał papiery i talizman, oczyścił z piasku karabinek, a potem ruszył wprost przed siebie, opierając się ciężko na ramieniu brata.

Szli znów przez piachy, potykając się w wyrwach, wdrapując się na wysokie wydmy, zatrzymując się co kilkadziesiąt kroków, by nabrać sił. Pragnienie wysuszyło im usta, skręcało wnętrzości, paliło ogniem. A nigdzie na tych złotych piaskach nie widać było źdźbła trawy, najmniejszego śladu jakiegś żywej istoty.

Nagle na jednej wydmie Janek zatrzymał się, szarpnął brata silnie za ramię i pokazał mu wydobywający się gdzieś z dali ciemny obłoczek dymu.

Zbiegli co prędzej z zasy i, dobywając ostatków sił, szli coraz szybciej. Już po godzinie wyraźnie poczuli ostry zapach palącego się argału, Potem zobaczyli na piachach pożółkłe trawy, nikłe krzewy karagany i saksaulu, aż wreszcie stanęli nad dużą kotliną, gdzie wśród gęstej zieleni traw połyskiwała modra tafla małego jeziora, nad którego brzegiem pasło się kilkanaście koni i wielbłądów, a obok nich widać było białe płótno namiotu.

Któż potrafi opisać radość, z jaką chłopcy rzucili się w nurty jeziora? Pili wodę spragnionemi usty, zanurzali w niej ręce i głowy, obejmowali chłodne tonie rękoma, napawając się ich pluskiem, Mongołowie, siedzący; przy ognisku, patrzyli na ich radość spokojnie, ale wzruszenie przebiegało w ich brązowo opalonych twarzach, bo radość ze znalezienia wody zrozumieć może tylko ten, kto żyje w pustyni i zna mękę pragnienia.

I gdy Zaniewscy, ugasiwszy pragnienie i wykąpowszy pyłem

oblepione ciała, wyszli na brzeg, Mongołowie wzięli ich pod rękę, poprowadzili do ogniska i ugościli mięsem, gotującym się w kotle.

— Trąba powietrzna chwyciła nas w stepie — mówił Janek do Mongołów, rwąc zębami mięso jak młody wilczek. — Karawana nasza zginęła, myśmy cudem tylko wyszli cało!

— To *mangusy*<sup>3)</sup> rozhulały się po stepie! — odparł z przekonaniem jeden z Mongołów. — Czyhają one na życie ludzi i, chcąc was zgubić, zmieniły się w burzę piaskową. Myśmy tę burzę tu przebyli, ale to była najstraszniejsza, jaką od kilku dziesiątków lat widziałem, chociaż co roku temi szlakami prowadzę karawany.

— A gdzież my właściwie jesteśmy? — zapytał Stach.

— Oaza ta znajduje się w oddaleniu trzech dni od Buir-noru...

— Od Buir-noru! — zawołali radośnie chłopcy. — Toż to jezioro łączy się z Dałaj-norem! Więc jesteśmy już niedaleko księstwa Barga, a tem samem prawie przed Chajłarem!

— Tak! Do Chajłaru jest jeszcze od Buir-noru pięć dni jazdy wygodnym traktem karawannym. Tam już niema piasków; pełno dugunów chińskich, warzonek soli, okolica bogata i ludna! To wy do Buir-noru idziecie?

— Chcieliśmy się dostać do Chajłaru, ale teraz trudno, bo przecież konie nam zginęły, a srebro tam na piachach pozostało!

— Moja karawana przejdzie o pół dnia drogi od Buir-noru. Jeśli chcecie, zabiorę was z sobą. Koni ani wielbłądów sprzedać nie mogę, bo wszystkie moje zwierzęta idą pod jukami, ale zaraz wyślę kilku moich ludzi, by odnaleźli wasze srebro, za które w Bardze możecie kupić ilość koni dowoli.

Już po chwili kilku Mongołów osiodłało wielbłądy i ruszyli śladami



wygniecionemi w piasku przez chłopców, a Stach, chcąc się jakoś odwdzińczyć właścicielowi karawany, wyjął talizman Bogdo-gegena i podał mu go z pokłonem. Mongoł szeroko rozwarł oczy, szybko uklęknął na ziemi, talizman wziął do rąk przez chustę i, potarłszy nim trzykrotnie czoło, zwołał ludzi i to samo uczynił każdemu z nich, poczem z głębokim pokłonem oddał talizman chłopcu. — Teraz rozumiem, czemu mangusy nie miały do was przystępu! — wyszeptał — i cieszę się, że mojej karawanie przypadło w udziale szczęście dać wam pomoc.

W niespełna trzy dni potem Zaniewscy stali nad brzegiem olbrzymiego jeziora Buir-noru, patrząc na opalizującą toń, gubiącą się gdzieś w dali. Silne fale wyrzucały na brzeg splątane wodorosłe, wśród których pełno było dużych, pięknych muszel, raków i drobnych rybek. Tysiące mew i rybitew rzucało się na ten żer z takim przeraźliwym wrzaskiem, że pływające przy brzegach perkozy, nury, łabędzie, kaczki i gęsi chroniły się w gęste sitowia, zarastające płytkie zatoczki. Daleko na toniach szły pod żaglami dwie duże łodzie rybackie, ciągnąc za sobą grube sieci, a na zachodnim brzegu widać było zabudowania rybaków, drągi suszarni i stopy beczek.

Tu na lewym brzegu jeziora kończyło się księstwo Chałcha, a na prawym zaczynały się ziemie Bargi; tu przed chwilą pożegnali chłopcy karawanę, która uratowała ich w piaskach, a teraz ułatwiła kupienie koni, mających ich zawieźć do Chajłaru.

Gdy krwawa tarcza słońca zniżyła się tak, że zdawała się tonąć w purpurą malowanych wodach jeziora, chłopcy skoczyli na siodła i ruszyli traktem, odbijającym się jasno od zieleni traw. Noc miała być księżycowa, jasna, więc by uniknąć zbyt rychłych upałów, postanowili ten ostatni etap odbywać nocą.

Nie przejechali jednak dziesięciu wiorst, gdy nagle na drodze zobaczyli kilka cieni i posłyszeli głośny krzyk w niezrozumiałym dla nich języku. Wstrzymali konie, a w tejże chwili otoczyła ich gromadka żołnierzy chińskich. Każdy z nich trzymał karabin gotowy do strzału, każdy krzyczał, jeden chwycił konie za uzdy, inny chłopców za nogi. Zaniewscy, nie rozumiejąc ani słowa z gardłowej bełkotni żołnierzy, zleźli z koni. Chwycono ich wtedy pod ręce i zaprowadzono do małego domku, ukrytego wśród przydrożnych zarośli.

W izbie pełno było żołnierzy, którzy wnet otoczyli chłopców i poczęli coś szwargotać z tymi, co ich przyprowadzili. Ale Zaniewscy zrozumieli tylko jedno słowo: Chunchuz. Wiedzieli dobrze, że słowo to po chińsku oznacza rozbójnika, ale myśląc, iż zaszło jakieś nieporozumienie, spokojnie oczekiwali zwolnienia. Wreszcie z grupy żołnierzy wystąpił jeden i śmiesznym żargonem chińsko-rosyjskim zapytał:

— *Wasza chunchuza? (Czy jesteście chunchuzami?)*

— Nie! — odparł stanowczo Stach.

— O tak! — zawołał żołnierz. — Wasza szybko wielka chunchuza, wasza w Urdze kitajska cerig kontra mi jeś! — (Wy jesteście wielkimi rozbójnikami, wy w Urdze zabijaliście żołnierzy chińskich!)

Stach spokojnie wyjął z kieszeni glejt od Li-nian-fu i pokazał go żołnierzom. Zabrali oni papier, oglądali go ze wszystkich stron, długo badali dużą czerwoną pieczęć, ale widocznie żaden z nich czytać nie umiał, bo po radzie żołnierza, mówiący żargonem, przemówił:

— Nasza butunda! — Nasza kapitana Chajłar chodzi jeś, wasza toż Chajłar chodzi! — (My nie rozumiemy! Nasz oficer pojechał do Chajłaru i wy także do Chajłaru pojedziecie!)

Nic nie pomogło powoływanie się na glejt ani pokazywanie dzary.

Żołnierze chińscy byli pewni, że Zaniewscy są żołnierzami Ungerna, a tych kazano im łapać, jeśliby z Mongolji chcieli się dostać do Mandżurji. Odebrano Stachowi karabinek, a potem obu braciom zakuto nogi w dwie grube belki.

Zaraz o świcie kazano Zaniewskim siadać na konie i pod silną strażą wysłano ich w stronę Chajłaru.

Jechali szybko, bo Chińczycy nie żalowali koni i zmieniali je na częstych urtonach. Okolica była bardzo żyzna, trawy wysokie i soczyste, to też urtońskie wierzchowce, pomimo bardzo małego wzrostu, były ogniste i szły przez cały urton galopem. W pierwszych dwóch dniach jazdy spotykali mnóstwo jurt, rozrzuconych wzdłuż szerokiego potoku, koło którego wił się trakt. Jurty te zamieszkali tunguscy Soloni i Barguci, szczerp mongolski, różniący się od Mongołów chałchaskich strojem i mową. Bliskie sąsiedztwo Mandżurji wniosła w te strony nieco kultury chińskiej, ale przebijała się ona tylko w jurtach bardzo bogatych, w zapotrzebowaniu mąki, sianiu prosa, ubraniu i używaniu dwukołowych arb do zaprzęgu.

Terłyki mężczyzn podobne były do terłyków chałchaskich, ale około szyi i wzdłuż rozcięć lamowane były szerokimi pasami czarnego aksamitu, lub robione na wzór długich chińskich chałatów, rozciętych po obu bokach. Na głowach nosili mężczyźni przeważnie małe czarne chińskie czapeczki, rzadziej czapki stożkowate z nisko opadającymi rondami, podobne do kapeluszy słomianych używanych przez rolniczą klasę chińską.

Kobiety nie nosiły tu wachlarzowatych fryzur, ale włosy miały splecione w warkocze i spięte na czubie głowy, na nich zaś spoczywały srebrne czepe, obwieszane mnóstwem srebrnych łańcuszków. Nawet w

obuwii była wielka różnica: ciężkie gutuły mongolskie o grubych wołokowych podszwach i silnie ku górze zagiętych nosach ustąpiły tu miejsca pilśniowym papuciom chińskim.

Na trakcie ciągle spotykali karawany, wiozące z Buir-noru pełne arby ryb suszonych, bale z wełną i sierścią zakupioną w stepach: później wymijali karawany, wiozące do miasta sól z licznych warzonek urządzonych na słonych jeziorach, a także widzieli mnóstwo małych karawan kupieckich, które po stepach rozwoziły najrozmaitsze towary chińskie.

Żołnierze, eskortujący Zaniewskich, często zatrzymywali się w zabudowaniach przedsiębiorstw solnych, należących przeważnie do Chińczyków. Chłopców otaczali wtedy kulisi, oglądali ze wszystkich stron jak jakieś zamorskie dziwa i nierzadko wśród śmiechów i krzykliwej gardłowej rozmowy ten i ów mówił żargonem wykonywając ruch ręką, jakby odrębywał głowę:

— Ej, chunchuza, wasza Chajłar daj szyja *doloj!* — (Ej, rozbójnicy, wam w Chajłarze obetną szyję!)

Zaniewscy zbyt byli dumni, by na te szyderstwa odpowiadać, pragnęli tylko co rychlej dotrzeć do miasta, bo spodziewali się, że tam straż graniczna odda ich władzom sądowym, które bez zawiadomienia konsulatu polskiego w Charbinie nie mogły ich skazać na śmierć. Nie wiedzieli zaś, że chunchuzi podlegali sądom wojskowym, a te rozstrzeliwały bez żadnych śledztw i ceregieli.

Piątego dnia rano pokazały się na stepie liczne bajszyny, fanzy, ogrody i pola uprawne gaolanu<sup>4</sup>) i soji<sup>5</sup>). Gdzieś wdali rozległ się przeraźliwy świst lokomotywy, a potem przeciągły ryk syreny fabrycznej.

— Chajłar! — rzekł do chłopców jeden z żołnierzy, wskazując ręką na liczne dymy, wydobywające się z kominów niewidocznych jeszcze domów.

Przebywszy długą kotlinę, wjechali na znaczne wzniesienie, z którego miasto pokazało się nagle jakby z ziemi wyrosłe, W ogromnej kotlinie widać było szeregi domów zbudowanych z cegieł o ziemistej barwie, kilka ogromnych bram i szare mury cytadeli i kumirni.

Jak tylko wjechali w szeroką ulicę miasta, prowadzącą do twierdzy, wnet ze wszystkich stron opadło ich takie mnóstwo Chińczyków, że żołnierze musieli taszurami rozganiać tłum. Z niskich domków, ze sklepów, z bazarów napierały coraz to nowe tłumy, wszędy słyhać było przeraźliwy jazgot, w którym słowo chunchuz przelewało się w groźnych i nienawistnych tonach.

Nagle wśród tego wrogiego gwaru rozległo się płaczliwe wołanie:

— Tatusiu! Tatusiu! Patrz, tam Stacha i Janka prowadzą żołnierze!

Chłopcy spojrzeli w tę stronę, skąd słyhać było wołanie, i zobaczyli drobną twarzyczkę Soni, córki kolonisty Bogatowa, oraz rosłą postać jej ojca, który jak burza runął na tłum Chińczyków. Muskularne ramiona kolonisty wparły się w gawieź i wnet kilkunastu Chińczyków zaryło nosami w proch uliczny, reszta zaś z przeraźliwym krzykiem poczęła się cofać i rozstępować, grzmocona kułakami Bogatowa. Po kilku sekundach kolonista już był przy chłopcach. Żołnierza, który zastąpił mu drogę, zwałił z siodła jednym uderzeniem pięści, a potem wyjąwszy z kieszeni nóż, najspokojniej rozciął więzy, krępujące Zaniewskim ręce.

Żołnierze poczęli zdejmować karabiny i rozwijać chusty, któremi były obwinięte zamki dla ochrony przed kurzem, ale Bogatow rzucił się na nich jak raniony sarłyk, krzycząc tubalnym głosem:

— Dzieci chcecie mordować, wy żółte diabły! Wy sami jesteście chunchuzami. Z babami wam wojować *chodie* (Chińczyki) przekłete!

A jednak kto wie, co by się stało, bo w sukurs żołnierzom nadbiegł patrol policji z obnażenymi szablami, gdy nagle przez tłum ciekawej gawiedzi przedarł się jakiś wojskowy w mundurze, kapiącym od złota, i krzyknął gromko krótki rozkaz. Żołnierze natychmiast sprezentowali broń, policja cofnęła się, a Stach spojrzawszy na twarz wybawiciela, zawołał radośnie:

— Li-nian-fu!

Chińczyk uściskał chłopców z całych sił; poczem wraz z Bogatowem i jego córką zaprowadził ich do swego domu, znajdującego się o kilka kroków dalej.

Tu przy doskonałym śniadaniu musieli chłopcy opowiadać swoje przygody w Mangolji. Bogatow zaś opowiadał potem, jak z pomocą Bołdyra zdołał uciec z Usińska. Poczem Li-nian-fu zadecydował:

— Teraz moimi jesteście gośćmi. Wypoczniecie po trudach i zaczekacie, aż wasz krewny do Chajłaru przyjedzie!

Bogatow jednak zareplikował:

— Nie, pułkowniku! Chłopcy powinni u mnie zamieszkać, bo inżynier Raczyński prosił mię, bym o nich się starał, jeśliby przypadkiem przybyli do Chajłaru! Jaka szkoda, że właśnie przed trzema dniami wyjechał do Hongkongu, przeczytawszy w gazecie angielskiej ogłoszenie, które naumyślnie odpisałem. Słuchajcie: „Miczik-łama, mieszkający w klasztorze buddyjskim w Hong-kongu, poszukuje krewnych dwóch braci Zaniewskich, którzy dostali się w Mongolji do niewoli Czacharów, aby udzielić o nich informacji”.

— A od inżyniera Kamińskiego z Urgi listu nie było? — zapytał

Janek.

— Z Urgi? — Listu? — zapytał zdziwiony Bogatow. — Nie! nic dotychczas nie otrzymaliśmy!

— A więc telegrafujmy do wujka, niech wraca! — zawołał Stach.

Li-nian-fu natychmiast wysłał przez swego ordynansa telegram, poczem nie chcąc wypuszczać od siebie gości, którym zawdzięczał życie, prosił Bogatowa, by wraz z nimi zamieszkał u niego w domu.

Chłopcy odpoczęli należycie, a gdy po tygodniu przyniesiono od inżyniera Raczyńskiego telegram, że oczekuje siostrzeńców w Hongkongu, skąd razem pojedą okrętem do Polski, Bogatow i Li-nian-fu zaledwo zdołali ukryć łzy żalu. Najwięcej rozpaczała Sonia, która chłopców uważała za bohaterów.

W dwa dni później Li-nian-fu, Sonia i Bogatow powiewali chustkami za pociągiem, uwożącym Zaniewskich, poczem kolonista nadał telegram następującej treści:

*Inżynier Raczyński. Hong-kong. Hotel Continental.*

*Chłopcy dzisiaj wyjechali ekspresem przez Charbin do Szang-haju, gdzie siądą na statek. Oczekiwać przystań Hong-kong.*

Na tem kończy się pierwszy etap podróży i przygód Stacha i Janka Zaniewskich.

## OBJAŚNIENIA.

Do rozdziału II.

<sup>1)</sup> T r o p , t r o p i n a — tu znaczy ścieżka, drożyna leśna, Przez tajgi niema dróg bitych, przeto karawany kupieckie wożą towary na juczych koniach ścieżkami, czyli „tropinami”, które otrzymują różne nazwy, np. „Kozacza tropina”, „Iwanowa tropina”, „Jelenia tropina” i t. p.

<sup>2)</sup> Sołonce — miejsca, gdzie znajduje się sól. Zwierzyna przychodzi nocami na te miejsca i liże sól zmieszaną z ziemią. Myśliwi syberyjscy często w miejscach takich urządzają zasiadki, lokując się na drzewach, a to w tym celu, aby zbliżająca się zwierzyna nie poczuła myśliwego.

Do rozdziału III.

<sup>1)</sup> R y ś — *Felis lynx*, *L. var. mongolica*, w górach bowiem Sajańskich przeważa ten gatunek.

<sup>2)</sup> C h a j r u s – lipień, *Thymallus grubli Dybowski*; ryba opisana w Urjanchaju przez znakomitego przyrodnika polskiego prof. dr. Benedykta Dybowskiego.

Do rozdziału IV.

<sup>1)</sup> M a n u l — dziki kot, *Felis manul Fali.*: ceniony przez myśliwych dla pięknego jedwabistego futerka. Częściej spotykany wśród rozpadlin na południowej stronie Sajana, w górach Ułan-tajga i północnych stokach Tannu-Oła.

Do rozdziału V.

<sup>1)</sup> U ł a n - T a j g a — nazwa łańcucha górskiego na wschodnich krańcach



Urjanchaju.

Do rozdziału VI.

<sup>1)</sup> B u r u n d u k — wiewiórka pręgowata.

<sup>2)</sup> M a r a ł — jelen szlachetny, *Cervus maral*.

<sup>3)</sup> S o j o c i — plemię pochodzenia tureckiego, zamieszkałe w zachodniej Mongolji od górnego biegu rzeki Kobdo do Kosogołu, oraz w Urjanchaju. Sojoci, zamieszkali w Mongolji, zupełnie się nie zmongolizowali. Czas przybycia Sojotów do Urjanchaju nie został jeszcze historycznie oznaczony. Sojotów jest około 60,000.

Do rozdziału VII.

<sup>i)</sup> K a b a r g a — *Moschus Moschiferus*.

Do rozdziału VIII.

<sup>1)</sup> K a r a g a n a — wielbłądzi krzew, *Karagana jubata*.

<sup>3)</sup> S a l d ż a c k i n o j o n — jeden z pięciu książąt gubernatorów urjanchajskich.

<sup>4)</sup> Kurdiuk — narośl tłuszczowa, tworząca się w jesieni nad nasadą ogona u baranów ras stepowych. Kurdiuk dobrego barana waży przeciętnie 10—15 funtów i zależnie od wagi zwiększa wartość sprzedażną barana.

Do rozdziału IX.

<sup>1)</sup> E r d e n i — honorowy tytuł książęcy, przejęty przez Sojotów od Mongołów.

<sup>2)</sup> T a n n u - O ł a — pasmo górskie, tworzące naturalną i granicę południową między Urjanchajem a Mongolją.

Do rozdziału X.

\*Autentyczne.

<sup>1)</sup> P o l i t r u k — skrót słowa „politiczeskij rukowoditel”, t. j. urzędnik, mający zajmować się sprawami politycznymi w pułku, propagandą i t. p. Właściwie są to szpiegowie.

Do rozdziału XI.

<sup>1)</sup> D z y z a n (słowo mongolskie) — jest to cegielka z bardzo mocno zbitych liści i łodyg herbacianych; ma około 40 cm długości, a 20 szerokości, 3 cm grubości. Dzyzan spełnia w Urjanchaju i Mongolji rolę monety; i kosztuje zależnie od miejsca 0,80—1,50 tajana chińsk. (tajan = 7 zł).

<sup>2)</sup> *OtisDybowski* — ptak opisany przez prof. Beknedykta Dybowskiego, jest nieco mniejszy od dropia europejskiego i mongolskiego.

Do rozdziału XII.

<sup>1)</sup> B e i s e - B e i l e – tytuły mandzurskie dodawane do imion książąt.

Do rozdziału XIII.

<sup>1)</sup> G o m i n — żołnierz chiński; od słowa „gomin-dan”, oznaczającego chińską partję rewolucyjną.

<sup>2)</sup> B o g d o - g e g e n — najwyższy kapłan lamaicki Mongolji, rezydujący w Urdze. Wedle mniemania buddystów jest on reinkarnacją filozofa buddyjskiego Dżibdzun-Taranata-Gunga-Nimbo. Przerodzeń Taranaty znają buddyści 23, z tego ośm ostatnich żyło w Mongolji 8. Pierwszy chubiłgan Taranaty pojawił się w Mongolii w 1630 r., a drugi w 1724. Ponieważ ogromna popularność gegenów między Mongołami silnie niepokoiła rząd chiński, przeto cesarz nakazał dalaj-łamie w Tybecie, by dalsze chubiłgany pokazywały się już w Tybecie. W ten sposób gegenowie, będąc obcokrajowcami, mało mieszały się do spraw politycznych Mongolji. Ostatni Bogdo-gegen był również Tybetańczykiem, ale będąc człowiekiem niezmiernie ambitnym, postanowił j Mongolję uczynić samodzielną. Zmarł w 1924 r. w trzy lata po zajęciu Mongolji przez bolszewików.

<sup>3)</sup> U r g a — stolica Mongolji. Nazwa ta powstała od słowa örgö (dwór), Mongołowie zowią Urgę „Da-churje” (wielki klasztor); od roku 1913: „Nijszilil-churje”

(stołeczny klasztor), obecnie „Ułan bator choto” (miasto czerwony bohater).

<sup>4</sup>) U n g e r n R o m a n v o n S t e r n b e r g — generał rosyjski, który walczył z bolszewikami w Zabajkajlu, Zmuszony opuścić Daurję, poszedł z kilku tysiącami żołnierzy do Mongolji, gdzie w 1921 r. zdobył Urgę, wypędził Chińczyków i wyzwolił Mongolję z pod panowania Chin. W tym samym roku wyruszył znów na Zabajkajle, ale przeważające siły bolszewickie zmusiły go do cofnięcia się na terytorjum Mongolji, gdzie zbuntowały się jego wojska, on zaś związany we śnie na rozkaz Chatuń-batyr-wana (późniejszego ministra spraw wojskowych), został wydany w ręce bolszewików i przez nich zabity.

#### Do rozdziału XIV.

<sup>1</sup>) B a i s z y n y — tak nazywają Mongołowie wszelkie budowle stałe, nieprzenośne, z drzewa lub gliny.

<sup>2</sup>) B o d i s a t w a — w terminologii buddyjskiej noszą tę nazwę istoty, które osiągnęły wysoka doskonałość duchową i przechodzą ostatni etap w dojściu do doskonałości Buddy. Głównym zadaniem bodisatw jest przez przerwadzenie się w żywe istoty (*chubiłgany*) pomagać buddystom do zbawienia, utwierdzać ich w wierze. Nauka o bodisatwach jest niezmiernie zawiła i zajmuje 12 tomów ksiąg Gańdzuru pod nazwą „*Jum*” (słowo tybetańskie; mongolskie *eche* — matka).

<sup>3</sup>) C h u r j e — miejsce, gdzie żyje większa ilość ludzi. Nazwa ta przyjęta jest szczególnie przy oznaczaniu klasztorów (por. kureń).

<sup>4</sup>) B u r c h a n — dosłownie „bóstwo”. W Mongolji przyjęto tak nazywać wszelkie figury i rysunki bóstw, zrobione z brązu, miedzi, karmienia, gliny, rysowane na papierze lub skórze, wyszyte na płótnie, jedwabiu i t. d. Burchanami również nazywają się kapliczki, w których spoczywają zabalsamowane zwłoki chubiłganów.

<sup>5</sup>) C h i r c h i s - u r y , kerekury — stare mogiły, pozostawione przez ludy, zamieszkałe w Mongolji przed Mongołami, Chirchis-ur znaczy dosłownie grób kirgiski.

#### Do rozdziału XV.

<sup>1</sup>) U r t o n — stacja przejazdowa. Cała Mongolja pocięta jest linjami urtońskimi, na których co 25—30 km znajdują się stacje z rządowymi tabunami koni, wielbłądów lub sarłyków. Za okazaniem prawa jazdy, *dzary*, zarządca urtonu obowiązany jest dać podróżnikowi taką ilość koni wierzchowych i jucznych, na jaką

opiewa dzara, oraz przewodnika — *ulaczena*.

<sup>2)</sup> *Cz a c h a r o w i e* — szczep mongolski, koczujący na pograniczu prowincji Czili przed wielkim murem chińskim; szczep ten znany z rozbójniczego trybu życia, używany był jako wojsko najemne przez Chińczyków.

<sup>3)</sup> *T o s ł y k c z i - t a j d ż i* — najwyższy stopień urzędnika w *choszunie* (księstwie). Są nimi przeważnie książęta; oznaką ich godności: okrągła koralowa gałka na czapce. *D z a c h i r a k c z i - d z a n g i* — pomocnik w sprawach wojskowych, nosi gałkę czerwoną podłużną; *m e j r i n - d z a n g i* — generał, ma gałkę szafirową przezroczystą; *d z a ł a n - d z a n g i* — pułkownik, używa gałki niebieskiej nieprzezroczystej; *s u m n y j - d z a n g i* — porucznik, nosi gałkę szklaną; *o r o ł o g - s y n* — chorąży albo *c h u n d u - b u s z u k*, ma gałkę białą; *b u s z u k* — sierżant, gałka złożona.

#### Do rozdziału XVI.

<sup>1)</sup> *K a c z k o r y* — *Ovis Caschgar*.

<sup>2)</sup> *C h a d a k i* — chusta jedwabna lazuruowa. Chadaki daje się osobom, którym się chce wyrazić cześć lub dziękczynienie. W stepach chadaki często zastępują monetę. Chadaki, darowywane osobom z rodów książęcych lub chubiłganom, nieraz są długości kilkumetrowej z wyciśniętym na środku wizerunkiem Awaloki-teśwary.

#### Do rozdziału XVII.

<sup>1)</sup> *A m b a n* (słowo mandzurskie) — oznacza godność urzędnika, podobną mniej więcej do namiestnika. Tytuł ten dawany był jedynie urzędnikom, mianowanym przez rząd chiński, i nie mógł być dziedzicznym. *Amban* — po mongolsku *sait*. W Mongolji, w trzech miejscowościach: w Urdze, Ulasutaju i Kobdo urzędowali równocześnie: *amban* Chińczyk i *sait* Mongoł, a więc było trzech *ambanów* i tyluż *saitów*.

#### Do rozdziału XVIII.

<sup>1)</sup> *U r g a* — tu znaczy długa żerdź z pętlą na końcu, służy do chwytania koni na stepie. Od tego pochodzi wyrażenie „jazda *urga*”, t. z. pozwolenie na przejazd przez stepy z prawem korzystania ze wszystkich prywatnych tabunów.

<sup>2)</sup> Mongołowie oznaczają czas okresami czyli cyklami, małemi, dwunastoletniemi, zwierzęcemi. Pięć małych cykli tworzy cykl wielki. Tych wielkich cykli jest pięć, t. z. cykle żywiołów: 1) drzewa, 2) ognia, 3) ziemi, 4) metalu, 5) wody. Prócz tego są jeszcze cykle barw.

<sup>3)</sup> D e r e s u n — *Tyrsis paniculata*.

<sup>4)</sup> Ł a n — jednostka wagi. Dzieli się na 10 cin, 100 fyn, 1000 li i 10000 hoo. Łan ma około 36 gramów.

<sup>5)</sup> A j m a k — dosłownie zbiór, zrzeszenie. Zrzeszenie pewnej liczby księstw, choszunów, mających ‘wspólny sejm (czułgan), nazywa się w Mongolji ajmakiem. W księstwie Chałcha są 4 ajmaki: Tuszijetu-chana, Secen-chana, Dzasaktu-chana, Sain-noina, Książęta, będący władcami ajmaków, są przewodniczącymi (czułgan-daruga) czułganów, zbierających się co pewien czas w miejscach ściśle oznaczonych dla każdego ajmaku. Ajmaki dzielą się na choszuny, pozostające pod dziedziczną władzą książąt, rządzących choszunami z pomocą urzędów „tamga”. Choszuny dzielą się na sumuny, z których każdy obowiązany jest wystawić w razie mobilizacji 150 jeźdźców, a sumuny na otoki czyli rody.

Do rozdziału XX.

\*) Czaszkę taką znalazł w piaskach Gobi autor tej książki.

\*) W kilka lat później, w r. 1925, znalazła amerykańska wyprawa pod wodzą R. Andrewsa doskonale w skałach zachowane szczątki i jaja dinozaurów.

Do rozdziału XXII.

<sup>1)</sup> B i k o n — *Antilope saiga*.

<sup>2)</sup> J a m b a — kawały srebra, odlane w jedno lub więcej funtowe odlewy, podobne formą do osełek masła deserowego.

<sup>3)</sup> M a n g u s (odpowiada sanskr, rakszasza)—oznacza duchy, które przez najrozmaitsze pokusy starają się przywieść ludzi do grzechów, a czynią to tem łatwiej, że mogą przybierać wszelakie formy. Mongołowie przedstawiają mangusy jako istoty potworne i wstrętne z ogromnemi kłami w szerokich paszczekach, gdyż są one szczególnie łase na mięso ludzkie.

<sup>4)</sup> G a o l a n — *Andropogon sorghum* L., Brot., po chińsku—gao-szu; znany w kilku odmianach.

<sup>5)</sup> S o j a — roślina bobikowa, dająca bardzo wiele tłuszczu roślinnego (*Glycine hispida* Maxim.); po chińsku – hadou.

*Uwaga I.* Opisy wierzeń i zwyczajów, zawartych w książce niniejszej, dotyczą czasów do roku 1922. Obecnie pod wpływem propagandy bolszewickiej bardzo wiele się zmieniło — w szczególności niema oficjalnie wybranego Bogdo-gegena.

*Uwaga II.* W pisowni słów mongolskich posługuje się autor cennymi wskazówkami p. Michała Aleksandra Wołoszowicza, długoletniego doradcy przy rządzie mongolskim w Urdze. Słowa pisane są wedle ich brzmienia w języku chałchaskim.

## SPIS RZECZY.

I. Ucieczka .....	1
II. U pasiecznika .....	14
III. Pierwszy postój .....	28
IV. W mszarze leśnym .....	41
V. Przygoda w pieczarze .....	54
VI. Tatarskie figury .....	70
VII. Szatun .....	88
VIII. Soból i wilk i .....	102
IX. W niewoli .....	118
X. W. Urjanchaju .....	136
XI. Złość Szamana .....	150
XII. Na wyspie u „Sokola” .....	166
XIII, Sarłyki, Dża-łama .....	180
XIV. W klasztorze lamaickim .....	197
XV. Tajemnicza misja .....	211
XVI. W szponach burami .....	227
XVII. U księcia mongolskiego .....	245
XVIII. Wesele .....	261
XIX. Zwaliska „Czarnych murów” .....	281
XX. Banda Curuna. Spotkanie .....	299

XXI. W stolicy Mongolji .....	319
XXII. Ostatnie przygody .....	336
Objaśnienia .....	363